DOMINIK TARCZYŃSKI WCHODZI DO KAMPANII I MÓWI NAM, JAK PIS ZDOBĘDZIE SAMODZIELNĄ WIĘKSZOŚĆ

MINISTER CIESZYŃSKI: MICHAŁ DWORCZYK BYŁ CELEM ROSYJSKIEJ OPERACJI

AKCJA WOJTYŁA SŁAWOMIR SIWEK O TYM, JAK MEDIA KONTYNUUJĄ ESBECKIE ATAKI

MIGI ODLATUJĄ NA FRONT. KOŁODZIEJSKI: BRONIĄ TAM POLSKI

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 13 (539) 2023
27 marca – 2 kwietnia 2023
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

13 KŁAMSTW TUSKA NA JEDNYM SPOTKANIU

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl e67cdd99de

Disney+ na start przez rok w prezencie z TV w Polsat Box

Opłata miesięczna za pakiet TV z Disney+ w pierwszym roku od 30 zł, w drugim roku od 58,99 zł, następnie od 68,99 zł.

polsat box

Wybierz swoje wszystko

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i internetowej przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe z minimalnym zobowiązaniem od pakietu S z Disney+. Aplikacja Disney+ dostępna na dekoderach polsat box | 4K i polsat box | 4K lite. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) BV. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Oferta ważna na dzień 27.03.2023 r.

© 2023 Disney i podmioty powiązane

eprasa.pl e67cdd99de

Przesilenie

Żadnej konkretnej daty nikt tu chyba nie wskaże, ale jesteśmy świadkami przesilenia. Obóz premiera Jarosława Kaczyńskiego po wygranej zimie, niezłym starcie w polityczną wiosnę przenosi się z półki z napisem „mają jeszcze szansę na reelekcję" na półkę oznaczoną „prawdopodobna trzecia kadencja". Z kolei opozycja opuszcza rubrykę „mają wielką szansę na rządy" i przechodzi do tabelki z karteczką „może wygrają, jak dopisze im szczęście, a przeciwnikom pech".

Media opozycji, ta rzekoma krynica obiektywizmu, nie ukrywają nerwowości. Co się stało? Na pewno ma znaczenie wygranie przez rząd bitwy zimowej o węgiel, energię, zahamowanie putinflacji. Kontrast między tym, jak to przeszło, jak dali radę, a próbą wzbudzenia przez opozycję paniki (w czasie wojny!) jest zauważalny dla każdego.

Bez wątpienia ma znaczenie postępująca budowa armii tak silnej, że będzie w stanie zapewnić Polsce bezpieczeństwo w razie próby napaści, ale przede wszystkim odstraszy potencjalnego agresora. I tu też kontrast ze zwijaniem państwa i wojska za Tuska.

Na tym tle widać też, jak niebezpieczne było wsparcie przez sporą część opozycji łukaszenkowskiego ataku na granicę wschodnią, co w efekcie miało nas sparaliżować i wyłączyć jako zaplecze napadniętej później Ukrainy. Pani Ochojska do dzisiaj gra tu zresztą z Putinem.

Wszystkie te elementy mają jeden wspólny mianownik: całkowity brak powagi i przewidywalności opozycji. Dla chłodnego obserwatora to chwilami szokujący deficyt spójności, planu, wiarygodnej obietnicy. Niepojęte, jak politycy opozycji mielą językami, rzucają w eter, co im ślina na język przyniesie, jak bawią się sprawami świętymi (papież) i ważnymi (granica), jak obrażają całe grupy wyborców, flirtują z ekstremistycznymi postulatami (robaki zamiast mięsa) i jak są przekonani, że ich potęga medialna wszystko to przykryje.

Nie przykryje.

Nikt nie wie, czego właściwie chce dziś opozycja.

Rażą ich programy prorodzinne i społeczne rządów PiS czy odwrotnie – oni dadzą ludziom jeszcze więcej?

Są dumnymi dziedzicami Solidarności czy idą w sojuszu z byłymi esbekami?

Wszystko do kości okroją, wyprzedadzą, z lasami włącznie czy zadbają o majątek narodowy skuteczniej niż PiS?

Wolny rynek ponad wszystko czy mieszkanie prawem dla każdego?

Wspierają Ukrainę czy szczują na każdy koszt tej wojny?

Wydatki zbrojeniowe to bzdura, trzeba skasować kontrakty czy właśnie oni zbudują armię lepszą i silniejszą niż Kaczyński, Duda, Błaszczak, Morawiecki?

Św. Jan Paweł II ma być zniszczony paszkwilami czy są zniesmaczeni próbą wciągania go w kampanię wyborczą?

Toczą się te całkowicie sprzeczne opowieści dzień po dniu jak sen wariata. W tle już pierwsze spory o premiera, resorty. Co będzie, gdyby naprawdę mieli rządzić? W jaką propozycję programową i kadrową to się składa? W żadną.

I nawet wspólna lista, ten totem redaktorów z Czerskiej sprzęgniętych w Tuskiem, nic nie zmieni. Ona te braki spójności i sensu jeszcze mocniej by wydobyła w kampanii wyborczej.

Obserwuję polskie wybory z bardzo bliska od połowy lat 90. I stawiam tezę, że nigdy nie wygrał nikt, kto nie miał poważnej, wiarygodnej w oczach wyborców propozycji. Mogła być ona obiektywnie zła, niemądra, nawet oszukańcza – ale ludziom musiała jawić się jako spójna, przewidywalna, poważna.

Nie da się wygrać, gdy Polacy nie są w stanie powiedzieć, nawet w sprawach fundamentalnych, co mniej więcej zrobią rządzący w pierwszym tygodniu, co po pół roku, co w całej kadencji. W przypadku opozycji nie wiadomo i to ją skazuje na porażkę.

Opozycja miała kilka ładnych lat, by spróbować zbudować powagę i wiarygodność. Czas ten przebimbała na hucpy, pucze i puczyki, szalone tańce wspólnie z oszalałymi z nienawiści, zaczadzonymi ideologią aktywistkami i redaktorami, donosach na Polskę.

Budowali na wyciągniętych z kapelusza Kijowskich, wulgarnych Babciach Kasiach, celebrytach tefałenowskich, realizacji porad nieznających się na polityce redaktorów z Czerskiej, obściskiwaniu się z Niemcami.

Nie znaleźli chwili, by pochylić się nad poważną odpowiedzią na pytanie nurtujące Polaków: gdzie były pieniądze, które znalazł premier Kaczyński? Kto je wcześniej rozkradał? Dlaczego tak zapuścili Polskę?

Tego straconego czasu już nie nadrobią. Ostatnia ich wszystkich nadzieja – jak sami pisali – zamarznięte staruszki, które wykończyłyby PiS, właśnie się rozmyła. Na marginesie: co to za ludzie są, że taki cynizm przechodzi im przez klawiatury?

Podkreślam: także PiS nie może jeszcze się cieszyć ze zwycięstwa. Może przegrać także z własnymi błędami, zmęczeniem, jakimiś nowymi zdarzeniami, brudnymi prowokacjami i potęgą medialną konkurentów. Ale jego szanse rosną. Mimo wszystkich wad i słabości (to tylko ludzie) może nie tylko z dumą podnosić sztandar ciężko przepracowanych, z sukcesami na wielu polach ostatnich siedmiu lat, lecz także pokazać na politycznych przeciwników i zapytać: naprawdę chcecie tego cyrku? W takich czasach?

I odpowiedź na to pytanie może mieć moc rozstrzygającą.

Michał Karnowski

Reklama | 29/0123/F

eprasa.pl e67cdd99de

SIECI spis treści

32 Z Markiem Sawickim *rozmawia Dorota Łosiewicz*

53 Kolejny kryzys czy wojna finansowa? *Marek Budzisz*

69 Wick nadal mnie kręci *Jolanta Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **WRAK JEDNEJ LISTY**
Krzysztof Feusette

9 **PRAWDOMÓWNY JAK BIEDROŃ**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **PARAGRAF NA OSZUSTÓW**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **STUDIUM MANIPULACJI**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA TADEUSZA ZYSKA**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **SĄD POLUBOWNY: KRÓCEJ I TANIEJ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **PROPAGANDA PO O POLSCE W RUINIE NIE ZAGRAŁA**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **13 KŁAMSTW Z ŻYWCA**
Marek Pyza

26 **Z DOMINIKIEM TARCZYŃSKIM**
rozmawia Wojciech Biedroń

KRAJ

28 **OSTATNIE STRASZENIE LIDERA PO**
Stanisław Janecki

32 **Z MARKIEM SAWICKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

35 **MIGI ODLATUJĄ NA FRONT**
Konrad Kołodziejski

38 **ROSYJSKIE ZIARNA NA POLSKIEJ ZIEMI**
Jakub Augustyn Maciejewski

40 **TUSK GRA ŚLŌNSKŎ GŎDKĄ**
Maciej Walaszczyk

44 **Z JANUSZEM CIESZYŃSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

48 **OKO.PRESS PRZEGRYWA W SĄDZIE**
Wojciech Biedroń

ŚWIAT

50 **PRZYSTANEK PO DRODZE DO PIEKŁA**
Jan Rokita

53 **KOLEJNY KRYZYS CZY WOJNA FINANSOWA?**
Marek Budzisz

56 **NIEWIDOCZNY ZNAK**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

58 **KTO OCHRANIA DAWNYCH AGENTÓW STASI?**
Tomasz Szymborski

HISTORIA

62 **AKCJA WOJTYŁA**
Sławomir Siwek

66 **WYCHOWAWCA WOLNYCH LUDZI**
Robert Derewenda

SIECI KULTURY

69 **WICK NADAL MNIE KRĘCI**
Jolanta Gajda-Zadworna

72 **WŁÓCZNIA I MIECZ**
Robert Tekieli

73 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

74 **POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

78 **MISJA „BEZ EMISJI" ZA BILIONY ZŁOTYCH**
Agnieszka Łakoma

KUCHNIA

82 **MOJE SMAKI: ALEKSANDRA KURZAK**
Jolanta Gajda-Zadworna

83 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

84 **DEZINFORMACJA – ORĘŻ WOJNY**
Wojciech Reszczyński

85 **ZDALNE STEROWANIE**
Aleksander Nalaskowski

86 **NOWA LEWICA – NA EKSPORT**
Jan Pospieszalski

87 **NAUKA W SŁUŻBIE POLITYKI**
Jerzy Jachowicz

87 **TANGO W PUŁAPCE LOSU**
Adam Ciesielski

88 **MEDIA, GŁUPCZE!**
Ryszard Makowski

89 **AKORDEONY ZE WSCHODU**
Leszek Długosz

90 **PRZYSZŁOŚĆ JEST TERAZ?**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 36/0323/F

eprasa.pl e67cdd99de

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

Dobra
Drużyna
PZU

Dołącz do **wielkiej**
sportowej drużyny.
Jest nas już ponad **70** tysięcy!

Dowiedz się więcej
na **dobradruzynapzu.pl**

PZU

eprasa.pl e67cdd99de

Sygnalista nadaje

Były postkomunistyczny premier, obecnie europoseł KO Włodzimierz Cimoszewicz, tak oto widzi tło podziałów społecznych: „Niestety, jest też tak, że – jak przecież wiemy – nie urażając nikogo, zwolennicy PiS w największym stopniu wywodzą się z tej części społeczeństwa, która jest najmniej wyedukowana, najuboższa, w związku z tym w największym stopniu uzależniona od pomocy finansowej państwa, a PiS tutaj rozdaje pieniądze, nie zastanawiając się nad przyszłością". Naszym zdaniem zwolennicy PiS – i to jest dużo ważniejsze – w największym stopniu wywodzą się z tej części społeczeństwa, która pamięta o przeszłości, rozumie teraźniejszość i dobrze rozeznaje polskie interesy.

Prof. Lena Kolarska-Bobińska, była minister nauki i szkolnictwa wyższego w rządzie PO, widzi sprawy podobnie. W TVN24 tak scharakteryzowała wyborców obozu rządzącego: „Prawo i Sprawiedliwość od wielu, wielu lat miało ok. 30 proc. poparcia. To był ten taki twardy elektorat, bardziej wiejski, bardziej małomiasteczkowy, mniej wykształcony. Taki tradycyjny elektorat tej partii" – przekonywała. Prawda jest bardziej złożona: Platformę popierają nie tyle ludzie wykształceni, ile źle wykształceni. Ludzie naprawdę obyci wiedzą, że opozycja proponuje dziś w Polsce zaściankowość, mikromanię i zgodę na wiecznie peryferyjny, półkolonialny status kraju.

Opublikowany przez „Gazetę Wyborczą" „sondaż obywatelski" miał przekonać publiczność, że jedynie wspólna lista opozycji pozwoli odsunąć PiS od władzy. Cel był jasny: chodziło o zmuszenie liderów Polski 2050, PSL i Lewicy do pójścia na służbę Tuska. Operacja spaliła jednak na panewce także dlatego, że pojawiły się poważne wątpliwości co do przedstawionych wyliczeń. Fachową debatę dr Maciej Onasz, politolog z Katedry Systemów Politycznych Uniwersytetu Łódzkiego, podsumował tak: „Faktyczne wyniki pokazują porażkę opozycji w wariancie jednej listy, a pokazano zmodyfikowane wyniki, jakoby wygrywała głosowanie. W mojej ocenie jest to skrajna manipulacja". Powraca stare hasło: niby coś piszą, niby coś opisują, ale wszyscy wiemy, że nie o to chodzi.

Paulina Matysiak, posłanka partii Razem, w sprawie reparacji od Niemiec ma takie oto zdanie: „Jeżeli PiS chce uczciwie otworzyć ten temat zadośćuczynienia Polakom za krzywdy w czasie II wojny światowej, to też powinien być otwarty na uczciwe postawienie i załatwienie sprawy mienia przejętego przez Polskę z tzw. Ziem Odzyskanych" – mówiła na antenie Polskiego Radia 24. Później przeprosiła za swoje słowa i podkreśliła, że nie ma wątpliwości, że Polska i jej mieszkańcy doznali ogromnych krzywd w czasie II wojny światowej, a krzywdom tym nigdy nie zadośćuczyniono. Dobrze, że nie brnęła, ale niesmak pozostał. No i ważna korekta: to nie są „tzw. Ziemie Odzyskane". To są Ziemie Odzyskane. Fakt, że często po stuleciach, niewiele tu zmienia.

Michał Bilewicz, pracownik Uniwersytetu Warszawskiego, też powinien przeprosić. Za następującą wypowiedź: „Nie zgadzam się, [że] Pol-

eprasa.pl e67cdd99de

ska jest coś winna Niemcom. Jest winna Niemcom przeprosiny za wszystkie obelgi i oszczerstwa, które pojawiały się w mediach publicznych w ostatnich latach. Za notoryczne znieważanie flagi Republiki Federalnej Niemiec i za dyskryminację mniejszości niemieckiej". Zgodnie z tą optyką, za II wojnę światową też pewnie mamy przepraszać. Bo przecież przez ostatnie lata to Niemcy za wszelką cenę chcą zmienić rząd w Warszawie i podejmują działania agresywne, a nie odwrotnie.

W czasie spotkania ***Donalda Tuska*** z wyborcami w Pszczynie pojawiła się kwestia aborcji. Jedna z kobiet zapytała lidera PO, czy oglądał film pt. „O tym się nie mówi", dotyczący wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji eugenicznej. Tusk przyznał, że film nie tylko oglądał, lecz także był „przy jego narodzinach". „Uważam, że akurat ten film może spokojnie zmienić sposób myślenia czy widzenia wielu, wielu ludziom. Jak ja bym miał... Jak będę decydował o tym, co jest w telewizji publicznej, to na pewno... Ale w takim razie... Dobrze, że pani mi to przypomniała. Trochę ludzi znam w Polsacie i TVN, spytam wprost dlaczego... Nie? Niech odmówią najwyżej, to będą się wstydzić. Nie będę się wahał. Umówię się w przyszłym tygodniu, jak wrócę ze Śląska, z ludźmi, którzy tam podejmują decyzje, i spróbujemy nacisnąć" – obiecywał. Taki to z Tuska demokrata i miłośnik medialnego pluralizmu.

Tusk zmierzył się z też z pytaniem o reparacje od Niemiec. „Wolę wyciągnąć pieniądze, które Niemiec daje, i wyciągałem rekordowe ilości pieniędzy z kasy europejskiej, to znaczy też pieniędzy niemieckich, a PiS-owscy frajerzy z Mularczykiem na czele biegają z papierami na temat reparacji, a *de facto* finansują miliardami polskich złotych niemiecką gospodarkę. Bo Niemcy wzięli te pieniądze z KPO, a my tam je wpłacimy. Oprócz pieniędzy europejskich dostaniemy też to, co się należy od Niemców, jeśli chodzi o jeszcze żyjące ofiary, a wszyscy, którzy narodzili się przed wojną i w czasie wojny, to w jakimś sensie ofiary napaści niemieckiej. Tylko to trzeba umieć załatwić, a nie latać jak pajace po całym świecie, obnosić się ze swoim patriotyzmem, a na końcu kieszeń dziurawa i pistolet za paskiem". Ileż to słów potrafi człowiek wypowiedzieć, byle nie narazić się swojej centrali.

Jednemu z uczestników spotkania, który podjął kwestię reparacji, Tusk odpowiedział tak oto: „Pan mówi, że nawet nie chodzi o to, żeby pan dostał te reparacje. Pan w ogóle z jakiej paki miałby dostać reparacje wojenne, panie!". Wicepremier Piotr Gliński odpowiedział: „Tak odpowiada menel na sprawy bardzo ważne i poważne". Celne i adekwatne nie tylko w kwestii roszczeń wobec Niemiec.

Ekke Overbeek, korespondent holenderskich dzienników „Trouw" i „Het Financieele Dagblad", znalazł się w centrum uwagi. I trudno się dziwić, skoro zdecydował się uderzyć w św. Jana Pawła II. Postać to ciekawa i zastanawiająca na wielu poziomach. Np. w rozmowie z dziennikarzem TVN z 19 grudnia 2021 r., a więc ledwie dwa miesiące przed rosyjską agresją na Ukrainę, mówił tak: „PiS jest w swojej retoryce bardzo rusofobiczny. Niemieckofobiczny jeszcze bardziej, ale też rusofobiczny. Stosunków z Rosją nie ma, to epoka lodowa. Ale jak patrzysz na to, jakie interesy ma Rosja, to może się okazać, że PiS jednak jest partią bardzo prokremlowską". Jak tak patrzysz na Overbeeka, to też nasuwa się pytanie, czy nie jest on aby prokremlowski. W czyim interesie leży dalsze skłócanie Polaków i niszczenie jednego z ostatnich narodowych autorytetów?

Roman Giertych ma kolejną teorię spiskową! W serii wpisów w mediach społecznościowych adwokat stwierdził, że do powstania materiału TVN szkalującego dobre imię Jana Pawła II przyczynili się... współpracownicy metropolity krakowskiego ks. abp. Marka Jędraszewskiego pozostającego w zmowie z PiS. Jak? „Pomogli dziennikarzom TVN dotrzeć do kontrowersyjnych materiałów dotyczących Karola Wojtyły". Po co? „Aby później go »bronić«. [...] Zasłaniają swoje mściwe gęby zdjęciami papieża" – przekonuje Giertych. Tak, my też wiemy, że ten atak nie pomógł opozycji. Ale to nie wina PiS, ale nienawiści do Kościoła, która zaślepiła paru decyzyjnych ludzi po stronie III RP.

Prezydent Chin złożył wizytę w Moskwie. Słynny rosyjski szachista i opozycyjny polityk Garri Kasparow podsumował rzecz tak: „Cesarz ***Xi Jinping*** złożył królewską wizytę Pu Tinowi, regionalnemu zarządcy północnochińskiej prowincji Ruxia". „To największe upokorzenie Rosji w historii" – zaznaczył, dodając: „To nie jest sojusz, to szef i lokaj". Co ciekawe, żegnając się z Putinem, Xi Jinping powiedział: „Nadchodzi zmiana, której nie było od 100 lat, i wspólnie napędzamy tę zmianę". Zabrzmiało jak porada, której wyrocznia w Delfach udzieliła ostatniemu królowi Lidii Krezusowi przed wyprawą na Persję, stwierdzając: „Jeśli zaczniesz wojnę, zniszczysz wielkie państwo". Przepowiednia wypełniła się: Krezus uderzył, przegrał, a jego królestwo upadło. I tak też będzie z Rosją.

Fot. Andrzej Skwarczyński, M. Czutko, Andrzej Wiktor, photocosmos1/Shutterstock.com

eprasa.pl e67cdd99de

Wrak jednej listy

KRZYSZTOF FEUSETTE

Muszę się uspokoić. Raz, dwa, trzy... ein, cfaj, draj... Ech, kopnąłby człowiek jak za dawnych lat w paprotkę albo chociaż buty sobie przetarł cudzą marynarką, a tak może tylko zaciskać zęby. Nie chcą jednej listy? Jeszcze będą mi wyć pod oknami, a ja tylko Jurnego z Gumowym wypuszczę. To ja po to na TikToku z wnuczkami się bawię, żeby mi potem przystawki lektyką chybotały? Sondażem się zasłaniają, że w moje obietnice nie wierzy już 73 proc. narodu? I co z tego? Nie mają mi wierzyć, tylko bać się PiS, bo ja jestem dobro, a PiS to zło!

Aż żal duszę ściska, że to już nie te czasy, gdy wystarczyło w każdej sprawie napisać „Donald się wściekł" i wszyscy wiedzieli, że premier trzyma rękę na pulsie i kijku narciarskim, a co do konsekwencji to jeszcze się zobaczy, choć na pewno nie w żadnej telewizji czy innych mediach. „Teflon" na mnie mówili, tyle że każdy teflon się zdziera, i tak dobrze, że „rączka" od lat jedna i ta sama go ściska. Nie tylko Ursula czeka, żebyśmy nareszcie, zwłaszcza w obliczu rosnącej pozycji Polski, przywrócili jej pozycję, która jej się należy. Szparagów nie ma komu zbierać, że o reperacjach nie wspomnę. Niby z jakiej paki Niemcy mieliby coś płacić? To raczej my powinniśmy im wiecznie dziękować po niemiecku za wszystko i za to, że ich rządy były błogosławieństwem dla Europy, Polski i Ukrainy. Oczywiście, wyłączając Nord Stream 2, ale tu akurat osobiście sumienie mam tradycyjnie czyste, bo nieużywane: byłem przeciw podobnie jak Angela, a może nawet i Gerhard. Kto wie, czy przeciw nie był sam Putin? Tylko wtedy Trzaskowski stwierdził, że to jest projekt biznesowy, a Sikorski, że trzeba się było przyłączyć, i jakoś żeśmy z tą rurą zostali. Ale to nieprawda, że myśmy wtedy w Unii, jak to ujął ostatnio kolega Tomczyk, „karty rozdawali". Ja tam nigdy w restauracji nie pracowałem, więc jako kelner tym bardziej nie. W każdym razie nie dosłownie. Było się tzw. europejskim demokratą. A przypomnę, że tzw. demokracja to ustrój, w którym władza, jak chce posłać sześciolatki do szkół, to posyła, choćby ośmiu rodaków na dziesięciu było przeciw, a kiedy emerytom każe pracować do 67. roku życia, to choćby dziewięciu ludzi na dziesięciu się opierało, będą babcie i dziadkowie harować do końca życia i o jeden dzień dłużej.

Dlatego żeby nikt z opozycji nie mówił, że nie wiedział: dostaniecie baty, pójdziecie pod lód, wyginiecie jak dinozaury. Sama Kopaczowa was kamieniami zatłucze w dwa miesiące. Hołowni już powiedziałem: „Jeśli ja trafię do piekła, jak nie wygram wyborów, to i ty trafisz, tylko do jeszcze gorszego!". Do Władysława mam pretensje jeszcze większe. Tak ładnie Graś mówił o nim na taśmach, że „fajny, przystojny chłopak" i że najgorsze reformy przeprowadził bez zmrużenia oka, emerytalną i OFE (zwaną skokiem), a on nam teraz odmawia?

Za chwilę – z tego, co wiem – organ Adama Michnika ustami Jarosława Kurskiego poinformuje, że może zwyciężyć już tylko jedna lista, bo jak nie, to gleba, kaplica i gorzej niż w Rosji. Wiem, bo często bywam współautorem medialnych materiałów, choć o tym, że bezpośrednio, to chyba niepotrzebnie się wygadałem. Na wojnie tak bywa, a przecież to jest wojna, którą rozpętałem nie przypadkiem. Kiedyś to ja bym się wolał nie urodzić, niż nekropolitykę uprawiać, a dziś żyły sobie wypruwam, żeby chociaż pół procenta z czyjegoś samobójstwa wydusić. Już nawet o pedofilii Jana Pawła II wspominam, żeby Urbanowe dzieci miały co żreć poza całą karmą całą dobę. A oni nie chcą? Ze mną?!

Na szczęście są w naszych szeregach ludzie wystarczająco młodzi duchem i przebojowi ciałem, aby stawić czoła wyzwaniom nie tylko w kampanii hardkorowego anty-PiS, gdy wszystkie ohydztwa są dozwolone, lecz także i tej, w której to naszym serdecznym przyjaciołom z opozycji trzeba będzie przejechać po łydkach pokrzywami. Jedną z naszych wschodzących gwiazd, której pragnę publicznie podziękować, jest kolega Saługa. Swoją bohaterską postawą podczas wywiadu radiowego uratował on nie tylko dobre imię naszej partii matki, która krzyże zdejmuje, nie kreśli, ale przede wszystkim ocalił wizerunek przewodniczącego. Otóż poseł Saługa na potworne, obrzydliwe, podłe, jak powiedziałby kolega Jurny – pytanie dziennikarza: „Który Tusk jest prawdziwy, ten sprzed lat, który mówi coś, czy ten obecnie, który mówi coś dokładnie odwrotnego?", odparł z godnością twardego jądra partii – iż ten obecny. Bo to on jest „świeży i mówi to, co teraz ma w głowie". Niestety, także to znakomite wystąpienie ma swoje drugie dno, gdyż prowokuje do pytań: „Gdzie zatem, jeśli nie w głowie, miał to, co mówił wcześniej?", „Jak często to, co ma w głowie, ląduje tam, gdzie nawet słońce w Peru nie zachodzi?".

Spokojnie, przyjdzie czas powyborczych rozliczeń, gdy powstanie – dziś nieomal już gotowa – lista winnych, że wyniki są takie, a nie inne. Będzie to lista osób, które nie chciały pomóc w stworzeniu tutaj nowego, wspaniałego kraju. Bez PiS-owców, katolików, księży, papieża Polaka, IPN, CBA, ABW, TK, NBP, TVP, TVP Info, materiałów archiwalnych, za to z przywróceniem emerytur esbekom, a funkcji premiera, tak, tak... Ale może niech opowie o tym nasz człowiek – symbol, mistrz kierownicy, choć na szczęście dzisiaj pieszo, pan Sebastian. Pan Sebastian, od niedawna członek PO, chciałby wystartować nie w konkursie na Drogową Sierotę Roku, nie na Festiwalu Najbardziej Wymownych Symboli Partyjnych, ale po prostu do Sejmu. Panie Sebku, pan pokaże jeszcze raz tego wraka... Nie, no, posła niech pan zostawi... O auto chodzi. Proszę bardzo, oto wrak! Wiecie, co my mówimy tym wrakiem? To jest nasz wrak, bo to jest symbol i pomnik! Konkretnie – jednej listy! I to nie jest nasze ostatnie słowo.

eprasa.pl e67cdd99de

Prawdomówny jak Biedroń

Polityków trzeba słuchać bardzo uważnie. Zwłaszcza gdy mówią, że coś jest możliwe i jest niewykluczone. Wtedy z dużą dozą prawdopodobieństwa to się właśnie nie stanie

Na początku marca delegacja Nowej Lewicy z Robertem Biedroniem na czele wyskoczyła z wizytą do Finlandii. Podróż była z pewnością przyjemna, zdjęć polskich polityków z premier Finlandii Sanną Marin zatrzęsienie, a po powrocie radości nie było końca. Współprzewodniczący Nowej Lewicy triumfalnie ogłosił, że załatwił Polkom legalną aborcję w Finlandii. Gdy wieść o tym, co ogłosił w Polsce Robert Biedroń, wróciła do Finlandii, przedstawiciele tamtejszego rządu zaczęli się łapać za głowy i prostować słowa europosła.

„Mamy porozumienie w sprawie darmowej aborcji dla Polek w Finlandii. Gabinet Sanny Marin chce pomóc Polkom w dostępie do ich podstawowych praw. Nasze rodzime partie Nowa Lewica i Socjaldemokratyczna Partia Finlandii rozpoczynają rozmowy o szczegółach technicznych. W nowej kadencji fińskiego rządu dojdzie do finalizacji postulatu, jeśli gabinet Sanny Marin się utrzyma" – napisał Biedroń w mediach społecznościowych. W podobnym duchu wypowiadali się członkowie delegacji. Wielki sukces jednym słowem.

I gdy już w Polsce echa tej wizyty przycichły, „Fakt" poinformował, że w Finlandii wieść o tym, co miała polskiej delegacji obiecać Sanna Marin wywołała niezłą drakę. „Co ten Robert Biedroń narozrabiał? Burza w Finlandii po słowach polskiego europosła" – informuje tabloid. Według gazety, słysząc deklaracje polskiego europosła, członkowie fińskiego rządu przecierali uszy i oczy ze zdumienia i musieli prostować rewelacje polskiego polityka. Miało się zacząć od reakcji m.in. Päivi Räsänen, przewodniczącej parlamentarnej grupy Chrześcijańskich Demokratów w Finlandii. Polityczka, dowiedziawszy się o rzekomym porozumieniu polskich polityków z rządem Finlandii, napisała, że „deklaracja aborcyjna jest absurdalna i bezduszna – nasza służba zdrowia jest potrzebna Finom, a nie do niszczenia życia polskich dzieci". „Zdziwienie wyrazili nie tylko posłowie fińskiej opozycji, lecz także strona rządowa. Odpowiadając na pytania fińskich mediów, Kancelaria Premiera Finlandii wyjaśniła, że spotkanie z europosłem Biedroniem trwało zaledwie 10 minut i było »grzecznościowe«. »Polska delegacja opisała pani premier sytuację praw człowieka w kraju i wyraziła nadzieję, że w przyszłości uda się zintensyfikować współpracę w obronie praw kobiet w Europie. Podczas spotkania nie padły żadne obietnice« – poinformowała Kancelaria Premiera Finlandii w dzienniku »Ilta-Sanomat«" – czytamy w „Fakcie".

Ale jak wczytamy się dokładnie w komunikat Roberta Biedronia po powrocie z Finlandii, to zobaczymy, że polityk nie powiedział, że załatwił sprawę. Tylko że „rozpoczynają się rozmowy", a do „finalizacji postulatu" dojdzie w nowej kadencji. O ile taka w ogóle będzie. Kto wie, może się okaże, że polski polityk narobił ulubionej premierce europejskiej lewicy takich problemów, że i fińskich wyborców to rozjuszy.

Ale te pozornie mało znaczące słowa w wypowiedziach Roberta Biedronia mogą się okazać kluczowe. Tak było np. z historią zrzeczenia się przez niego mandatu europosła. W styczniu 2019 r. w „Rozmowie Piaseckiego" w TVN24 Biedroń mówił, że jeśli zostanie wybrany do europarlamentu, to prawdopodobnie nie przyjmie nawet mandatu i wystartuje w wyborach parlamentarnych w Polsce jesienią. Potem troszkę zmienił narrację i tłumaczył: „Wystartuję do europarlamentu i nie przyjmę mandatu albo zrezygnuję z mandatu". Jednak w lipcu 2019 r., gdy Robert Biedroń został zaprzysiężony i zdecydował się pobierać dietę w euro, wyraźnie wybrzmiało słowo „prawdopodobnie". Przecież „prawdopodobnie" znaczy tyle, że coś przypuszczalnie nastąpi, ale nie znaczy, że nastąpi z całą pewnością. Dlatego polityków trzeba słuchać bardzo uważnie. Zwłaszcza gdy mówią, że coś jest możliwe i jest niewykluczone. Wtedy z dużą dozą prawdopodobieństwa to się właśnie nie stanie. I wreszcie wszyscy znamy memogenne „petruizmy". Dołączają do nich „biedronizmy", czyli rzeczy tak prawdopodobne, że aż niemożliwe.

Dorota Łosiewicz

Chan i jego wasal

Rosja

Fot. via REUTERS

Władimir Putin wiele sobie obiecywał po trzydniowej wizycie Xi Jinpinga, którego goszczono w zeszłym tygodniu z wielką pompą w Moskwie. Nie wiemy oczywiście – i pewnie prędko się nie dowiemy – o czym rozmawiano w cztery oczy, ale oficjalne rezultaty wizyty gościa z Chin wydają się dość skromne.

Podpisano wprawdzie wspólne oświadczenie, w którym Xi i Putin oceniają, że rosyjsko-chińskie stosunki są najlepsze w historii i „przewyższają sojusze znane z czasów zimnej wojny", ale Moskwa liczyła na bardziej konkretne wsparcie ze strony Chin – zarówno w wymiarze polityczno-militarnym, jak i w gospodarczym.

Pekin wydaje się jednak ostrożny, jeżeli chodzi o otwarte deklaracje. Chiny wykorzystują fakt, że Kreml, który jest uwikłany w brutalną wojnę na Ukrainie, popada w coraz większe uzależnienie od Pekinu. Tymczasem Chiny nie spieszą mu z odsieczą. Putinowi bardzo np. zależało na przekierowaniu na rynek chiński nadwyżek surowców energetycznych sprzedawanych dotąd w Europie, jednak nie uzyskał jednoznacznej zgody Chin na budowę gazociągu Siła Syberii 2.

Zamiast tego Kreml musiał zaakceptować chińską propozycję wzajemnych rozliczeń w juanach. Osłabiona i skonfliktowana z Zachodem agresywna Rosja bardziej odpowiada interesom Chin, bo absorbuje uwagę Stanów Zjednoczonych i toruje tym samym drogę imperialnym ambicjom Pekinu. „Następują teraz zmiany, jakich nie było od 100 lat. Gdy jesteśmy razem, to my kierujemy tymi zmianami" – powiedział Xi, żegnając Putina. Jak napisał przed wizytą jeden z chińskich kremlinologów, prof. Feng Yujun, Rosja jest dzisiaj mocarstwem drugiej kategorii, które opiera się na podbojach i na sprzedaży zasobów naturalnych, podczas gdy strategiczna rywalizacja Chin i USA znajduje się na znacznie wyższym poziomie, skupiając się na innowacjach technologicznych, możliwościach finansowych i wpływie na globalne zarządzanie. Zdaniem eksperta Chiny muszą wreszcie czerpać polityczne zyski z tego, że są silniejsze od Rosji, i powinny dać to jej do zrozumienia.

Putin zaczyna chyba powoli akceptować ten wasalny status. Zdaje on sobie bowiem sprawę z tego, że Chiny gwarantują utrzymanie dotychczasowej struktury władzy w Rosji, a to dla kremlowskiej kliki jest dziś sprawą życia i śmierci. To pewnie dlatego moskiewska wizyta Xi przypominała odwiedziny chana u wasala, a Putin podrygiwał służalczo wokół zdawkowo uśmiechniętego gościa z Chin. Historia znów zatacza koło, i to na różnych poziomach.

Konrad Kołodziejski

Uganda

Antygejowska ustawa

Fot. iain statham/Shutterstock.com

Parlament Ugandy, kraju położonego we wschodniej Afryce, rozpoczął właśnie prace nad nową ustawą, na podstawie której relacje homoseksualne, również transpłciowość i niebinarność, będą karane nawet 10-letnimi wyrokami więzienia. Projekt ustawy zgłoszony został przez Asumana Basalirwę, przedstawiciela opozycji, ale zyskał poparcie posłów rządzącego krajem Narodowego Ruchu Oporu, co oznacza, że prawdopodobieństwo jej uchwalenia jest duże.

W systemie prawnym Ugandy jeszcze przed uzyskaniem niepodległości w 1962 r. funkcjonowało zaczerpnięte z brytyjskich rozwiązań prawo zakładające penalizację relacji homoseksualnych. Zostało ono formalnie unieważnione w wyniku decyzji Sądu Najwyższego w 2014 r., jednak mimo wieloletniego obowiązywania rygorystyczne ustawy nie były egzekwowane, a w ostatnim 10-leciu Uganda w ogóle nie miała regulacji prawnych dotyczących tych kwestii. Obecny zwrot jest związany z przyłączeniem się części episkopatu ugandyjskiego Kościoła anglikańskiego do apelu tych brytyjskich biskupów, którzy sprzeciwili się decyzji o uznaniu przez kościół małżeństw jednopłciowych. Krytykujący tę decyzję biskupi napisali, że „Kościół anglikański zdecydował się zerwać komunię z tymi prowincjami, które pozostają wierne historycznej wierze biblijnej".

Sąd Najwyższy Ugandy podjął w 2014 r. decyzję o unieważnieniu ustawy penalizującej homoseksualizm, powołując się na fakt, że za jej przyjęciem głosowało z powodu braku kworum jedynie jedna trzecia z liczącego 529 deputowanych parlamentu. Żeby obecnie oddalić tego rodzaju ryzyko, rządząca większość chce, by obecnie głosowanie miało charakter obowiązkowy. Anita Among, przewodnicząca parlamentu Ugandy, powiedziała, że „to jest czas, kiedy każdy może pokazać nam, czy jest homoseksualistą, czy nie".

Nowa ustawa zyska najprawdopodobniej większość w tym konserwatywnym afrykańskim kraju, który dołączy do innych państw kontynentu, w których homoseksualizm jest ścigany i karany z mocy prawa. Około połowa z 54 państw afrykańskich w różny sposób penalizuje relacje jednopłciowe, w niektórych przypadkach, jak w Nigerii, Somalii, Sudanie czy Mauretanii, nawet karą śmierci.

Obecnie w Afryce coraz częściej mówi się o zaostrzeniu polityki wobec mniejszości seksualnych, co ma związek ze spadkiem wpływów Zachodu na kontynencie.

Marek Budzisz

eprasa.pl e67cdd99de

Wstydliwy rozdział w życiu pani premier

Niemcy

Gazprom zainwestował miliony euro w fundację klimatyczną premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego Manueli Schwesig [na zdj.] z SPD. Pieniądze nie miały jednak służyć ochronie klimatu, lecz ochronie gazociągu Nord Stream 2 przed amerykańskimi sankcjami. Gazprom bezpośrednio instruował w tej sprawie panią premier, a część dokumentujących to akt zaginęła.

Co więcej, na początku 2022 r. urzędniczka skarbówki w Meklemburgii spaliła zeznanie podatkowe fundacji. Spalone dokumenty były o tyle ważne, że na ich podstawie miała zapaść decyzja o zapłacie podatku od darowizny w wysokości 20 mln euro, którą fundacja otrzymała od Nord Stream AG. Według „Die Welt" budzi to podejrzenie, że pani premier naciskała na urząd podatkowy, by pozbył się niewygodnych dokumentów. Dowodów na to, jak na razie nie ma, ale sprawą zajmuje się komisja śledcza parlamentu Meklemburgii.

Nic nie wskazuje na to, że niemieccy socjaldemokraci zamierzają rozliczyć panią Schwesig z jej działalności lobbingowej na rzecz Kremla. Ona sama po rozpoczęciu rosyjskiej agresji na Ukrainę, gdy już stało się jasne, że druga nitka gazociągu nie zostanie uruchomiona, zmieniła postawę i zaczęła piętnować politykę Moskwy. Poza tym zarzekała się i wciąż się zarzeka, że o niczym nie wiedziała. Do dymisji także nie chce się podać, bo w końcu wybrali ją obywatele i ma wobec nich zobowiązania. Jak twierdzi, chodziło jej tylko o zapewnienie dostaw taniego gazu. „Nie reprezentowałam interesów Rosji, tylko Berlina" – zaznacza.

W miniony wtorek doszło do kłótni podczas posiedzenia landtagu Meklemburgii-Pomorza Przedniego. Zieloni chcą, by komisji śledczej udostępniono pełną korespondencję między kancelarią Schwesig i Nord Stream AG, bo podejrzewają, że powstanie fundacji klimatycznej było rosyjskim pomysłem. Schwesig uważa, że to teorie spiskowe propagowane przez media. Tyle że gazeta „Ostsee Zeitung" opublikowała e-maile skierowane do Schwesig przez rzecznika Nord Stream AG Steffena Seiberta, w których określił amerykańskie sankcje mianem polityki kolonialnej i poinstruował ją, jak ma odpowiadać na krytyczne pytania dziennikarzy. Schwesig najchętniej pozbyłaby się fundacji klimatycznej i zamknęła ten nieprzyjemny rozdział w swoim życiu. Ale jej poprzednik na stanowisku premiera landu, Erwin Sellering, z którym zakładała fundację, nie godzi się na jej likwidację i chce wydać 20 mln euro od Gazpromu na ochronę klimatu. Parlament Meklemburgii uważa jednak, że to krwawe pieniądze Putina. Uważa tak teraz także Schwesig, która chce je przeznaczyć na wsparcie dla walczącej Ukrainy. Trudno jednak uwierzyć w szczerość tej przemiany.

Aleksandra Rybińska

Fot. pendofoto/Shutterstock.com, Shutterstock

Holandia

Przeciw Zielonemu Ładowi

Ruch Rolnik-Obywatel (po niderlandzku: Boer Burger Beweging – w skrócie: BBB) powstał zaledwie trzy lata temu. Dziś jest według sondaży trzecią siłą polityczną w Holandii. W przeprowadzonych niedawno wyborach samorządowych, połączonych z wyborami do Senatu, zajął pierwsze miejsce, zdobywając 20 proc. głosów i 15 mandatów senatorskich w 75-osobowej izbie. Założycielka i szefowa formacji, dziennikarka Caroline van der Plas, skomentowała wynik krótko: „To nienormalne, ale oczywiste! Głosowali na nas tylko normalni ludzie".

Ona sama nie wzięła udziału w elekcji, ponieważ wielokrotnie grożono jej śmiercią. Nie chciała skończyć tak jak libertariański polityk Pim Fortuyn, zamordowany dziewięć dni przed wyborami parlamentarnymi w 2002 r. przez radykalnego działacza ekologicznego. Groźby pod jej adresem pochodziły bowiem ze środowisk fanatycznych ekologów.

Dlaczego? Wynika to z programu partii, który nastawia do niej wrogo zielonych aktywistów, lecz zarazem przyciąga szerokie rzesze społeczne, szczególnie mieszkańców wsi. Ruch BBB powstał bowiem jako reakcja na holenderską politykę klimatyczną. Rząd Marka Rutte w ramach ograniczania emisji dwutlenku węgla i azotu postanowił zlikwidować olbrzymią część branży rolniczej, a zwłaszcza hodowli zwierząt. Dla tysięcy gospodarstw rolnych oznacza to zamknięcie dochodowego biznesu i pożegnanie się z dorobkiem całego życia.

Ruch BBB zyskał też poparcie mieszkańców miast, przerażonych działaniami ekologicznymi, nakazującymi wstrzymanie budowy nowych domów, jeśli nie spełniają one wyśrubowanych norm emisji gazów cieplarnianych. Ta polityka doprowadziła już do radykalnego wzrostu cen mieszkań.

W tej sytuacji BBB domaga się odrzucenia Nowego Zielonego Ładu, a w dłuższej perspektywie zatrzymania procesu centralizacji władzy w Unii Europejskiej. Chce ograniczyć kompetencje Unii do poziomu z czasów Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Nic zatem dziwnego, że nowy ruch stał się dziś w Holandii wrogiem numer jeden dla lewicowo-liberalnego establishmentu.

Grzegorz Górny

eprasa.pl e67cdd99de

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Paragraf na oszustów

Jan Pietrzak

W natłoku ostatnich wydarzeń najbardziej spodobał mi się nakaz aresztowania Putina, wydany przez trybunał haski. Akt prawny, służący dobru ludzkości, mający powstrzymać szalejącego zbrodniarza. Ba, ale kto ma tego aresztowania dokonać? Takim pytaniem mogłaby się rozpocząć akcja filmu z gatunku political fiction. A może realnie – choć tajnie – toczy się już taka akcja? Pasjonujący czas przed nami.

Zwłaszcza Polacy mają powody, by z pełnym zaangażowaniem śledzić rozwój wypadków. Jesteśmy tuż po Ukrainie następnym celem rosyjskiego zbrodniarza. Pozytywnie odnotujmy fakt, że najprawdopodobniej w Hadze nie działają macki kasty sądowej, która panoszy się w Luksemburgu, Wenecji i Warszawie. Tak więc z wiosną należy sadzić młode szubienice, niech wypuszczają świeże pędy, by były gotowe do użycia w nadchodzącym sezonie. Ten motyw rozkwitających szubienic pochodzi ze studenckiego kabaretu Hybrydy, z ezoterycznej piosenki Adama Kreczmara (lata 60. ub.w.).

Wracając do „ad remu", jak mawiał pewien wykształciuch, problem z Putinem polega nie na pytaniu „czy?", lecz „kiedy?". Dla mojego rocznika to kwestia zasadnicza. Chciałoby się widzieć na własne oczy koniec ruskiego miru, czyli nieludzkiego draństwa i terroru.

Z kolei na krajowym podwórku, co ujawnia kampania wyborcza, najwyraźniej brakuje paragrafu broniącego prawdy. Obiektywna prawda nie zawsze jest widoczna gołym okiem, a jest niezbędna ludziom dla orientacji w zagmatwanym świecie. Grasują nam tutaj bezkarni oszuści oraz naciągacze bez umiaru i wstydu zakłamujący rzeczywistość. Totalna opozycja to parada oszustów. A ich upiorny wódz coraz bardziej przypomina zombi na łowach. Śmieszy, tumani, przestrasza gawiedź, by ją niecnie wykorzystać dla swoich celów.

W naszym prawie brakuje mechanizmu weryfikacji prawdy. Skalę zjawiska ujawniają coraz nowsze zdobycze cywilizacji dające niebywałe wręcz możliwości manipulacji, prasowania mózgów, wciskania kitu w łepetyny. Musi się na to znaleźć jakiś paragraf, bo ugrzęźniemy w jazgocie oszukańców. Na początek proponuję biczowanie zombiaka pod pręgierzem, a potem się zobaczy...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Pocisków w Europie brak

Dominik Zdort

Nie zapominajmy o wojnach. I o tych sprzed wielu lat, a także o tej, która wciąż trwa tak niedaleko, za naszą wschodnią granicą. Przerażające są enuncjacje naszych zachodnich sąsiadów, którzy nigdy nie spodziewali się starcia z Rosją. To mało: nie śmieli się głośno spodziewać, żeby Moskwy nie prowokować.

Europa Zachodnia, od lat oskarżająca polskie władze o antykremlowskie obsesje i rusofobię, konsekwentnie redukowała swoje możliwości zbrojeniowe. Czasem z korzyścią dla Polski – dzięki tej naiwności za bezcen kupiliśmy czołgi, których Niemcy nie potrzebowali, bo woleli z Putinem prowadzić interesy.

Zachodnia – niemiecka i francuska – „pokojowość" dziś szkodzi światu, szkodzi Ukrainie i sprzyja Rosji. Taka jedna gazeta, w skrócie „GW", od lat wyśmiewająca polskie prawicowe prowojenne obsesje, dziś pisze wprost: w Europie nie ma fabryk, które są w stanie produkować naboje, państwa UE muszą kupować pociski w Indiach lub w Korei. Co za kompromitacja. Tej gazety i jej europejskich idoli (a równocześnie patronów). Szkoda, że nie potrafią się do tej nędzy politycznej i moralnej przyznać.

Trochę to przypomina – z wszelkimi ahistorycznymi zastrzeżeniami – postawę wobec nazizmu i komunizmu w latach 30. ub.w. Wiadomo, jak się to skończyło. Ile razy Zachód, traktujący Polskę – a obecnie też Ukrainę, Węgry, Czechy, Słowację – jako państwa buforowe, które przyjmą „na klatę" pierwsze uderzenie, może być tak naiwny? Co tam naiwny – po prostu kretyński, narażający bezpieczeństwo świata.

Niech nikt mnie nie pyta, co na to poradzić, bo to są skutki zwyrodniałej pseudodemokracji, kiedy większość głupawych wyborców w państwach Zachodu czuje się bezpieczna, uważając, że problem „totalitarnego zagrożenia" to kwestia Polski i Węgier, a nie Rosji. A elity potrafią tylko swoim obywatelom przyklaskiwać, bo wyborcze zwycięstwo jest dla nich ważniejsze niż losy świata.

Nikt chcący zachować powagę i autorytet nie odsądza od czci i wiary demokracji. Więc ja się też na to nie zdobędę. Ale użyję triku, który stosują zachodni macherzy – właśnie wobec Polski czy Węgier. Otóż nie chodzi o demokratów, ale o populistów. Zwolennicy dogadywania się z Rosją to nie demokraci, ale populiści szukający wsparcia najbardziej prymitywnych wyborców.

A że demokracja jest z natury rzeczy populizmem? No cóż, kwestia nomenklatury.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl e67cdd99de

BRONISŁAW WILDSTEIN

Studium manipulacji

Dużo zostało już powiedziane na temat rewelacji, na których została oparta kampania wymierzona w Jana Pawła II. Niepodważalne fakty okazują się zestawem zmanipulowanych i zestawionych odpowiednio relacji, z których zostały wyeliminowane wszelkie niewygodne i przeczące założonej tezie elementy. Dowody okazują się pomówieniami.

Głównym autorytetem tej kampanii jest Ekke Overbeek znany wyłącznie z obrzydzenia do wyrastającego z chłopstwa narodu polskiego, co budzi ostentacyjny dyzgust holenderskiego dziennikarza. Oburza go wyborczy sukces PiS, polska rusofobia i narastający podobno za rządów prawicy antysemityzm. Poprzednia jego książka „Lękajcie się. Ofiary pedofilii w polskim Kościele mówią" wypromowała oszusta, Marka Lisińskiego, fałszywą ofiarę księdza pedofila, który na swojej pseudomartyrologii zrobił karierę. Założył stowarzyszenie usiłujące wyciągnąć pieniądze od Kościoła i doczekał się wycałowania swoich rąk przez papieża Franciszka, z którym skontaktowała go Joanna Scheuring-Wielgus.

Teraz Overbeek wydał książkę „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział", której wartość poznawcza wyczerpuje się w tytule. Występuje jako główny ekspert od polskiego Kościoła w zrealizowanym przez Marcina Gutowskiego TVN-owskim filmie „Franciszkańska 3", któremu warto przyjrzeć się jako modelowemu przykładowi manipulacji. Jest to zresztą kolejny produkt tej stacji, który za pomocą identycznej metody uderza w polski Kościół. W 2019 r. został wyemitowany w niej film „Tylko nie mów nikomu" Tomasza Sekielskiego. Pozwolę sobie zacytować fragment tego, co już wcześniej opublikowałem na jego temat.

„Zbliżenie na przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski abp. Stanisława Gądeckiego, który ogłasza, że wszystkie ofiary księży pedofilów zostaną przez Kościół wysłuchane. Kolejna sekwencja. Noc. Dwaj mężczyźni podchodzą do siedziby kurii krakowskiej i dzwonią do domofonu. Nie przedstawiają się. – Dzień dobry – mówi jeden – czy jest ksiądz [chodzi o kardynała] Dziwisz? Chciałbym się z nim spotkać. – Nie ma... Widzisz? – zwraca się do towarzysza. – Nic się nie da.

Ujęcie na zamkniętą bramę kurii, nad nią portret Jana Pawła II. To finał filmu Tomasza Sekielskiego »Tylko nie mów nikomu«. Oddaje metodę autora".

Film Gutowskiego stosuje klasyczną strategię medialnego oszustwa. Wątpliwe tezy, np. uznanie oficjalnego listu Karola Wojtyły do kardynała Wiednia za jedyną formę kontaktu między duchownymi – pisma takie w czasach komunistycznych traktowano bardzo ostrożnie, a autentyczne rozmowy prowadzono ustnie – służą formułowaniu mocnych sądów (krakowski biskup wprowadzał w błąd swojego korespondenta), z których są wyprowadzane nieuzasadnione uogólnienia. Wszystko ma służyć tezie, która jest powtarzana od początku: „Wojtyła wiedział", ba, ukrywał pedofilię w Kościele.

Skoro wiedza w tej sprawie jest przesądzona, należy odpowiedzieć na pytanie: dlaczego? I tu pojawia się metropolita krakowski kard. Adam Stefan Sapieha, realny przywódca polskiego Kościoła w czasie wojny, ojciec duchowy Wojtyły. Tomasz Terlikowski zawsze na posterunku wyjaśnia nam, że o „sprawie Sapiehy [czyli domniemanym homoseksualizmie] w plotkach, sugestiach, niedopowiedzeniach mówi się od lat". Dla potwierdzenia tego są przywołane zeznania kapelana Sapiehy ks. Andrzeja Mistata. Wielokrotnie je eksponując, autorzy dokumentu powołują się na wiarygodność kapłana. Nie wspominają, że ksiądz oskarżony w sprawie kurii krakowskiej powiedział to w ubeckim więzieniu raz, na którymś z rzędu przesłuchaniu. Przemilczenie tego nie jest zwykłą manipulacją, ale ordynarnym oszustwem. Wymuszone zeznania Mistata potwierdza wyłącznie zupełnie nieprawdopodobna już relacja zawieszonego w stanie kapłańskim przez Sapiehę ks. Anatola Boczka, alkoholika, wieloletniego agenta UB wyrejestrowanego wreszcie z powodu degeneracji.

Pomówienie o homoseksualizm Sapiehy ma wyjaśnić ukrywanie pedofilii przez Wojtyłę. Karkołomna ta teza narzucana widzom bez cienia uzasadnienia stanowi puentę filmu Gutowskiego.

Wszystko staje się dowodem winy kapłanów. Najbardziej zwyczajne wydarzenia, jak przyjęcie Wojtyły do tajnego seminarium, jego szybka kariera naukowa, wyjazd na studia do Rzymu, zostają podlane sosem insynuacji o ich homoseksualnej genezie. Wyjątkowe, potwierdzane przez wszystkich zdolności Wojtyły są przemilczane, a jego kariera w Kościele ma się jawić jako efekt seksualnych układów.

Swoją drogą sugerowane w ten sposób *iunctim* homoseksualizmu i pedofilii w TVN jest warte odnotowania, choć wiemy, że nie o rozumowanie chodzi, ale poetykę obmowy i zniszczenie pamięci o świętym papieżu.

Sekielski za swoje produkcje został naczelnym „Newsweeka". Na jakie stanowisko liczy Gutowski? Bo że dostanie wszystkie nagrody dominujących mediów, możemy być pewni.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e67cdd99de

Walizka Tadeusza Zyska

wydawcy, psychologa społecznego

Gdy byłem młodym człowiekiem, zawsze marzyłem, żeby pojechać w świat jak Tomek, bohater serii książek Alfreda Szklarskiego. Pierwsza wyprawa była możliwa dopiero w wieku 17 lat. Z kolegą postanowiliśmy przez Rumunię jechać do Bułgarii. Wszystko przygotowałem. W dniu wyjazdu dowiedziałem się, że to będzie samotna podróż, bo kompan spanikował. To była jednak wspaniała przygoda. W drodze przytuliłem się do grupy bułgarskich studentów wracających do swojego kraju z Czech. Potem wędrowałem nad Morzem Czarnym, na koniec wsiadłem do pociągu do Polski. Moja pierwsza wielka podróż poza Europę była na Florydę. Zostałem zaproszony przez Andre Norton, której książki wydawałem. To był początek lat 90. Poleciałem tam ze swoim najstarszym synem. Przylądek Canaveral z rakietami, Disneyland, hollywoodzkie inscenizacje.... wrażenie było piorunujące. Nie mniejsze zrobiła na mnie Afryka. Pierwsza była Etiopia. Dominującą religią jest tam chrześcijaństwo. Piękni ludzie, piękne zabytki. Potem była Kenia (nierealny widok migracji zwierząt na Serengeti). Tę wyprawę zapamiętam na zawsze, muszę zapamiętać, ponieważ najcudowniejsze zdjęcia z niej ukradziono mi łącznie z aparatem. Tanzania, Madagaskar i dwukrotnie Uganda. Myślę, że przyszłość Europy, świata i chrześcijaństwa będzie leżała w Afryce, która mimo piętna skutków kolonializmu ma w sobie dużo dynamizmu.

KALOSZE

Zawsze z kaloszami. Z kaloszami w Brzóskowie na wyprawy w las, w kaloszach w najtrudniejsze odcinki w Górach Księżycowych w Ugandzie.

WYSOKIE BUTY

Wykonane przez warszawską Pracownię Obuwia Jan Kielman. Obowiązkowe do jazdy konnej, choć muszę przyznać, że z całej rodziny jeżdżę najsłabiej. Podczas wizyt naszych gości buty spełniają także funkcję reprezentacyjną.

Fot. Andrzej Wiktor, archiwum prywatne bohatera

eprasa.pl e67cdd99de

PAMIĄTKI Z AFRYKI

- Symbol płodności z Afryki Środkowej.
- Laska szamańska, symbol władzy, dobrze się sprawdza podczas spacerów także w Polsce.
- Szkielet. Plemię Tiw, Kamerun, wypędzone ze swojej ziemi. Zabrało szkielety swoich przodków. Żeby ich duchy zachować przy sobie, zaczęli je odlewać w metalu.
- Oryginalny bęben. Plemię Aszantów, Ghana Ompe. Nie tylko komunikowano się dzięki niemu na większe dystanse, lecz także spełniał on ważną funkcję w magicznych obrzędach.

SKARPETY

Szkockie do kompletu z długimi butami.

BRYTYJSKI STYL

Tweedowa marynarka, tweedowe spodnie... Ziemianie w Wielkopolsce w XIX w. różnili się od Niemców tym, że nosili brytyjskie, porządne ubrania nie tak jak Prusacy, w większości urzędnicy, którzy zamieniali się w ziemian.

O NAŚLADOWANIU CHRYSTUSA

Bardzo w życiu pomaga. Książka o naśladowaniu Chrystusa, która pasjonuje mnie zarówno jako osobę religijną, próbującą rozmawiać z Panem Bogiem, jak i psychologa.

MAPA RUWENZORI

Największa przygoda mojego życia. Wyprawa w Góry Księżycowe, która zaczęła się całkiem niewinnie, okazała się pięcioma dniami w ultraekstremalnych warunkach przy zerowym kontakcie ze światem. Prehistoryczna przyroda, strome bagna, wilgotność powietrza 90 proc. Noclegi ponad 4000 m n.p.m., ja z żoną otoczeni śpiewającymi lokalsami przy ognisku, na granicy konfliktu z Kongo... który się rozpoczął po naszym wyjeździe.

WŁADCA PIERŚCIENI

To moja fascynacja fantastyką, która rozpoczęła się w końcówce szkoły podstawowej. Kończąc technikum chemiczne, ekscytowały mnie loty kosmiczne. Czytałem dużo fantastyki rosyjskiej, genialnego Stanisława Lema, potem odkryłem antologię amerykańskich pisarzy „Kryształowy sześcian Wenus". Nie wierzyłem, że można tak wspaniale pisać, i tak się zaczęła moja miłość do fantastyki anglojęzycznej.

PAMIĄTKI Z CHIN

Z okresu mojej pracy naukowej, gdy zajmowałem się Carlem Jungiem i psychologią analityczną. Jednym z elementów tych wykładów była chińska Księga przemian i odpowiedź na pytanie, czy Wschód kiedyś spotka się z Zachodem. XVIII-wieczna figura. Lokapala, heros, demon stawiany na nagrobkach, mająca strzec zmarłego.

NALEWKA

Zawsze mówię – na wyprawy obowiązkowo gumiaki i nalewka z derenia. Dereń w moim ogrodzie ma 250 lat. Kwitnie i owocuje do dzisiaj.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Moskowia, a nie Rosja

„Historyczna nazwa Rosji to Moskwa. To samo dotyczy podmiotów państwowych księstwa moskiewskiego, królestwa moskiewskiego i cesarstwa. Nazwa ta była używana w językach europejskich i niektórych językach azjatyckich. Nazwa ta pojawia się również na wielu mapach historycznych z wieków XVI–XIX" – napisali autorzy petycji, która została złożona w listopadzie ub.r. na oficjalnej stronie prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Wnioskodawcy przekonywali, że termin „Rosja" istnieje zaledwie od 301 lat, a dla obcokrajowców nazwy „Ruś" (jak oznaczono Ruś Kijowską na mapach) i „Rosja" wyglądają niemal identycznie. „Od 301 lat Ukraińcy cierpią z powodu kłamstw rosyjskiej wersji naszej (ukraińskiej) historycznej przeszłości", a mówienie o państwie z siedzibą w Moskwie jako o Rosji „legitymizuje jej kłamstwa". Ponieważ pod petycją podpisało się więcej niż wymagane 25 tys. obywateli, rząd w Kijowie zbada, czy na Ukrainie wobec Rosji można używać jej historycznej nazwy „Moskowia". Takie polecenie wydał ostatnio prezydent Zełenski. Nie wiem, jak parlament w Kijowie rozstrzygnie tę kwestię, ale jestem za i dam dobry przykład. Od tej pory będę używał zamienionych terminów: „rosyjski" na „moskiewski" oraz „Federacji Rosyjskiej" na „Federację Moskiewską". Oczywiście pozostanę przy tak wdzięcznie brzmiących nazwach, jak „Ruski", „Kacap", „Moskal", „Moskwicin" czy „Moskowia" lub „Kacapia" jako nazwa tworu państwowego ze stolicą nad rzeką Moskwą. I jeszcze jedna zmiana. Od momentu decyzji o wydaniu listu gończego przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze za prezydentem Federacji Moskiewskiej siłą rzeczy muszę używać formy, jaką stosuje się w przypadku ściganych nie tylko za poważne przestępstwa. A więc Władimir P.

W skład bandy Prigożyna zwanej Grupą Wagnera wchodzi m.in. batalion Espanola. Składa się on z rosyjskich kibiców piłki nożnej i walczy na Ukrainie pod Bachmutem. „Po prostu przyjdź, zostaw iPhone'a w domu, zabierz ze sobą paszport i najpotrzebniejsze rzeczy, zdaj egzamin i pokaż, że jesteś dzielnym patriotą szanującym swoją ojczyznę" – tak brzmi ogłoszenie werbunkowe skierowane do kiboli różnych klubów Moskowii. Z myślą o wszystkich chętnych 20 marca w Petersburgu rozpoczęły się specjalne szkolenia. Kacapy zapewniają, że kurs odbywa się na najwyższym poziomie, a trening wojskowy można połączyć z zabawą. Jest nauka strzelania, ale po godzinach można też liczyć na grę w bilard albo basen. Dobrze jest się rozerwać przed śmiercią lub kalectwem. Jeszcze w ub.r. batalion Espanola reklamował się jako grupa zamknięta, ale w ostatnim okresie ogłoszenia o naborze do oddziału ponawiają co dwa-trzy dni. Jest już tak fatalnie, że werbunek PR-owcy Prigożyna prowadzą nawet na stronach pornograficznych. Ukraińcy błyskawicznie odpowiedzieli wideoklipem. Po ukazaniu się na nim strony z logo Pornhub Community i wysłuchaniu kilku taktów głupawej muzyczki widzimy, jak kamera jedzie między grobami poległych wagnerowców na cmentarzu sięgającym po horyzont. Bachmucka maszynka do mielenia mięsa działa bez zarzutu jak dobrze naoliwiony mechanizm.

„Każdy dzień dostaw zagranicznej broni na Ukrainę przybliża nuklearną apokalipsę" – ostrzegał Dmitrij Miedwiediew, wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Federacji Moskiewskiej. „Amunicja zawierająca zubożony uran jest dość powszechnie używana od dekad. Jeśli Rosja obawia się o swoje czołgi, powinna je wycofać z Ukrainy" – ripostował mu rzecznik Rady Bezpieczeństwa Narodowego USA John Kirby. Co więcej, nazwał obiekcje Kremla w tej sprawie „rozdmuchanym problemem" i „kolejnym chochołem, którego Rosjanie chcą przebić kołkiem". Kolejny wieczór Miedwiediewa z Maryśką Zacharową przy półlitrówkach zakończony poranną kompromitacją na skalę międzynarodową.

Podczas programu na antenie propagandowej szczekaczki Rossija 1 prowadzonego przez Władimira Sołowjowa „Moskwa – Kreml – Putin. Kto protiw?" jeden z gości, stojąc za pulpitem, nagle osunął się i runął na ziemię. Całe towarzystwo zbiegło się wokół niego i zaczęło go cucić. „Leżytie, leżytie, poka nie wstawajtie" – słychać zatroskane głosy. Koleś nie miał zamiaru wstawać, bo leżał nieprzytomny jak długi. No, panowie: propaganda albo zdrowie? Wybór należy do ciebie.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e67cdd99de

Sąd polubowny: krócej i taniej

Marta Kaczyńska-Zielińska

Nowelizacja przepisów Kodeksu postępowania cywilnego z 9 marca 2023 r. poszerzy możliwość skorzystania przez strony z sądownictwa polubownego. Wyrok sądu arbitrażowego ma tę samą moc wiążącą co wyrok sądu powszechnego po stwierdzeniu jego wykonalności przez sąd powszechny. Tym samym wyrok uzyskany przed sądem polubownym zapewnia ochronę prawną równorzędną do wyroku sądu państwowego. Podlega więc także egzekucji komorniczej.

W Polsce funkcjonuje kilkadziesiąt sądów polubownych posiadających arbitrów i własne regulaminy wyznaczające reguły postępowania. Strony decydujące się na rozpatrzenie postępowania przez arbitraż mogą wybrać konkretny sąd, skład orzekający czy też język. Do rozpoznania sprawy można więc zaangażować wybranego arbitra posiadającego specjalistyczną wiedzę w dziedzinie, której dotyczy rozprawa. Przekazanie sporu do sądu arbitrażowego może także znacznie skrócić czas oczekiwania na orzeczenie kończące postępowanie. Dotychczasowe przepisy umożliwiały zawarcie zapisu na sąd polubowny już po zawiśnięciu sporu przed sądem powszechnym, a powód mógł cofnąć pozew, nie zrzekając się roszczenia, i przed pierwszym posiedzeniem otrzymać zwrot połowy opłaty sądowej od pozwu. Od 2019 r. wszystkie sprawy majątkowe z wyjątkiem tych dotyczących alientów mogą być rozpoznawane przez arbitrów, a zapisem na sąd polubowny zawartym w umowie (statucie) spółki handlowej są związani obok spółki i jej wspólników organy spółki i ich członkowie. W postępowaniu polubownym można także orzekać w sprawach niemajątkowych, jeżeli są one przedmiotem ugody sądowej. Spory rozstrzygane przez sąd arbitrażowy mogą dotyczyć żądania zasądzenia świadczenia, ustalenia stosunku prawnego lub prawa oraz ukształtowania stosunku prawnego.

Nowe regulacje ustanowią możliwość przekazania sporu do arbitrażu aż do chwili prawomocnego zakończenia sprawy wszczętej przed sądem powszechnym. Wedle nowych przepisów w celu rezygnacji z powszechnego trybu orzekania wystarczy, by strony zawarły zapis na sąd polubowny i zgłosiły zgodny wniosek o umorzenie postępowania przed sądem rozpoznającym ich sprawę. Trzeba wskazać, że zapis na sąd polubowny musi spełniać określone kryteria. Nie można czynić w nim postanowień, które zezwalają wyłącznie jednej ze stron na wybór arbitrów, jest wykluczona możliwość jednostronnej zmiany treści zapisu, a także nieprecyzyjne wskazanie sądu. Przeniesienie postępowania do sądu polubownego i umorzenie go przed sądem powszechnym nie będzie możliwe, jeżeli sąd badający wniosek stron stwierdzi, że umorzenie to byłoby sprzeczne z prawem, z zasadami współżycia społecznego lub zmierzałoby do obejścia prawa. Konwersja nie nastąpi także w związku z nieważnością lub bezskutecznością zapisu na sąd polubowny.

Nowelizacja przepisów przewiduje zwrot trzech czwartych wartości opłaty od pozwu, jeżeli dojdzie do umorzenia postępowania na zgodny wniosek stron przed sądem pierwszej instancji, w konsekwencji skutecznego zawarcia przez nie zapisu na sąd polubowny. Ustawodawca premiuje tym samym strony, które zdecydują się na konwersję na najwcześniejszym etapie postępowania. Przeniesienie sprawy do rozpoznania przez arbitrów po wyroku, który zapadł w pierwszej instancji przed sądem powszechnym, nie będzie się wiązało z uzyskaniem zwrotu uiszczonych uprzednio opłat. Umorzenie postępowania przed sądem powszechnym w związku z wolą stron przeniesienia sprawy do arbitrażu spowoduje przerwanie biegu terminu przedawnienia roszczenia i rozpoczęcie jego biegu od nowa. W tym miejscu trzeba podkreślić, że termin, który zyskuje powód, dotyczy wyłącznie prawa do wniesienia sprawy do sądu arbitrażowego. Nowe przepisy stanowią bowiem wprost, że sąd powszechny odrzuci pozew lub wniosek o wszczęcie postępowania nieprocesowego dotyczący sporu, który był przedmiotem sprawy umorzonej w związku z zapisem na sąd polubowny. Trzeba pamiętać, że zgodnie z przepisem art. 119 Kodeksu cywilnego skracanie i przedłużanie wyznaczonych przez ustawodawcę terminów przedawnienia jest niedopuszczalne.

Wyrok sądu polubownego podlega zaskarżeniu przez złożenie skargi o jego uchylenie do sądu apelacyjnego.

REKLAMA

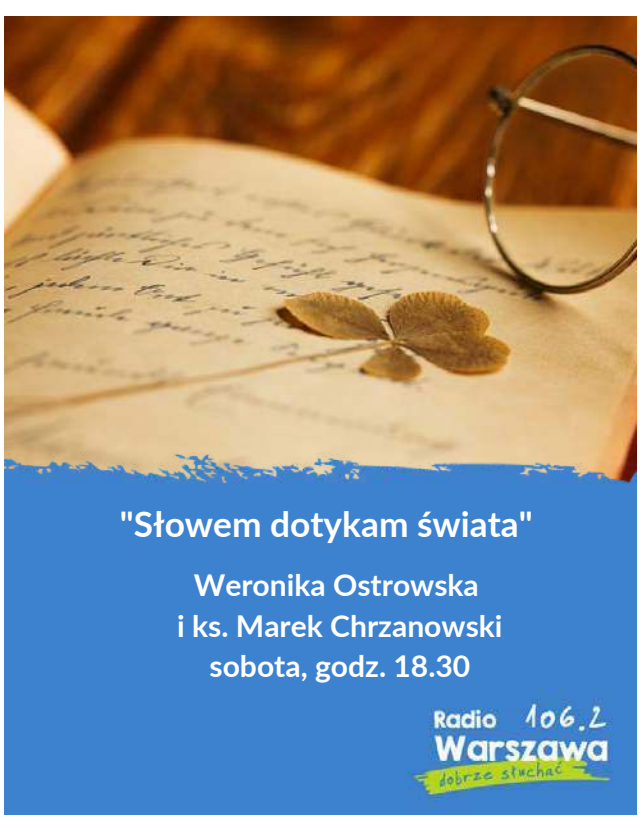

61/0223/F

eprasa.pl e67cdd99de

Propaganda PO o Polsce w ruinie nie zagrała

Samuel Pereira

Nawet stacja TVN – przejęta bardziej dobrym samopoczuciem Tuska niż prawdą – musiała w końcu pokazać spadek wyników Koalicji Obywatelskiej.

Każdy, kto rozumie prawidła matematyki, wie, że żadnej partii nie może ciągle rosnąć poparcie i każde pompowanie ma swój kres. Sytuacja z sondażami Kantaru była o tyle komiczna, że Platforma Obywatelska przez pół roku była tak bezczelna, że regularnie się nimi chwaliła – niezależnie od realnego trendu. Okazało się, że w czerwcu 2022 r. poparcie dla partii Donalda Tuska wynosiło 30,2 proc. i przez sześć kolejnych miesięcy (według propagandy) wzrosło o 13 pp., żeby w styczniu osiągnąć... 31 proc. Innymi słowy: PO rosło, nawet gdy spadało. Bańka zaczęła pękać i kolejne badania potwierdzały trend korzystny dla PiS i niekorzystny dla PO.

Okazało się, że straszenie zimą było tylko straszeniem, a Polacy nie kupili tej propagandy. Wyjątkowo korzystnie wypadł również obóz władzy wobec kryzysu związanego z wojną na Ukrainie. Do tego doszły pozytywne oceny zza granicy, a z kolei wizerunek Niemiec, do których tak mocno przylgnęła w ostatnich latach opozycja, runął jak z domek z kart. Narracja pt. „Idziemy po władzę" okazała się pustym frazesem, co wywołało radykalizację, rozedrganie i histerię w obozie opozycji. Za tym poszło obrażanie wyborców Prawa i Sprawiedliwości, bo jeśli wyborcy nas nie chcą, to wiadomo, że to ich wina.

To wszystko w towarzystwie zaklęć Donalda Tuska o jednej liście. To zresztą operacja, której chyba najwierniejsi politycy PO nie rozumieją, a tym bardziej wyborcy. O co tak naprawdę toczy się gra? O interes Tuska. Przewodniczący PO wie, że nie wygra, a nawet jeśli opozycja jakimś cudem osiągnie ten cel, to albo nie będzie w stanie odebrać władzy PiS, albo będzie to władza tak chwiejna, że będzie sama sobie szkodziła. Poza tym jest jeszcze prezydent... Jakby nie patrzeć – nie jest to sympatyczna perspektywa. Tusk kalkuluje inaczej: przegram, ale to PO będzie hegemonem w obozie opozycji, a jak już się tak stanie, to wtedy i moja władza będzie większa. Bo po co miałby użerać się z tą całą Polską?

Autor jest szefem portalu tvp.info

Gnieźnieńskie drzwi do historii

Z aktorem Mateuszem Kościukiewiczem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Urodził się pan w roku wydarzenia, do którego nawiązuje film Sebastiana Buttnego „Święty"?

Mateusz Kościukiewicz: Tyle że kradzież srebrnej figury św. Wojciecha z katedry w Gnieźnie miała miejsce pod koniec marca 1986 r. Ja pojawiłem się półtora miesiąca później, 1 maja.

Czy do katedry dotarł pan przy okazji filmu, czy wcześniej?

Jako wielkopolanin byłem tam już z wycieczką szkolną, ale przyznam, że nie zapamiętałem figury św. Wojciecha. Za to drzwi, które również w filmie odgrywają znaczącą rolę, jak najbardziej.

Czy za sprawą swojego bohatera, oficera MO wyznaczonego do złapania sprawców kradzieży, spojrzał pan na katedrę i na tamten czas inaczej?

Na pewno mogłem zgłębić samą legendę, mit założycielski chrześcijańskiego państwa Piastów. Pada też z ekranu kwestia, że nic nigdy nie jest takie, jak nam się wydaje. I w filmie też – najciekawsze tropy i spostrzeżenia znajdują się na marginesach. Jak w drzwiach katedry, gdzie pospólstwo miało czytelne obrazki, a wyedukowani – ukryte na obrzeżach kody.

Co odkrył w tych kodach pana bohater?

Najciekawsze w budowaniu postaci było zmaganie, a w filmie – analogie do współczesności. Zadawałem sobie pytanie jako oficer MO Andrzej Baran, jak tu zachować przyzwoitość w nieprzyzwoitych czasach. I w sumie ja jako Mateusz Kościukiewicz też sobie takie pytanie zadaję. Media podsuwają nam proste – by nie powiedzieć: prostackie – obrazki i rozwiązania, a rzeczywistość rozgrywa się zupełnie gdzie indziej.

eprasa.pl e67cdd99de

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

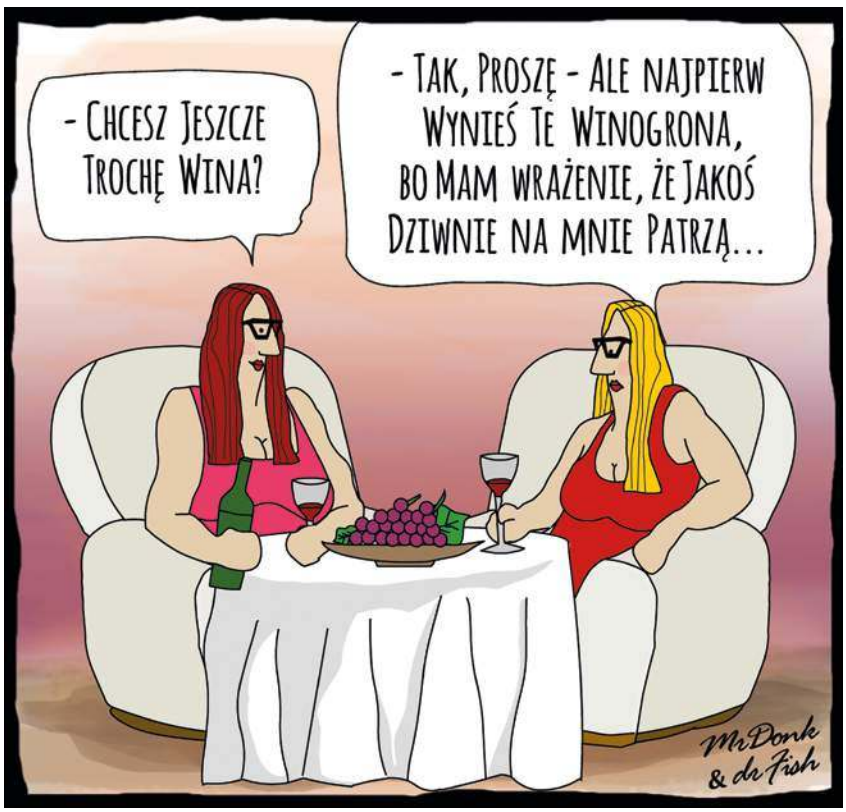

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialine

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A.WIKTOR, B.ZAWRZEL/REPORTER, Ł.GDAK/EAST NEWS,NAC, P.ZAJĄC/SHUTTERSTOCK

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

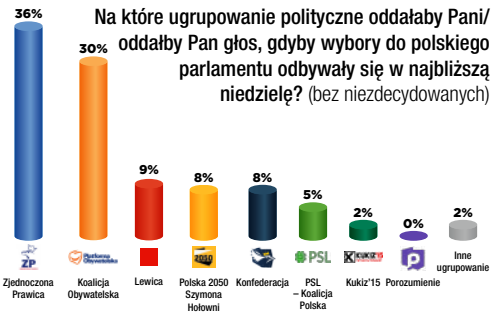

Czy według Pani/Pana ministerstwo edukacji powinno działać w celu zwiększenia dyscypliny w szkołach podstawowych i średnich?

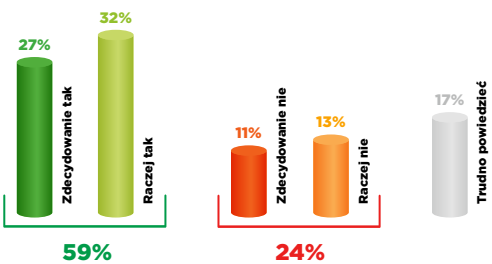

Jak Pani/Pan ocenia działania funkcjonariuszy Straży Granicznej i żołnierzy Wojska Polskiego, którzy strzegą polskiej granicy wschodniej, zwłaszcza granicy z Białorusią?

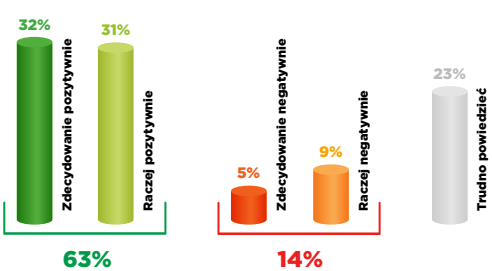

Czy popiera Pani/Pan pomysł przekazania Ukrainie nieużytkowanych obecnie przez polskie lotnictwo samolotów MIG-29 produkcji radzieckiej?

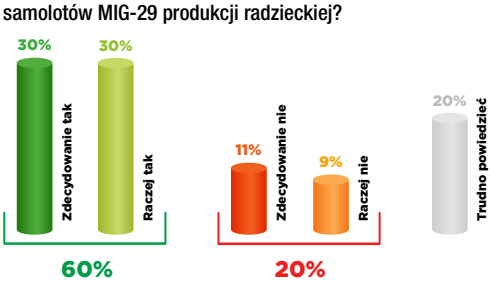

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1045.

Zakres czasowy badania 17–20 marca 2023 r.

eprasa.pl e67cdd99de

13 kłamstw z Żywca

Ruszył po kraju, by mobilizować swoich wyborców. Chce wlać otuchę w coraz bardziej zrezygnowany elektorat, a także zachęcić go do niesienia dalej w Polskę swoich słów. Donald Tusk jest w trasie. I w transie. Kłamstw. Używa ich z rozmysłem, na zimno. Uważnie przesłuchaliśmy jedno z jego przemówień, by wyłapać wszystkie wypowiedzi, które nijak się mają do prawdy. Ich skala poraża

MAREK PYZA

Szef Platformy Obywatelskiej już wie, że nie podporządkuje sobie pozostałych ugrupowań, a wizja trzeciej kadencji Prawa i Sprawiedliwości jest coraz bardziej realna. Uznał, że cel uświęca środki, całkowicie postawił na erystykę, a kłamstwo uczynił swoim fundamentalnym orężem.

Niemal codziennie odwiedza inne miasto i przez półtorej godziny rozmawia ze swoimi zwolennikami. Tak, tak – mimo że to spotkania otwarte, tak jakoś wychodzi, że zwykle cała sala jest wpatrzona w przewodniczącego jak w obrazek. Niejedną mijankę z prawdą już mu wytknięto. Ale dopiero zebranie wszystkich z jednego wystąpienia robi piorunujące wrażenie. Wysłuchaliśmy tego, co mówił zebranym w sali widowiskowej Miejskiego Centrum Kultury w Żywcu 19 marca. Policzyliśmy wszystkie kłamstwa, które łatwo zweryfikować. Choć przybyli na spotkanie mogą nie zadać sobie tego trudu. Bo Tusk jest dla nich wiarygodny.

Nie można mu odmówić talentu do takich występów. Zaczyna od przymilania się mieszkańcom regionu. Popisuje się przed nimi, wymieniając kolejne regiony województwa – Żywiecczyznę, Śląsk, Jurę czy Podbeskidzie – podkreślając, jak dobrze rozumie, że dla mieszkańców ma kolosalne znaczenie odróżnianie ich. Mówi z głowy, jest drobiazgowo przygotowany. Sprawia wrażenie, jakby znał wszystkie problemy okolicy, w której się znajduje.

Do tego ma łatwość zamieniania się w brata łatę, a chwilami wręcz kabareciarza – np. gdy w Żywcu mówi, żeby żywca postawić sąsiadowi i go przekonać do głosowania na PO. Gdy zarzeka się, że nie chce swoich pomników, by nie musiał do końca świata być pilnowany przez policję, lub gdy wspomina, że z tabloidu dowiedział się, jak wysoką ma emeryturę, a żona zapytała wówczas, gdzie są te dziesiątki tysięcy złotych.

Żarty przeplata manipulacjami, półprawdami, potokiem słów mających pokazać go jako wrażliwego gościa, który współodczuwa każdy kłopot słuchaczy. Nawet wtedy, gdy wchodzi na grunt grząski dla siebie. Jak w tym zdaniu: „Pomoc dla rodzin z niepełnosprawnościami

eprasa.pl e67cdd99de

wymaga właśnie empatii, zrozumienia, czułości, jest skomplikowana i prawdopodobnie PiS nie wydaje się wystarczająco opłacalna wyborczo". A przecież to Prawo i Sprawiedliwość np. podniosło wysokość świadczeń dla osób niepełnosprawnych w skali, o której mogły one tylko marzyć za rządów PO-PSL.

Takich nieścisłości Tuskowi nie liczymy. Zostawiamy z boku jego chęć finansowania z Krajowego Planu Odbudowy np. zadłużenia szpitali (pomylił je z inwestycjami w modernizację placówek służby zdrowia). Skupimy się na twardych kłamstwach. Oto te najważniejsze.

1 SPRAWCA WYPADKU BOHATEREM

Można by uznać, że to jest jakaś złośliwa anegdota, ale niestety w jednym z tych wypadków ofiarą stał się ten młody człowiek. Pamiętacie państwo, cała machina państwowa, cała PiS-owska machina medialna skupiła swój wysiłek po to, żeby go zniszczyć tylko dlatego, że naraził się władzy.

Mowa o Sebastianie Kościelniaku, kierowcy seicento, który w 2017 r. w Oświęcimiu wjechał w auto z kolumny rządowej wiozącej premier Beatę Szydło. Tusk dziękował mu za to, że to wytrzymał. Ale nie wspomniał o prawomocnym wyroku Sądu Okręgowego w Krakowie, który w lutym uznał Kościelniaka winnym nieumyślnego spowodowania wypadku. To Platforma wykorzystała młodego mężczyznę, czyniąc go niemalże męczennikiem walki z PiS-owską władzą, a dziś ma go już wśród swoich członków (wstąpił do PO tydzień przed ogłoszeniem wyroku).

2 INWESTYCJA NA JEZIORZE ŻYWIECKIM

Wiem, że odmulenie tego jeziora jest kluczowe z punktu widzenia nie tylko polityki powodziowej, lecz także zwiększenia walorów turystycznych i możliwości korzystania z tego jeziora. I wiem, że to są bardzo duże pieniądze. Bo – jeśli dobrze pamiętam – 600 mln trzeba by mieć, by całość operacji wykonać. Ale z tego, co wiem, obiecali. I zdaje się, że nawet zaczęli. Tylko na końcu się dowiedzieliście, że plan dotyczy 10 proc. Tak naprawdę to jest taka zwykła kosmetyka.

Według Donalda Tuska tylko „odzyskanie" pieniędzy z KPO (które on gwarantuje) pozwoliłoby na uruchomienie tej inwestycji. To nieprawda.

Odmulenie Jeziora Żywieckiego rzeczywiście jest największą z potrzebnych inwestycji w regionie. Pierwsze przymiarki do niej miały miejsce już w połowie 2017 r. Wtedy to podległy rządowi Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej w Krakowie (obecnie Państwowe Gospodarstwo Wodne „Wody Polskie" – RZGW w Krakowie) sporządził tzw. studium wykonalności projektu i złożył wniosek o wydanie decyzji o uwarunkowaniach środowiskowych dotyczących odmulania do burmistrza Żywca Antoniego Szlagora. Tego samego, o którym Tusk za parę minut powie, że sam go zapisywał do Platformy (przed laty był nawet szefem powiatowych struktur PO). Burmistrzowi wydanie decyzji zajęło... prawie trzy lata! Została ona zresztą uchylona przez samorządowe kolegium odwoławcze. Zanim jednak burmistrz wydał decyzję, w 2018 r., żywiecka posłanka PO Małgorzata Pępek pisała interpelację do Ministerstwa Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, domagając się pilnego rozpoczęcia inwestycji.

> Żarty przeplata manipulacjami, półprawdami, potokiem słów mających pokazać go jako wrażliwego gościa, który współodczuwa każdy kłopot słuchaczy

Ostatecznie w lipcu 2022 r. premier Mateusz Morawiecki z ministrem funduszy i polityki regionalnej Grzegorzem Pudą zapowiedzieli nad brzegiem jeziora, że inwestycji zapewniono dofinansowanie w wysokości 180 mln zł, czyli połowy (a nie 10 proc.) środków potrzebnych na jej realizację, którą przewidziano na lata 2023–2028.

Burmistrz cieszył się, że „pieniądze się na to znalazły i to, co premier obiecał, będzie zrealizowane". Ten sam burmistrz, który w 2015 r. rwał sobie włosy z głowy: „Nie da się tego zrozumieć, jak można promować taki pomysł! Może on w przyszłości doprowadzić do dużego ograniczenia wody pitnej, która jest dostarczana dla mieszkańców Bielska-Białej, Śląska właśnie z Jeziora Żywieckiego". Taka była jego reakcja na pomysły rządu PO, który... zamiast odmulać jezioro, chciał wtedy obniżyć w nim poziom wody o 1,5 m. Lokalne media alarmowały o śmierci czekającej akwen, a burmistrz protestował nawet w czasie spotkania z wojewodą Jerzym Millerem, byłym szefem MSWiA w rządzie Donalda Tuska.

Fot. PaulSat / Shutterstock

3 AQUAPARK W WĘGIERSKIEJ GÓRCE

Trzeba zmienić władzę, żeby te pieniądze zostały tu wykorzystane – na rzecz Jeziora Żywieckiego, na rzecz kolei do Suchej Beskidzkiej, na rzecz aquaparku w Węgierskiej Górce itd.

To wciąż o środkach z KPO, których brak rzekomo zatrzymał wspomniane przez Tuska inwestycje. Czyżby?

15 września 2022 r. urząd gminy Węgierska Górka poinformował, że została podpisana umowa z generalnym wykonawcą Centrum Sportu Rekreacji i Wypoczynku Wodnego. Po-

Fot. Zbigniew Meissner/PAP

eprasa.pl e67cdd99de

trzebne na ten cel 20 785 280 zł zostanie pozyskanych z Programu Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych, Rządowego Funduszu Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych, subwencji ogólnej budżetu państwa oraz ze środków własnych gminy Węgierska Górka.

4 POCIĄG Z ŻYWCA DO SUCHEJ BESKIDZKIEJ

I tu Donald Tusk nie sprawdził faktów. A może po prostu je zignorował? Wszak dosłownie dwa dni przed jego spotkaniem w Żywcu Polskie Linie Kolejowe ogłosiły przetarg na zaprojektowanie i wykonanie modernizacji linii kolejowej 97. Oferty można składać do 25 kwietnia, a na projekt i wykonanie prac będzie ok. 2,5 roku. I choć nie wiadomo jeszcze, z jakiego funduszu zostaną pokryte koszty inwestycji (pierwotnie miały pochodzić z programu Kolej+), to można powiedzieć, że wreszcie ona ruszyła.

5 ILE KOSZTUJE SCHAB?

Poszliśmy do Biedronki, zrobiliśmy zdjęcia, jak wyglądają ceny Biedronki, wzięliśmy archiwalny egzemplarz tego informatora cenowego Biedronki z 2015 r. i się okazało, jaka jest skala podwyżek cen w czasie rządów PiS. Oni wpadli w szał. [...] wpadli w szał, jak się dowiedzieli, co ile kosztuje.

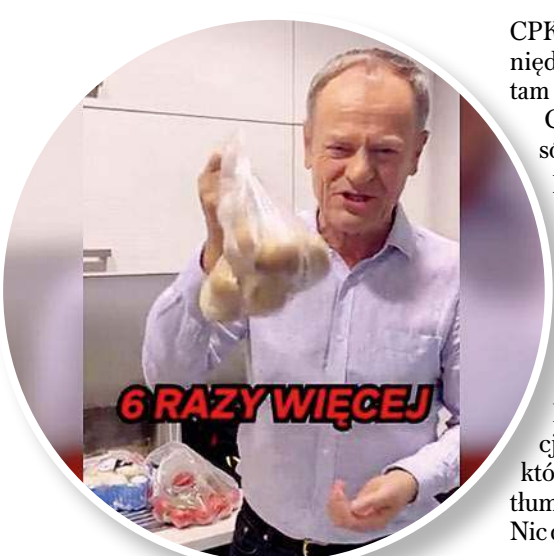

To nawiązanie do krótkiego filmu, który Tusk opublikował przed dwoma tygodniami. Wyjmuje na nim z siatki zakupy i porównuje ich ceny z tymi z 2015 r. Trudno powiedzieć, jak szef Platformy definiuje słowo „szał", ale najwyraźniej określa nim również prostowanie kłamstw. Internauci szybko sprawdzili ceny i okazało się, że lider PO nie tylko przesadził przy niemal każdej z nich, ale też wyliczono, na ile kilogramów jego ulubionego schaboszczaka może sobie pozwolić pracownik otrzymujący minimalne wynagrodzenie dziś, a ile mógł go kupić w czasie rządów PO. Nie chciało wyjść inaczej, niż na korzyść obecnych zarobków i cen (nawet tych zawyżonych, podanych przez Tuska).

> CPK to sól w oku polityków PO. Nic dziwnego, że wokół portu w Baranowie jest tyle kłamstw. W czasie trwającej 1,5 minuty żywieckiej wypowiedzi Tusk miał ich z siebie wyrzucić aż siedem

6 PiS-OWCY W CPK?

CPK – wiemy, że wydano większość pieniędzy na funkcjonariuszy PiS, którzy tam się zalęgli.

Centralny Port Komunikacyjny to sól w oku polityków PO. Sztandarowy projekt rządu PiS będzie inwestycją o znaczeniu znacznie większym niż autostrady budowane przez ekipę Platformy (oznacza nie tylko zbudowanie samego lotnika, lecz także niespotykaną dotychczas rozbudowę i modernizację zarówno sieci kolejowej, jak i dróg). Będzie także znaczącą konkurencją dla niemieckiego megalotniska, którego istnieniem Rafał Trzaskowski tłumaczył bezsensowność budowy CPK. Nic dziwnego, że wokół portu w Baranowie jest tyle kłamstw. W czasie trwającej półtorej minuty żywieckiej wypowiedzi Donald Tusk miał ich z siebie wyrzucić aż siedem – tyle wyliczył wiceminister funduszy i polityki regionalnej oraz pełnomocnik rządu ds. CPK Marcin Horała. My będziemy dla lidera PO nieco łagodniejsi, ale i tak wątek CPK nie najlepiej świadczy o jego prawdomówności.

Co z „zalęgniętymi funkcjonariuszami PiS"? Horała odpowiada, że spółka przygotowująca inwestycję tak naprawdę zatrudnia inżynierów, architektów, przyrodników, prawników itp. „Niech Tusk wymieni nawet nie setki, tylko chociaż 10 członków PiS pracujących w CPK. Nie ma". Do dziś Donald Tusk nie wskazał, kto z PiS się tam zalągł, na kogo rzekomo wydano większość pieniędzy.

7 ZMARNOWANE MILIONY?

Setki milionów złotych poszły na zmarnowanie.

To dalsza część poprzedniej wypowiedzi Donalda Tuska. I znów kłamliwa. Nie ma żadnego śladu, by jakiekolwiek pieniądze zostały zmarnowane. Jeśli uznać Najwyższą Izbę Kontroli za obiektywnego audytora – a wobec aktualnych personaliów w NIK można pójść dalej i stwierdzić najdelikatniej, że Izba wyjątkowo wnikliwie patrzy władzy na ręce – to w tym obszarze wystawiła prowadzonej inwestycji wręcz laurkę. „Poniesione przez CPK sp. z o.o. wydatki były zgodne z przyjętym, zaktualizowanym planem finansowym i nie przekroczyły zaplanowanego poziomu, który był – w opinii NIK – adekwatny do skali i zakresu działalności. W CPK sp. z o.o. wdrożono regulacje w zakresie dokonywania wydatków z uwzględnieniem zasad gospodarności, a skontrolowane wydatki były z nimi zgodne [...]. W zbadanych postępowaniach dotyczących udzielania zamówień NIK nie stwierdziła nieprawidłowości" – czytamy w raporcie opublikowanym w styczniu br.

8 TRASY PRZEZ KOŚCIÓŁ I SZPITAL?

Wszędzie gdzie jestem, ludzie przychodzą, że akurat przez ich dom, przez

eprasa.pl e67cdd99de

ich kościół, czasami przez ich szpital ma przejść jedna z linii zaplanowanych w ramach CPK. Ludzie płaczą na tych spotkaniach.

Minister Horała rozbił powyższe na dwa kłamstwa, my zbieramy je w jedno. I polegamy na słowach pełnomocnika rządu, który twardo podkreśla, że żadna z zaplanowanych tras drogowych czy kolejowych nie przebiega przez kościół ani szpital. Są to więc albo jakieś plotki kolportowane przez skarżących się Donaldowi Tuskowi, albo wymysły jego samego. Tak czy siak, nie mają nic wspólnego z prawdą.

9 AFERA WYWŁASZCZENIOWA?

W Mikołowie też byłem, jak się tylko zaczęła afera z wywłaszczeniami. Nie może być żadnej inwestycji kosztem tragedii ludzkich. Co to jest piramida Cheopsa, nie wiem, starożytny Egipt, stalinowskie Kanały Biełomorskie? Co to jest za sposób? Przecież to ma być dla ludzi, a nie kosztem krwi i łez ludzkich.

Na czym ma polegać afera z wywłaszczeniami, skoro – jak ripostuje Marcin Horała – „do tej pory nikt nie został na CPK wywłaszczony, same dobrowolne nabycia". Program Dobrowolnych Nabyć to pierwszy etap pozyskiwania gruntów pod budowę lotniska. Można się do niego zgłaszać do 7 kwietnia. Zrobiło to już niemal 1 tys. właścicieli gruntów. I dobrze zrobili, bo dzięki temu otrzymali korzystniejsze zasady zbycia nieruchomości od tych, których czeka zwykła procedura wywłaszczenia za odszkodowaniem.

PDN przewiduje m.in. wyższą wycenę nieruchomości (w przypadku budynku jest to 140 proc. wartości, a gruntu – 120 proc.) albo (do wyboru) wycenę uwzględniającą wartość odtworzeniową nieruchomości bez stopnia amortyzacji, co daje korzyści właścicielom budynków w złym stanie technicznym. Dodatkowo w ramach PDN przysługują inne udogodnienia, dotychczas niestosowane przy tego typu inwestycjach, m.in. sfinansowanie przeprowadzki i obsługi prawnej, konsultacje z doradcą zawodowym czy szkolenia. Program przewiduje też, że zainteresowani mieszkańcy zamiast zwykłej transakcji sprzedaży mogą zdecydować się na wybór nieruchomości zamiennych, których CPK ma ponad 600 ha, głównie w promieniu 100 km od projektowanego lotniska. W dalszej kolejności PDN będzie przeznaczony dla właścicieli gruntów na terenach wokół planowanego lotniska.

Donald Tusk na pewno też dostrzega różnicę między bezprecedensowo korzystnymi warunkami sprzedaży państwu nieruchomości pod kluczową inwestycję publiczną a niewolniczą pracą więźniów politycznych w najczarniejszym okresie historii ZSRS, ale niestety nie drga mu powieka, gdy sięga po takie hucpiarskie porównania.

> Internauci szybko sprawdzili ceny i okazało się, że lider PO przesadził przy niemal każdej z nich. Wyliczono też, na ile kilogramów jego ulubionego schaboszczaka może sobie pozwolić pracownik otrzymujący minimalne wynagrodzenie dziś, a ile mógł go kupić w czasie rządów PO. Nie chciało wyjść inaczej niż na korzyść obecnych zarobków i cen

10 ZA TUSKA NIE BYŁO PROTESTÓW?

Jak byłem premierem, myśmy zbudowali rekordową ilość autostrad i tego typu inwestycji w skali europejskiej. Nigdy w historii Polski tyle nie budowano. Musieliśmy wywłaszczać niezwykle intensywnie, żeby te inwestycje mogły powstać. Nie było ani jednego protestu.

To kłamstwo jest do sprawdzenia w ciągu paru minut. Okazuje się, że protesty były: w lipcu 2009 r. w Lęborku, w 2010 r. w Kobylnikach, w maju 2011 r. w Lublewie, w październiku 2011 r. w Kalinówce, w lipcu 2013 r. w Jeżowym-Podgórzu, w grudniu 2013 r. w Nowosielcu, w czerwcu 2014 r. w dziewięciu miejscowościach pod Bydgoszczą (rolnicy dostawali tam propozycję przejęcia gruntu w cenie... 14 zł za 1 m^2), w lipcu 2014 r. w Starych Babkach, w styczniu 2015 r. w Poradowie, w maju 2015 r. w Łańcucie. A to tylko część z długiej listy skarg obejmujących niemal wszystkie województwa.

O protestach podwykonawców – polskich firm, które bankrutowały w czasie budowy dróg przed Euro 2012 – nawet nie ma co wspominać.

11 ILE WYNOSI WYSOKA PREMIA?

Ludzie wywłaszczeni dostali dokładnie tyle, ile im się należało. A jeśli byli gotowi do takiej współpracy intensywnej, to dostawali wysoką premię za to, bo wiedzieliśmy, że w ten sposób godzą się jakby na współpracę z państwem polskim w interesie publicznym.

Wstyd przyznać, ale ta „wysoka premia" w czasie rządów Tuska była czterokrotnie niższa od dzisiejszej premii w przypadku gruntów i aż ośmiokrotnie niższa w przypadku budynków. Dziś w ramach wspomnianego PDN właściciel gruntu dostaje dodatkowe 20 proc. wartości, a budynku – 40 proc. Rząd Tuska dawał „wysokiej premii"... 5 proc. Przewidywała to tzw. specustawa drogowa przyjęta przez ekipę PO-PSL w 2008 r.

I to była prawdziwa afera wywłaszczeniowa. Protestów było tak dużo i dotyczyły tak skandalicznego traktowania właścicieli nieruchomości, że zajęła się tym Najwyższa Izba Kontroli. NIK stwierdziła m.in., że nieprawidłowo ustalano wysokości odszkodowań ze względu na błędy w wycenach nieruchomości, pracownicy urzędów wojewódzkich nierzetelnie weryfikowali dostarczane dokumenty, 40 proc. odwołań od decyzji ustalających wysokość odszkodowań okazało się zasadnych, zwłoka w wydawaniu tych decyzji skutkowała wielomiesięcznymi opóźnieniami

eprasa.pl e67cdd99de

w wypłatach odszkodowań. Niektóre sięgały nawet dwóch lat. Dodatkowo – jak czytaliśmy w raporcie Izby – „w GDDKiA zasady wykupu ziemi pod inwestycje drogowe nie były zgodne z procedurami antykorupcyjnymi".

12 GDZIE JEST ZŁOTO?

Szef Platformy został zapytany w Żywcu, czy wie, co się stało ze złotem przywiezionym z Anglii. Odpowiedział:

Złoto Glapińskiego! Intuicja mi mówi, że nie znajdziemy tego złota. Ale mówiąc serio – nie wiem, o co chodzi. Od samego początku nie wiedziałem, po co cała ta hucpa, ten dziwaczny spektakl, nie widziałem nigdy szefa banku centralnego, który by robił jakieś tego typu popisy tak infantylne. Ale co naprawdę zrobił z tym złotem, nie wiem. [...] Trochę o to złoto się martwię. Ja nie widziałem tego złota. [...] Może skłonimy Glapińskiego, żeby pokazał to złoto wszystkim Polakom i się z niego rozliczył. To było parę ton.

To zdumiewające, że Tusk pozwala sobie na tego typu krotochwile dotyczące rezerw majątku narodowego. Chodzi nie o parę ton, lecz 100 ton złota, które decyzją prezesa NBP sprowadzono do Polski z Banku Anglii. Nikomu poważnemu jednak dotychczas nie przyszło do głowy kwestionować, co się stało z kruszcem i nie sugerowano, że gdzieś on zaginął. Donaldowi Tuskowi podpowiadamy: przy ul. Świętokrzyskiej w Warszawie mieści się siedziba Narodowego Banku Polskiego. Tam też znajduje się skarbiec, a w nim 100 ton polskiego złota przywiezionego w 2019 r. z Londynu.

A co Glapiński zrobił ze złotem, wiedzą wszyscy, którzy zapoznali się choćby z komunikatem NBP. Gdyby czytał go Tusk, wiedziałby, że zostało ono przetransportowane do Polski ośmioma lotami po 1 tys. sztab. Zajmowała się tym międzynarodowa, wyspecjalizowana w transporcie wartości pieniężnych firma, a cała operacja przebiegła we współpracy NBP i Banku Anglii, polskiej i brytyjskiej policji oraz straży granicznych. Internetowe teorie spiskowe w tej sprawie były zaś wielokrotnie dementowane przez serwisy factcheckingowe.

> Wydawało się, że w szczegółach transakcji wokół Lotosu Tusk powinien być biegły. Wszak to on, będąc premierem, godził się na negocjacje w sprawie sprzedaży Lotosu Rosjanom

13 LOTOSU NIKT NIE SPRZEDAŁ

Jeśli rzeczywiście byłoby tak, że te decyzje oddające praktycznie za bezcen Arabii Saudyjskiej Lotos i oddające setki stacji benzynowych Viktorowi Orbánowi, jeśli one były podjęte niezgodnie z prawem albo jeśli znajdziemy tam dowody na korupcję, to mam nadzieję, że będziemy mogli przynajmniej w części unieważnić te decyzje.

Długo można by tłumaczyć sens, skomplikowanie tych transakcji i ich wartość dla skarbu państwa, naszego bezpieczeństwa energetycznego i budowy coraz silniejszego międzynarodowego koncernu paliwowego. Pewnie i do tego trzeba będzie wrócić. Na dziś wystarczy przypomnieć, że nikt niczego nie oddał Orbánowi, bo węgierski MOL nie WZIĄŁ, lecz KUPIŁ część stacji Lotosu (tych najmniej atrakcyjnych), a w drugą stronę Orlen kupił stacje MOL na Węgrzech i Słowacji. Saudyjczycy nie kupili Lotosu, lecz 30 proc. udziałów w rafinerii należącej dotychczas do tej spółki, a w pakiecie przy tej sprzedaży podpisano długoterminowy kontrakt na zakupy ropy z Rijadu, który zaspokoi prawie połowę zapotrzebowania całej Grupy Lotos.

Wydawało się, że w szczegółach transakcji wokół Lotosu Donald Tusk powinien być biegły. Wszak to on, będąc premierem, godził się na negocjacje w sprawie sprzedaży Lotosu Rosjanom.

* * *

Powyższa parszywa trzynastka to oczywiście nie wszystko, co w oderwaniu od rzeczywistości zaserwował swoim wielbicielom Donald Tusk w czasie przemówienia w Żywcu. To jedynie najjaskrawsze przykłady kłamstw. Można by też prostować jego wrzutki np. o „zaszczuciu" Barbary Blidy (na której ciążyły podejrzenia o udziale w aferze korupcyjnej i powiązaniach z mafią węglową), zastanawiać się, czy faktycznie „na ludzi, którzy znajdują przyjemność w zabijaniu, patrzy z delikatną rezerwą" (jednego z nich wylansował przecież na prezydenta) lub czy prawdziwe może być zdanie: „Dla mnie Jan Paweł II jest częścią mojego dziedzictwa, jest częścią mnie", padające z ust człowieka domagającego się zalegalizowania aborcji do 12. tygodnia życia dziecka w łonie matki albo wyrzucenia religii ze szkół.

O opisane wyżej 13 kłamstw zapytaliśmy w biurze prasowym PO – dlaczego przewodniczący partii na tak masową skalę posługuje się nieprawdami w publicznych wystąpieniach, czy jest to zaplanowana przez Platformę strategia prowadzenia kampanii wyborczej i czy Donald Tusk zamierza sprostować kłamstwa podawane publiczności w Żywcu. Czekamy na odpowiedź.

Fot. DarSzach / Shutterstock

eprasa.pl e67cdd99de

Przychody KGHM w górę!

KGHM, globalny koncern surowcowy, wiodący producent miedzi i srebra na świecie, przedstawił raport roczny za 2022 r. Mimo zmiennej i niestabilnej sytuacji makroekonomicznej miedziowa spółka wypracowała wysokie wyniki operacyjne i finansowe, utrzymuje założone poziomy produkcji przy jednoczesnej kontynuacji wysokonakładowych projektów związanych z transformacją energetyczną

Ubiegłoroczne solidne wyniki produkcyjne i finansowe, wypracowane w trudnym czasie, pozwalają z optymizmem patrzeć na ten rok i kolejne lata. Mamy ambitne projekty i plany inwestycyjne – założyliśmy rekordowy poziom nakładów inwestycyjnych na 2023 r. W KGHM w unikatowy sposób łączymy efektywność ekonomiczną i finansową z szacunkiem dla środowiska naturalnego i partnerskich relacji z interesariuszami – powiedział Tomasz Zdzikot, prezes zarządu KGHM Polska Miedź SA.

WYNIKI PRODUKCYJNE I FINANSOWE

W 2022 r. Grupa Kapitałowa KGHM zanotowała stabilną produkcję miedzi z aktywów krajowych (produkcja górnicza – 442,7 tys. ton w urobku, produkcja hutnicza – 586 tys. ton) oraz z aktywów zagranicznych [Sierra Gorda – 90,8 tys. ton (55 proc.), Robinson – 46,8 tys. ton, Carlota – 4,1 tys. ton, Franke – 2,8 tys. ton*, Zagłębie Sudbury – 2,5 tys. ton].

Skonsolidowane przychody Grupy Kapitałowej KGHM za 2022 r. wyniosły 33,8 mld zł, czyli o 13,6 proc. więcej niż w 2021 r. Zysk netto za ub.r. wyniósł 4,8 mld zł, a skorygowana EBITDA osiągnęła wartość 8,9 mld zł.

Na koniec 2022 r. wartość skonsolidowanych aktywów Grupy Kapitałowej KGHM wzrosła do kwoty 53,4 mld zł. Z kolei kapitały własne wyniosły 32,2 mld zł.

POLITYKA KLIMATYCZNA

KGHM jest europejskim liderem we wdrażaniu efektywnych niskoemisyjnych technologii z dostępem do najnowszych rozwiązań górniczych i energetycznych. Spółka wdrożyła model biznesowy zapewniający pełny łańcuch tworzenia wartości – od eksploracji, wydobycia i przetwórstwa surowców naturalnych po sprzedaż gotowych produktów. Cały system jest wdrażany z poszanowaniem reguł ESG.

Miedziowy gigant z powodzeniem realizuje założenia polityki klimatycznej KGHM. Został wykonany m.in. bilans emisji gazów cieplarnianych zakresu 1, 2 i 3 za 2021 r. dla całej grupy. Są kontynuowane projekty dostosowania instalacji technologicznych spółki do wymogów konkluzji BAT dla przemysłu metali nieżelaznych wraz z ograniczeniem emisji arsenu (BATAs). W 2022 r. w oddziałach KGHM zostało oddanych kolejnych sześć instalacji, które znacząco poprawiają jakość powietrza w Zagłębiu Miedziowym.

LIDER TRANSFORMACJI ENERGETYCZNEJ

Celami KGHM Polska Miedź SA są zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych o 30 proc. do 2030 r. oraz osiągnięcie całkowitej neutralności klimatycznej do 2050 r. Spółka w ciągu najbliższych siedmiu lat będzie dążyć do zaspokojenia swojego zapotrzebowania na energię w 50 proc. ze źródeł własnych – w tym OZE. Obecnie praca bloków parowo-gazowych KGHM Polska Miedź SA może pokryć do 20 proc. zapotrzebowania na energię elektryczną.

KGHM, dywersyfikując źródła energii elektrycznej w całej grupie, stawia również na energię ze słońca, z wiatru i wodoru. Spółka buduje elektrownie fotowoltaiczne i kontynuuje projekty w obszarze morskiej energetyki wiatrowej i źródeł wodorowych. Ponadto KGHM jest zaangażowany w rozwój energii atomowej w kraju. W ub.r. miedziowy gigant złożył pierwszy w Polsce wniosek o ocenę technologii małego modułowego reaktora (SMR) do Państwowej Agencji Atomistyki.

Miedziowa spółka będzie też odbiorcą energii z nowej elektrowni słonecznej Żuki w województwie wielkopolskim, to przeszło 5,3 GW z blisko 10 tys. modułów fotowoltaicznych. W spółce jest testowana innowacyjna technologia z użyciem stopów miedzi i srebra, która znacząco ograniczy straty przesyłu energii elektrycznej.

INWESTYCJE NA PLUSIE

W Grupie KGHM w 2022 r. kontynuowane były projekty eksploracyjne i eksploatacyjne w Polsce oraz w aktywach zagranicznych. Ponadto prowadzone są prace koncesyjne na złożach miedzi czy soli potasowych. Rozwijany jest program udostępniania złoża, w ramach którego zostało zakończone głębienie szybu GG-1. KGHM ma w tej chwili najgłębsze w Polsce wyrobisko górnicze. Trwa procedura wyboru wykonawcy do projektu związanego z budową szybu GG-2. Inny ważny projekt inwestycyjny to kontynuacja rozbudowy obiektu unieszkodliwiania odpadów wydobywczych Żelazny Most. Grupa KGHM konsekwentnie skupia się na rozwijaniu i wzmacnianiu potencjału swoich kluczowych pracujących aktywów oraz projektów perspektywicznych w Chile, USA i Kanadzie.

Artykuł sponsorowany | 10/0223/F

eprasa.pl e67cdd99de

To bazyliszek, postawmy przed nim lustro

Dominik Tarczyński, poseł Prawa i Sprawiedliwości do Parlamentu Europejskiego, mówi w rozmowie z Wojciechem Biedroniem, jak wygrać z Donaldem Tuskiem

Fakt, że mocno wszedł pan w kampanię wyborczą oznacza, że przyszedł czas na ludzi twardych. Czuje się pan twardzielem prawicy?

Dominik Tarczyński: To oznacza, że „wszystkie ręce na pokład". To są najważniejsze wybory od 1989 r. Może to brzmi jak banał, ale to prawda. Każdy z nas – niezależnie od tego, czy jest posłem w Sejmie, czy w Parlamencie Europejskim – ma swoje zdolności, doświadczenie czy cechę charakteru, które powinny być wykorzystane. To, co ja mogę z siebie dać, to jest pewnego rodzaju odwaga, zaangażowanie i bezkompromisowość. Czuję się potrzebny i wiem, że mogę się przydać.

Czyli fighter, jak mówią na pana, wchodzi do gry?

Ta kampania będzie bardzo brutalna. Widzimy, jak rozpoczęły ją lewackie media: atak na Jana Pawła II to sytuacja niespotykana. Widzimy, że wykorzystuje się także śmierć człowieka mimo oczywistego faktu, że jedynym mordem politycznym od 1989 r. było zabójstwo Marka Rosiaka, dokonane przez fanatycznego zwolennika PO. Widzimy więc, że jest bardzo ostro i tak należy reagować – adekwatnie. Jestem na to gotowy i się nie boję. Trzeba zrobić wszystko, by nie dopuścić ich do władzy, ale jest jeszcze coś – trzeba przede wszystkim kontynuować to, co rozpoczęliśmy. Są ogromne projekty, nie tylko infrastrukturalne, jak przekop Mierzei Wiślanej, CPK czy mur na granicy. Chodzi o geostrategiczne cele, jak choćby projekt Trójmorza. Nasze plany są daleko idące, więc w naturalny sposób potrzebują czasu. Stąd potrzeba trzeciej kadencji, a do tego maksymalnego zmobilizowania wszystkich, dla których Polska jest celem najważniejszym.

Fot. Andrzej Wiktor

Dlatego pana zaproszono do kampanii?

Moje zaangażowanie jest naturalne. Oczywiste.

Tymczasem punktem centralnym opozycji jest Donald Tusk. Jak chcecie z nim wygrać? Ma z sobą wiele narzędzi. Media, wsparcie ulicy i zagranicy.

Donald Tusk przegra sam z sobą. Pozwólmy mu mówić. Wszystkie te „szczere" wyznania lidera PO są oceniane przez Polaków. Fala sondaży, chociaż podchodzimy do nich ostrożnie, pokazuje, że wielu Polaków nie zgadza się ze słowami Donalda Tuska. Atak na Jana Pawła II, oskarżenia o odpowiedzialność za śmierć ludzką, sprawa reparacji – to pokazuje, że Tusk łapie się wszystkiego i gra poniżej pasa. Cechuje go pogarda i buta. On patrzy na Polaków z góry.

To może być za mało. Tak jak niewystarczająca jest narracja opozycji, która wychodzi z założenia, że wystarczy być anty-PiS.

My nie mamy obsesji na punkcie Tuska. On nie jest centralnym punktem. Dziś najważniejsze są nasze projekty, to, co robimy dzisiaj. Robimy swoje, a Tusk się miota. Naturalną kwestią jest to, że on aspiruje do bycia premierem. To taki „polnischer Oppositionsführer". Jasne, że się do niego odnosimy, bo odnosimy się do całego obozu opozycyjnego. Tusk jest muchą, którą trzeba odgonić.

eprasa.pl e67cdd99de

Ale ta mucha też ma swoje poparcie. Jak konkretnie chcecie go pokonać?

Pokonamy go tak samo jak w 2015 r. i 2019 r. Po pierwsze – program. To, co zrobiliśmy w 2014 r. i 2015 r., czyli tysiące spotkań z wyborcami. Tak, nasz program powstawał na spotkaniach z Polakami. To oni podyktowali nam program polityczny. Przygotowaliśmy te postulaty, opracowaliśmy je i wdrożyliśmy w życie. Dotrzymaliśmy słowa danego naszym wyborcom, wszystkim Polakom. Teraz to powtarzamy. Jest takie powiedzenie, że „jak idzie dobrze, to nie trzeba zmieniać". A nam idzie dobrze.

A jaka jest pozycja PiS po niemal ośmiu latach rządów? Pojawiły się ostatnio komentarze, że sondaże dają wam poparcie takie samo jak w 2015 r. To dobry prognostyk przed wyborami?

To fenomenalny i historyczny wynik. Żaden rząd w historii Polski nie miał szans na trzecią kadencję, a ja wierzę, że będziemy rządzili przez kolejne osiem lat. Żaden rząd w historii III RP nie rządził w tak ekstremalnych i do tego historycznych warunkach. Nigdy w historii nie było tak potężnej pandemii, takiego kryzysu, który możemy porównać jedynie do tąpnięcia w USA pod koniec lat 20. ub.w. Mamy też do czynienia z wielką wojną tuż przy polskiej granicy.

Ale Donald Tusk i opozycja tej wojny nie widzą. Celowo pomijają tę okoliczność, atakując rząd za sytuację ekonomiczną Polaków.

Podróżując po Europie, widzimy, w jakiej pozycji jest Polska. Podróże kształcą.

A więc w jakiej w jesteśmy formie?

Polska jest absolutnym liderem pod względem bezpieczeństwa, rozwoju, relacji sojuszniczych i gospodarczych. Oczywiście nie negujemy faktu inflacji, trudniejszej niż kilka lat temu sytuacji ekonomicznej. To bolączki całego świata. Ale wystarczy wejść do pierwszego lepszego sklepu w Niemczech. W Polsce ceny po ataku Putina na Ukrainę wzrosły o mniej więcej 20 proc. Ale w Niemczech te wzrosty sięgają kilkuset procent. Media to opisują. Nie ma tak, że w Polsce są wydzielane po dwa pomidory lub po trzy sztuki papryki. Jak jest kryzys, to nie ma cebuli jak na Słowacji. W Anglii produkty żywnościowe są chipowane. Sery i wędliny są tak zabezpieczane, bo wielu z biedy zaczyna je kraść ze sklepów. W Polsce takiej sytuacji nie ma. We Włoszech można dostać 3 tys. euro kary za używanie klimatyzacji i schładzanie mieszkania poniżej 19 st. C. W Austrii policja i wojsko z długą bronią patrolowały ulice podczas pandemii. A Paryż? Żółte kamizelki i masakrowanie demonstrantów przez policję. Tak było za Tuska, gdy wydano rozkaz strzelenia do górników.

Tylko czy Polacy o tym wszystkim wiedzą i pamiętają o tych czasach? O gumowych kulach wystrzeliwanych do związkowców na Śląsku? O zakupach na zeszyt i głodnych dzieciach w szkołach?

> Donald Tusk przegra sam z sobą. Pozwólmy mu mówić. Wszystkie te „szczere" wyznania lidera PO są oceniane przez Polaków

Ostatni czas, szczególnie ten pandemiczny i wojenny, był traumatyczny dla całego narodu. Ludzie słusznie skupili się na oszczędnościach, na godnym życiu. Ja jednak jestem po to, by m.in. przypominać o Tusku. Nie po to, by eksponować zło tego człowieka, ale by przed nim przestrzegać. On się przecież nie zmienił. To jest człowiek niebezpieczny tak jak cała jego ekipa. Staję więc na pierwszej linii frontu. Jak wygrać z Tuskiem? Trzeba przed nim postawić lustro, bo to bazyliszek polskiej polityki. Niech siebie posłucha i zobaczy. To wystarczy, a my będziemy robić swoje. Myślę też, że Polacy mają dobrą pamięć. Pamiętają głodowe, niewaloryzowane emerytury, zakupy na zeszyt, zubożenie całych grup społecznych.

Tyle że Donald Tusk gra jawną manipulacją, udaje też, że nie pamięta swoich własnych słów, i to nie tylko sprzed kilku lat, ale nawet sprzed kilku tygodni. Jak mu odpowiedzieć?

Trzeba mu poprawiać pamięć. Tusk zatrzymał się mentalnie w czasach Kongresu Liberalno-Demokratycznego, gdy nie było mediów społecznościowych, siły internetu.

Potem już jako premier miał za sobą wszystkie media. I te publiczne, i te prywatne.

Niestety tak. Wszystkie stacje grały na niego. Dlatego był bezkarny. Załatwiano deale z mediami „przy śmietnikach". Trzeba wykorzystywać mocno media społecznościowe. Szczególnie TikTok. Mówię o tym w sztabie wyborczym. Mam też wiadomość do Donalda Tuska: czasy się zmieniły, są już tacy, którzy weryfikują pana kłamstwa. Korzystajmy z narzędzi, by te kłamstwa odkręcać i obnażać. Miejmy nadzieję, że ten człowiek nigdy nie powróci do władzy.

Możliwe, że by rządzić ponownie, będziecie potrzebowali koalicjanta. Widzicie możliwość tworzenia koalicji z Konfederacją?

Mówię absolutnie szczerze, że wierzę, iż nasz wynik pozwoli nam rządzić samodzielnie. Wracam myślami do wyścigu o fotel prezydencki w 2015 r. Nasze realne poparcie jest znacznie większe niż w sondażach. Skąd to wiem? Widzę to w czasie naszych spotkań z wyborcami. Bez względu na to, który region Polski wybierzemy, to zapełniamy – ja również – całe sale. Widać to w relacjach. Ludzie są entuzjastycznie nastawieni. Spotykam się z wyborcami od lat, i to niezależnie od tego, czy trwa kampania wyborcza. Widzę, że tych osób jest coraz więcej. Ja nie potrzebuję sondaży. Zastąpiłem je własnym doświadczeniem z podróży po Polsce i nie tylko.

Wyklucza pan więc koalicję z Konfederacją?

Przecież to wszystko będzie zależeć od wyników wyborów. W polityce nigdy nie mówi się „nigdy". Powtarzam jednak, że wierzę w możliwość samodzielnego tworzenia rządu przez Zjednoczoną Prawicę.

eprasa.pl e67cdd99de

Ostatnie straszenie lidera PO

„Sondaż obywatelski" ma być wreszcie skutecznym środkiem szantażu wobec opozycji, żeby się zjednoczyła

STANISŁAW JANECKI

Nie pomogły groźby, prośby, apele i stanowiska w sprawie jednej listy, więc „Gazeta Wyborcza" i Donald Tusk postanowili użyć ostatecznego środka nacisku – badania socjologicznego, szumnie nazwanego „sondażem obywatelskim", opublikowanego 20 marca 2023 r. Opublikowanego z takim zadęciem, jakby chodziło o odkrycie bozonu Higgsa albo fal grawitacyjnych.

„Epokowe" wydarzenie, którym ma być badanie, zostało poprzedzone komunikatami o czymś tak niesamowitym, że samo czekanie powinno zapierać dech i mieszać zmysły. „Sondaż obywatelski" ma być czymś tak obiektywnym jak prawa fizyki i tak pewnym jak aksjomaty w matematyce czy sądy syntetyczne *a priori* u Kanta. „Sondaż obywatelski" został przedstawiony jak przełom kopernikański, rewolucja Einsteina, a co najmniej jak raporty Alfreda Kinseya o seksualnych zachowaniach kobiet i mężczyzn (w chwili, gdy się ukazały w latach 1948 i 1953, bo później zostały kompletnie skompromitowane jako jedno wielkie oszustwo). Rewolucją kopernikańską ma być nawet sposób sfinansowania badania – przez akcję Fundacji Forum Długiego Stołu. To ona „uzbierała 90 tys. zł na sondaż, jakiego jeszcze nie było". To dość prostackie manipulowanie politykami i opinią publiczną, bo jeśli pracownia badawcza jest uczciwa i profesjonalna (w tym wypadku Kantar Public) nie ma żadnego znaczenia, kto sfinansował badanie i w jaki sposób zebrano pieniądze.

Zastosowano greps „sondaż obywatelski", żeby sugerować, iż obywatele zarówno zamówili badanie, jak i obiektywnie przedstawili swoje preferencje. To „obywatele" mają się domagać tego, co wynika z sondażu, a co podsumował były polityk ROAD, UD, UW i PO – Andrzej Machowski, przedstawiany jako obiektywny do granic możliwości

Fot. Jacek Domiński/REPORTER

eprasa.pl e67cdd99de

profesjonalista. Cel akcji był wyjątkowo prosty – zaszantażować tych polityków opozycji (a to wciąż zdecydowana większość), którzy nie chcą jednej listy albo uważają ją za złe rozwiązanie. Bo jeśli nie jedna lista, to alternatywą jest koniec świata.

XI TEZA MARKSA O FEUERBACHU

Donald Tusk pewnie już znał wyniki „sondażu, jakiego nigdy nie było", gdy 19 marca 2023 r. w Żywcu straszył: „Ci z polityków, którzy nie chcą wspólnej listy, chcą tylko być, tylko wejść do Sejmu – jeżeli w najbliższym czasie nie zrozumieją, że trzeba zrobić to natychmiast, to przed wyborami znikną w sondażach i dostaną od wyborców baty. Wtedy zostanie jedna lista". Jedna lista albo polityczna anihilacja, poprzedzona karą wymierzoną przez lud. Tusk rozwinął swoją złotą myśl: „Uważam, że mniejsze partie opozycyjne, tak długo jak będą sobie działały na zasadzie »nie jesteśmy od wygrywania, chcemy być, chcemy wyjść«, będą kłopotem. [...] Jeśli jesteś demokratą i chcesz o coś walczyć, to słuchaj ludzi, słuchaj zdrowego rozsądku i nie kłóć się z matematyką". „Matematyka" jako źródło słuszności i prawomocności oraz „ludzie" jako cel działania i podmiot polityki. Dlatego przewodniczący Tusk uznał, że ma prawo wymagać: „Arytmetyka i statystyka mówią: jedna lista. Każdego dnia szkoda [...]. Jak się tylko gada, to ludzie po jakimś czasie mówią: »Dajmy sobie z tym spokój«. Moim, naszym i waszym zadaniem jest, żeby wyborcy zrozumieli, że tylko jedna lista może wygrać". Wygląda na to, że Tusk inspirował się XI tezą Marksa o Feuerbachu: „Filozofowie rozmaicie tylko interpretowali świat. Chodzi jednak o to, by go zmienić".

Przekaz Tuska wzmocnił Sławomir Sierakowski z „Krytyki Politycznej" hasłem: „Jedna lista albo śmierć". A to dlatego, że „to nie są czasy zwykłej rywalizacji między partiami, to są czasy rywalizacji między autorytaryzmem i demokracją". Jeszcze dalej poszedł zwyczajowo wzmożony Tomasz Lis: „Alternatywą dla jednej listy jest jedna lista kolaborantów PiS odpowiedzialnych za zdradę narodu i zwycięstwo zła". Spokojniej wypowiedział się były premier Włodzimierz Cimoszewicz (20 marca 2023 r. w programie „Onet Rano"), który jest jednak przekonany o geniuszu i sprawczości jednej listy: „Nie są prawdziwe obawy o to, że połączenie może zrażać niektórych z tradycyjnych sympatyków i zmniejszać ogólne poparcie. [...] Jednej listy obawiają się ci przywódcy, za których plecami nie ma zbyt wielu polityków o znanych nazwiskach. Boją się, że przy naszym systemie wyborczym [...] ich kandydaci, znajdując się na wspólnej liście, mogą przepaść. [...] Trzeba byłoby się zastanowić, jak to kompensować, ale koniecznie trzeba byłoby dążyć do jednej listy".

AKSJOMAT JEDNEJ LISTY

Wprawdzie różne ośrodki badawcze wiele razy sprawdzały szanse jednej listy i z ich badań wynikało, że wielka koalicja mogłaby liczyć na mniejszą liczbę głosów, niż gdyby poszczególne ugrupowania startowały osobno, ale skoro „sondaż obywatelski" wszystko to przełamał i zanegował, brak poparcia dla jednej listy jest zbrodnią przeciw demokracji.

Argumentów dostarczył „Gazecie Wyborczej" m.in. prof. Wojciech Sadurski, przedstawiany jako „profesor filozofii prawa na Uniwersytecie Sydnejskim i profesor w Centrum Europejskim UW". „Wszystkie politologiczne badania porównawcze pokazują, że jedna lista jest najsilniejszym elementem przemawiającym o zwycięstwie sił demokratycznych w państwach niepełnej demokracji" – stwierdził Sadurski. I chyba musiał bardzo cierpieć, gdy przyznawał, że demokratyczne wybory mogą się odbywać w „niepełnej demokracji". Prof. Sadurski też nawiązał do XI tezy Marksa o Feuerbachu: „Wspólna lista przekonuje społeczeństwo o pewnej sprawczości. Bo jak można mówić o sprawczości, skoro nie można dogadać się co do wspólnej listy? [...] Jedna lista jest rzeczą absolutnie podstawową, bez niej nie będzie zwycięstwa opozycji demokratycznej w Polsce".

Status jednej listy jako aksjomatu i sądu syntetycznego *a priori* potwierdzili prof. Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski z „Krytyki Politycznej", autorzy raportu: „Wyborcy za jedną listą, liderzy przeciw". Wyciągnęli oni takie wnioski: „Każda partia z obozu demokratycznego, która zdecyduje się na start z osobnej listy, zrobi to wbrew większości własnych wyborców. [...] Start opozycji z trzech albo czterech list będzie historycznym błędem tych liderów, którzy do tego doprowadzą". Wojciech Sadurski dopełnił te wnioski stwierdzeniem, że „przywódcy [partii] są głupsi niż ich wyborcy". Oczywiście z wyjątkiem Donalda Tuska.

W imieniu tych nazywanych głupszymi wypowiedział się poseł Polskiego Stronnictwa Ludowego Marek Sawicki (21 marca 2023 r. w RMF FM): „Panie Donaldzie, po pierwsze – pycha kroczy przed upadkiem, ona była bardzo widoczna w pana wypowiedziach i pana kolegów. Po drugie, pan nie jest Babą Jagą, a ja małym dzieckiem i to naprawdę strachy na lachy". Sawicki tłumaczył (zapewne Tuskowi), że „nie po to tworzymy projekt z Szymonem Hołownią, by za chwilę zapisywać się do wspólnej listy".

PIERIEKOWKA DUSZ

Z „sondażu obywatelskiego" ma wynikać krzyk rozpaczy jakichś obywateli, którzy niczym Reytan rzucają się przed politykami opozycji, żeby nie szli osobno, czyli na zatracenie. Żeby nie byli – jak to ujął prof. Sadurski – głupsi od swoich wyborców.

Problemem jest to, że w opisie badania i w komentarzach „Gazety Wyborczej" pełno jest uzurpacji, ukrytego szantażu i pobożnych życzeń, a wszystko ma wyglądać jak uzasadnienie „być albo nie być", czyli jednej listy. W badaniu zastosowano klasyczne niejako, manipulatorskie podprowadzenie, żeby preferencje wyborcze nałożyć na tło generujące skrajne emocje i żeby wyraźnie określić winnego, wartego potępienia, także w postaci preferencji wyborczych. „Gazeta Wyborcza" opisała to tak: „Ankieterzy przepytywali Polki i Polaków o preferencje wyborcze od 1 do 13 marca, a był to gorący okres. Najpierw dotarła do nas wiadomość

eprasa.pl e67cdd99de

o samobójczej śmierci Mikołaja, syna posłanki KO Magdaleny Filiks; wcześniej media reżimowe w sensacyjnym tonie podały dane identyfikujące 15-latka jako ofiarę pedofila skazanego dawno temu, bo w 2021 r. Po 6 marca PiS rozpętał wojnę o reportaż TVN24 o Janie Pawle II. Marcin Gutowski pokazał w nim, że Karol Wojtyła znanych sobie pedofilów w sutannach krył, a ich ofiarami się nie zainteresował". Groteskowe jest usprawiedliwienie tendencyjnego podprowadzenia i zanegowanie jego podstawowej funkcji: „Ale najpewniej te emocje były zbyt świeże, jeszcze nie zdążyły wpłynąć na wyniki badania". Chodziło oczywiście o wręcz przeciwny efekt, co jest szczytem manipulacji.

Argumenty padające w komentarzach do przewrotu kopernikańskiego, którym ma być „sondaż obywatelski", to jedna z najbardziej manipulatorskich form politycznej perswazji po 1989 r. Podobno „obywatelski sondaż pokazuje, że w ostatnich miesiącach poparcie dla KO, Polska 2050, PSL i Lewicy osłabło na tyle, że startując oddzielnie, nie będą w stanie pokonać PiS (z Konfederacją, która zyskuje). Czyżby PiS i Jarosław Kaczyński nie mieli z kim przegrać? Czy jakaś konfiguracja daje demokratycznej opozycji szansę na zwycięstwo? Tak – ta, na którą liderzy się nie godzą, a której oczekują ich wyborcy. Lider PO Donald Tusk od dawna namawia Szymona Hołownię z Polski 2050, Władysława Kosiniaka-Kamysza z PSL oraz Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia z Nowej Lewicy do zbudowania na wybory wielkiej czteropartyjnej koalicji". Tylko Tusk wszystko rozumie i tylko pod jego przewodem uda się przejąć władzę.

Problemem jest to, że poza zadęciem o wyjątkowości „sondażu obywatelskiego", reszta jest już tylko klasyczną próbą „pieriekowki dusz" polityków i wyborców wedle najlepszych, czyli bolszewickich wzorów, gdzie perswazyjność pomieszana z przymusem zostały wywindowane na wyżyny. Wprawdzie wszystko już zostało wcześniej powiedziane, ale powtórzenie tego w aurze „sondażu obywatelskiego" ma mieć nadzwyczajny wpływ na decyzje opozycyjnych polityków.

PROBLEM KONFEDERACJI

„Sondaż obywatelski" nie zalicza Konfederacji do „demokratycznej opozycji". Celowo, bo chodzi o to, żeby tę formację powiązać z PiS (Konfederacja byłaby jedynym dostępnym koalicjantem, a bez niej nie dałoby się rządzić) i tym połączeniem postraszyć wyborców, że właściwie to oznacza faszyzm. Polityków opozycji i jej wyborców ma to motywować do opowiedzenia się za jedną listą. Piotr Stefaniak, przedstawiany przez „Gazetę Wyborczą" jako specjalista doradztwa strategicznego, tłumaczył: „Wystarczyło wykorzystać naukę ze skutecznej kampanii PiS z 2015 r., czyli zastąpić polityków takich jak Korwin-Mikke i Braun Sławomirem Mentzenem, który może się spodobać przeciętnemu wyborcy, szczególnie temu młodszemu i niedokonującemu głębszej analizy poglądów lidera. Pomogły też socjalne pomysły opozycji. W efekcie zwyczajowe 6–8 proc. dla Konfederacji zamieniło się w 13–15 proc. i pozwoliło PiS poważnie myśleć o przedłużeniu rządów, tym razem z koalicjantem. [...] Ugrupowanie Mentzena jako jedyne mówi, że podatki są za wysokie. A że przy okazji podnosi ręce za dalszym zaostrzeniem aborcji, jest przeciw UE i już szykuje się do koalicji z PiS? Dla tych wyborców to mniej ważne niż gospodarka". Widmo złego wisi nad Polską, nawet jeśli trochę zakamuflowane.

> Z „sondażu obywatelskiego" ma wynikać krzyk rozpaczy jakichś obywateli, którzy niczym Reytan rzucają się przed politykami opozycji, żeby nie szli osobno, czyli na zatracenie. Żeby nie byli – jak to ujął prof. Sadurski – głupsi od swoich wyborców

„Sondaż obywatelski" uwzględnia cztery warianty, ale tylko po to, żeby trzy były tylko tłem dla jedynie słusznego – czwartego. Oczywiście przegrywa wariant A, który „zakłada osobne listy KO, Lewicy, PL 2050 i PSL. W sumie mają wtedy 225 mandatów, a PiS (180) i Konfederacja (55) – 235. I to ta koalicja ma bezwzględną większość parlamentarną (ponad 231 głosów)". Przegrywa też wariant B, czyli „dwa bloki opozycji: KO i Lewica oraz PL 2050 i PSL. Tu PiS ma aż 201 mandatów, Konfederacja – 51, czyli razem aż 252 miejsca w Sejmie". Przegrywa również wariant C, czyli „też dwie listy opozycji: blok KO, PL 2050 i PSL oraz idąca osobno Lewica. Tu PiS ma 183 mandaty, Konfederacja – 62, w sumie 245. I też pewną większość". Istnieje jednak zbawienie, czyli „kluczowy" wariant D – „wspólna lista KO, Lewicy, PL 2050 i PSL. Tylko wtedy Tusk, Hołownia, Kosiniak-Kamysz oraz Czarzasty i Biedroń mogą liczyć na większość w Sejmie – 245 mandatów. W takiej sytuacji PiS miałby 167 mandatów, a Konfederacja – 48 (razem 215)". Andrzej Machowski ujawnia intencje zamawiających badanie: „Niektórzy liderzy opozycji mówili, że zgodzą się na wspólną listę, gdy wydarzy się coś takiego, co wykluczy – jeśli chcemy wybory wygrać – inny start niż na jednej liście. To się właśnie wydarzyło".

Oczywiście nic takiego się nie wydarzyło. Zdarzyło się tylko to, że Donald Tusk i „Gazeta Wyborcza" wymyśliły nowe, w założeniu wreszcie skuteczne narzędzie szantażu i zastraszania, ubrane w szaty obiektywizmu i „obywatelskości", choć nie ma w nim ani nic nowego, ani przełomowego, ani do czegokolwiek przekonującego. Jeśli wziąć pod uwagę, z jakim zadęciem i apokaliptycznym klimatem był zapowiadany „sondaż obywatelski", można uznać to przedsięwzięcie za ostatnie straszenie Tuska.

eprasa.pl e67cdd99de

Seniorzy zasługują na bezpieczną i godną emeryturę

Fot. Mateusz Włodarczyk/MRiPS

W Polsce żyje dzisiaj ponad 9,8 mln osób w wieku powyżej 60 lat. To co czwarty Polak. – Osoby te zasługują na godną emeryturę. To nie tylko świadczenia, których wysokość podnosimy i wprowadzamy kolejne, lecz także wspieranie ich aktywności, zapewnienie dostępu do usług. Polityka senioralna to nasz priorytet, na dodatkowe wsparcie dla osób starszych przeznaczamy w tym roku ok. 70 mld zł – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg

Polityka senioralna to wiele obszarów i działań – od wsparcia finansowego, przez wspieranie aktywności – również zawodowej, po otoczenie opieką osób mniej samodzielnych. – Wszystkie te działania konsekwentnie realizujemy, nie zmieniła tego ani pandemia, ani wojna na Ukrainie. Podnosimy świadczenia, wypłacamy 13. i 14. emeryturę, wspieramy seniorów na rynku pracy. I nie tylko, tych działań jest wiele – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

BEZPIECZEŃSTWO FINANSOWE SENIORÓW

Jednym w elementów wpływających na poprawę bezpieczeństwa finansowego osób starszych jest waloryzacja świadczeń emerytalno-rentowych. Od 1 marca br. minimalna emerytura, a także najniższa renta z tytułu całkowitej niezdolności do pracy, renta socjalna i renta rodzinna wzrosły z 1338,44 zł do 1588,44 zł. To o ponad 80 proc. więcej niż w 2015 r. Łącznie na tegoroczną waloryzację świadczeń przeznaczono rekordowe ok. 44 mld zł.

Już w kwietniu br. zostaną wypłacone z kolei 13. emerytury. Trzynastka od 2020 r. jest gwarantowana ustawą. Jak zapewnia minister Marlena Maląg, jest gotowy projekt ustawy wprowadzającej na stałe również 14. emeryturę.

Do tej pory w ramach 13. i 14. emerytury wypłacono łącznie 64,2 mld zł.

EMERYTURA DLA MAM 4+

Również 1 marca br. przypadła czwarta rocznica wprowadzenia programu Mama 4+. To rodzicielskie świadczenie uzupełniające dla rodziców, którzy poświęcili się wychowaniu co najmniej czworga dzieci, rezygnując z pracy zawodowej lub pracując za krótko, by uzyskać prawo do choćby minimalnej emerytury. Przysługuje ono w wysokości minimalnej emerytury. Od marca 2019 do końca stycznia 2023 r. na program Mama 4+ wydano ok. 1,78 mld zł. Świadczenia otrzymuje blisko 72,2 tys. osób.

AKTYWNI SENIORZY

Na poprawę jakości życia osób starszych oprócz wsparcia finansowego ma wpływ także zapewnienie im przestrzeni do aktywności i spotkań z innymi. Służą temu programy wieloletnie Senior+ i Aktywni+.

Program Senior+ wspiera tworzenie i funkcjonowanie domów i klubów, w których osoby starsze mogą uczestniczyć w różnego rodzaju zajęciach, korzystać ze wsparcia specjalistów (np. fizjoterapeutów) – mogą pełniej uczestniczyć w życiu lokalnej społeczności. W latach 2015–2022 na terenie kraju utworzono blisko 1,2 tys. placówek Senior+, które oferowały blisko 27 tys. miejsc dla osób starszych.

Celem programu Aktywni+ jest zwiększenie udziału seniorów w aktywnych formach spędzania czasu wolnego, zwiększenie ich zaangażowania na rynku pracy oraz wzmacnianie trwałych relacji międzypokoleniowych. W ramach dwóch edycji Programu Aktywni+ w latach 2021–2022 zrealizowano 630 projektów.

W latach 2021–2025 nakłady na oba programy wyniosą 0,5 mld zł.

MINISTER MARLENA MALĄG: JESTEŚMY BLIŻEJ SENIORÓW

– Dzisiaj już co czwarty Polak jest w wieku powyżej 60 lat. To ogromna grupa, której sytuacja jest dla nas szczególnie istotna. Osoby starsze zasługują na wszystko, co najlepsze – podkreśla minister rodziny Marlena Maląg.

Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej

Artykuł sponsorowany | 45/0323/F

eprasa.pl e67cdd99de

Tusk umył ręce niczym Piłat

Reportaż TVN, który sugerował, że Jan Paweł II krył pedofilię, jest skandaliczny i stronniczy. Na pewno pomógł Prawu i Sprawiedliwości. To będzie wykorzystane w kampanii wyborczej. Dziennikarze TVN zrzucili złoty polityczny deszcz środowisku, które rzekomo zwalczają. Nie wiem, czy to było zrobione świadomie, czy z głupoty

Z Markiem Sawickim, wiceprzewodniczącym klubu parlamentarnego Koalicja Polska – PSL, UED, Konserwatyści, rozmawia Dorota Łosiewicz

PSL w przeciwieństwie do reszty opozycji poparł uchwałę Sejmu w sprawie obrony dobrego imienia św. Jana Pawła II. Chwyt wyborczy?

Marek Sawicki: Żaden chwyt. PSL był pierwszy i z własną uchwałą, i ze złożeniem wiązanki pod Krzyżem Papieskim na pl. Piłsudskiego. Uważamy, iż reportaż TVN był tendencyjny, ale nie o reportaż chodziło w tej uchwale. Nie chcemy prowadzić wojny z mediami, bo to nie nasza rola. Nasza uchwała odnosiła się do zasług Jana Pawła II: i dla Kościoła katolickiego, i dla polskiej wolności. Wiemy, że gdyby nie Jan Paweł II, to nie doszłoby do odnowienia ruchu Solidarności, ani nie byłoby zwycięstwa w referendum dotyczącym przystąpienia do Unii Europejskiej. Jan Paweł II wystosował apel do Polaków, mówiąc, że to potrzebne i zgodne z jego myśleniem o Europie. Pamiętamy przecież jego słowa o tym, że Europa powinna oddychać dwoma płucami: wschodnim i zachodnim. Chcieliśmy oddać cześć zasługom Jana Pawła II, a kwestiami badań archiwalnych niech się zajmą historycy, ale niech to będą przygotowani badacze, a nie dyletanci. Ten reportaż TVN, który sugerował, że Jan Paweł II krył pedofilię, jest skandaliczny i stronniczy.

Komu pomógł atak mediów i części polityków na Jana Pawła II?

Na pewno pomógł Prawu i Sprawiedliwości. To będzie wykorzystane w kampanii wyborczej. Dziennikarze TVN zrzucili złoty polityczny deszcz środowisku, które rzekomo zwalczają. Nie wiem, czy to było zrobione świadomie, czy z głupoty.

Myśli pan, że 15 października, czyli dzień przed wyborem Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową, to dobra data na wybory?

Nie ma znaczenia, czy to będzie 15, czy 22 października. I tak będziemy w oktawie wyboru Jana Pawła II na papieża, więc ten temat będzie żywy. To może mieć wpływ na wynik wyborczy, podobnie jak miało wpływ na wszystkie ostatnie sondaże i wzrost poparcia dla PiS. To także oddziałało na wysoki poziom zdenerwowania w Koalicji Obywatelskiej i samego Donalda Tuska. Nie wiedzieli, jak mają się zachować w tej sprawie. Dlatego trzeba było zrobić „obywatelski szantaż wyborczy". I to zrobiono. To miała być ucieczka do przodu przed problemem, wobec którego nie potrafili się zachować jak Polacy, jak patrioci. Woleli więc umyć ręce jak Piłat.

Dlaczego Szymon Hołownia, nie Donald Tusk? Czyli dlaczego KP-PSL stawia w najbliższych wyborach na Polskę 2050, a nie na koalicję z PO?

Nie wykluczamy współpracy z nikim. Uważamy, że jest potrzebna współpraca po stronie demokratycznej opozycji i taką współpracę deklarujemy. Jednak z naszych badań i analiz wynika, że porozumienie z Szymonem Hołownią i jego Polską 2050 daje szanse demokratycznej opozycji na zwycięstwo i przejęcie władzy. Pyta pani, dlaczego nie z PO. Z Platformą byliśmy w Koalicji Europejskiej w 2018 r., przy okazji wyborów do Parlamentu Europejskiego. Ja się wówczas bardzo temu sprzeciwiałem, mówiłem o tym na Radzie Naczelnej. Już w 2019 r. zaczęliśmy budowę własnego projektu: Koalicji Polskiej z panem Kukizem. Teraz przygotowaliśmy wspólną listę spraw z Polską 2050, omawiamy kandydatów.

Mówi pan o wspólnych kandydatach, ale jeszcze nie ma pewności, że będzie wspólna lista. Decyzje mają ponoć zapaść dopiero na początku kwietnia.

Jako samodzielna i odpowiedzialna formacja polityczna przygotowujemy się w pierwszej kolejności do samodzielnego startu. Na zebraniu mazowieckiego zarządu PSL ogłosiliśmy naszą listę kandydatów do startu w najbliższych wyborach parlamentarnych. Ta lista w 100 proc. wypełnia limity ustawowe dotyczące kandydatów. Jeśli dojdzie do

eprasa.pl e67cdd99de

Fot. Andrzej Wiktor

porozumienia wyborczego z Hołownią, to oczywiście ustąpimy miejsca na listach formacjom czy strukturom, które zechcą z nami współpracować i budować listy koalicyjne. Ale mam na myśli koalicję centroprawicową, a nie koalicję od lewicy do prawicy, czyli ową mityczną jedną listę.

Mówi pan „porozumienie wyborcze" i „listy koalicyjne". Rozumiem więc, że forma startu z Polską 2050 to koalicja, co ułatwia podział subwencji, czyli w takim układzie wymagany próg wyborczy wynosi 8 proc. Nie boi się pan tego progu? SLD w 2015 r. mocno się przeliczył. 6 plus 6 nie tylko nie dało 12, a nawet nie dało 8 proc.

Uważam, że nasza umowa z Polską 2050 to powinno być porozumienie wyborcze w formie koalicji. W ogóle nie boję się tego progu 8 proc. Jestem przekonany, że jesteśmy w stanie w ciągu najbliższych siedmiu miesięcy przekonać wyborców do naszego programu. On jest dobrze przygotowany. Zresztą program mieszkaniowy PSL, sondowany przez „Rzeczpospolitą", uzyskał największe poparcie wyborców. Spotykamy się z Polakami, jeździmy po kraju. Władysław Kosiniak-Kamysz jest cały czas w terenie, od stycznia odbył już ponad 40 spotkań. Odbiór jest dobry. Przekonanie do programu jest większe niż do samych nazw partii i środowisk je tworzących. Przez program przekonamy do projektu politycznego.

> Ten „szantaż wyborczy" nie był inicjatywą samej „Gazety Wyborczej". To było przygotowane w porozumieniu. Nie byłoby tak ostrych wypowiedzi pana Tuska na wiecu, gdyby nie wiedział, jaki jest wynik sondażu

Wspomniał pan, że szykujecie się do samodzielnego startu, ale nie ma chyba wątpliwości, że potrzebujecie wyborców Szymona Hołowni, a oni waszych struktur. Kampania to ciężka praca w terenie.

W demokracji wszyscy są sobie potrzebni. Od lat mówimy, że trzeba budować porozumienie, współpracować, a nie podgrzewać antagonizmy i konkurencję. Dziś na polskiej scenie

eprasa.pl e67cdd99de

politycznej mamy taką sytuację, że dwaj liderzy frakcji PO-PiS spierają się, kto więcej zła uczynił Polsce i Polakom. Tymczasem Kosiniak-Kamysz z Hołownią proponują dyskusję o przyszłości, o programie i to jest zasadnicza różnica. Wydaje się, że ten PO-PiS-owy, niszczący państwo duopol z 2005 r. najwyższy czas wreszcie zablokować i dać ludziom lepszą ofertę.

Mówi pan, że z PO byliście w koalicji w 2018 r., ale przecież z partią Tuska współrządziliście. Widzę jednak, że jest w PSL taka narracja, żeby odcinać się od tamtej koalicji. Mówicie, że podniesienie wieku emerytalnego było błędem, że PSL też chciał programów społecznych. Wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski mówi tak: „Mam wrażenie, że byliśmy także w koalicji z PO mniej przebojowi, niż powinniśmy. Nie jest to żadną tajemnicą, że nasz prezes, kiedy był ministrem pracy [...], chciał wprowadzić program nie 500, tylko 300+". Tylko czy wyborcy w to uwierzą?

Mamy duże doświadczenie w pracach koalicyjnych, ale zawsze w tych koalicjach byliśmy mniejszym partnerem. I zawsze większe koszty współrządzenia ponoszą partie mniejsze, a nie większe. Polską od 2015 r. rządzi PiS, w Sejmie jest tylko klub PiS, to nie jest żadna koalicja partii. To jest jednorodny rząd, Solidarna Polska, idąc do wyborów na listach PiS, wiedziała, na co się decyduje i godzi. PSL nie startował na listach Koalicji Obywatelskiej, tylko na własnej liście. Jako partner koalicyjny mieliśmy prawo oczekiwać większego zrozumienia i większej realizacji naszego programu. Nie da się jednak zrealizować własnego programu, jeśli ma się dwudziestu kilku posłów w stosunku do dwustu trzydziestu kilku. Trzeba mierzyć siły na zamiary. Chcę zwrócić uwagę, że o ile byliśmy bardzo zdeterminowani i ostrzy w koalicji z lewicą, wychodząc nawet na pewnym etapie z tego porozumienia, o tyle w koalicji z PO staraliśmy się realizować własne cele i programy na tyle, na ile się dało. Jednak w koalicji jest tak, że mniejszy partner musi czasem zacisnąć zęby i realizować to, czego chce większy partner. Jesteśmy bogatsi o to doświadczenie i ono będzie owocowało.

Nie wiem, czy prezes PSL zaciskał zęby, ale pamiętam nagranie ze spotkania Jana Kulczyka i Pawła Grasia. Na taśmach pojawiają się fragmenty dotyczące Władysława Kosiniaka-Kamysza. Paweł Graś mówił: „Jak praktycznie, kurczę, na to popatrzysz na spokojnie, to gościu przeprowadził dwie najgorsze historie w wolnej Polsce, po Buzku – reformę 67 i OFE. To na nim wisiało wszystko, podniesienie wieku emerytalnego, to wisiało na jego resorcie".

Zamiast analizować nagrania sprzed dekady, niech pani przejrzy e-maile Michała Dworczyka. Więcej można się dowiedzieć o układach w rządzie i o tym, że wszystkie tropy prowadzą w jednym kierunku.

Czy wciąż aktualne jest powiedzenie, że najbliższe wybory wygra koalicjant PSL?

Aktualne jest powiedzenie, że Polskie Stronnictwo Ludowe jest partią z dużymi tradycjami, o bardzo ugruntowanym programie oraz przekonaniach i że ciągle jest potrzebne na polskiej scenie politycznej. Nawet dziś w opozycji jesteśmy głównym czynnikiem stabilizującym relacje wewnętrzne. Centrum rozmów i współpracy jest prowadzone przez Piotra Zgorzelskiego, w gabinecie wicemarszałka Sejmu. Potrafimy łączyć nurty, racje. Jak pani spojrzy na ostatnie cztery lata, to tam, gdzie były rozsądne propozycje PiS, to ich nie bojkotowaliśmy. Ale po wyborach nie będziemy tworzyć koalicji z PiS, a do tego pani zmierza, bo ta partia będzie za słaba, żeby z kimkolwiek tworzyć koalicję. Projekt PSL–Polska 2050 będzie na tyle silny, że z resztą partnerów z opozycji utworzymy większość potrzebną być może nawet do odrzucenia weta prezydenta.

Porozmawiajmy o sondażu obywatelskim, który nazwał pan na początku „szantażem obywatelskim", opublikowanym przez „Gazetę Wyborczą". Łukasz Pawłowski, prezes Ogólnopolskiej Grupy Badawczej, opublikował na Twitterze surową ocenę tego sondażu. „Wydźwięk wyniku tych badań powinien być zupełnie inny. Wynik opozycji jest fatalny (może się oczywiście zmienić do wyborów), ale wygląda na to, że ktoś szuka kozła ofiarnego dla spodziewanej porażki. Nawet w wariancie jednej listy opozycja jest daleka od sukcesu. Kantar pokazuje, że dzisiaj opozycja by te wybory przegrała, czy by startowała razem, w dwóch blokach, czterech – obojętnie. To powinien być nagłówek w »Gazecie Wyborczej«". Zgadza się pan z tą opinią?

Zgadzam. Na jednej liście, w dwóch i czterech blokach opozycja przegrywa. Ale w trzech blokach, w sytuacji gdy PSL i Polska 2050 łączą siły, a Lewica i KO idą osobno, dostajemy od 240 do 250 mandatów.

A dlaczego tego wariantu nie objął sondaż „GW"?

Ta gazeta od niemal dwóch lat jest głęboko przekonana, że musi powstać jedna lista, taki Front Jedności Narodu. Pewnie „Gazeta Wyborcza" sama chciałaby stworzyć swoją listę. I nic nie stoi na przeszkodzie. Niech oficjalnie ogłosi koalicję wyborczą, niech przystąpi jako partner do wyborów i zobaczymy, ile głosów dostanie.

Ten sondaż został wykorzystany przez Donalda Tuska jako straszak na liderów opozycji. Czy taka forma komunikacji zachęca do współpracy?

Czas, by środowisko Donalda Tuska wyciągnęło wnioski. Ten „szantaż wyborczy" nie był inicjatywą samej „Gazety Wyborczej". To było przygotowane w porozumieniu. Nie byłoby tak ostrych wypowiedzi pana Tuska na wiecu, gdyby nie wiedział, jaki jest wynik sondażu. Tym bardziej że najbardziej prawdopodobny wariant układanek wyborczych, o którym wcześniej mówiłem, został pominięty. Ten wariant przeczyłby lansowanej przez Tuska i „Wyborczej" tezie o zwycięskiej jednej liście. Nie rozumiem też, dlaczego pan Tusk tak otwarcie nie chce koalicji PO z Lewicą, ale już nie przeszkadza mu Lewica w koalicji z PSL i Polską 2050. Skąd to parcie na jedną, wspólną listę, która nie przyniesie zwycięstwa? My swój projekt budujemy od 2019 r. i na wybory skutecznie go wypromujemy.

eprasa.pl e67cdd99de

Migi odlatują na front

Nasz interes jest prosty – należy zrobić wszystko, co jest tylko możliwe, maksymalnie wykorzystać dostępne rezerwy, by nie dopuścić do upadku Ukrainy i pojawienia się moskiewskich hord na całej naszej wschodniej granicy. Przekazywanie Ukrainie broni nie jest więc – jak twierdzą niektórzy – rozbrajaniem Polski, lecz wykorzystaniem tej broni zgodnie z jej przeznaczeniem

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Gdy rok temu po raz pierwszy pojawił się pomysł przekazania Ukrainie polskich samolotów MiG-29, wybuchła wielka wrzawa. Rosyjski agresor nacierał wtedy na Kijów, a Europa była przerażona okrucieństwem Moskali. Nikt wówczas nie wiedział, co się może wydarzyć i czy Ukraińcy zdołają się obronić. Istniały obawy, że wojna w każdej chwili może rozlać się na całą Europę, dlatego zachodni politycy zachowywali dużą ostrożność.

Nic więc dziwnego, że początkowo dostawy broni dla Ukrainy były stosunkowo skromne i obejmowały przede wszystkim tzw. broń defensywną – pod tym pojęciem kryły się przede wszystkim ręczne wyrzutnie pocisków przeciwlotniczych i przeciwpancernych. Prawie nikt nie myślał wtedy w kategoriach możliwego zwycięstwa Ukrainy, chodziło przede wszystkim o to, by spowolnić rosyjskie natarcie i zadać agresorowi jak największe straty.

Pomysł wysłania na Ukrainę myśliwców mógł wydawać się w tamtej sytuacji pozbawioną podstaw brawurą. Bo – jak wtedy tłumaczono – myśliwiec jest bronią ofensywną (a niby dlaczego?). Poza tym przewaga Moskwy w powietrzu była druzgocąca i jedna czy dwie eskadry starych migów nie byłyby w stanie niczego zmienić. Uważano więc, że lepiej jest nadal dostarczać Ukrainie ręczną broń przeciwlotniczą, która skądinąd doskonale sprawdziła się na polu bitwy, zadając Rosjanom duże straty i zmuszając ich lotnictwo do zmniejszenia aktywności.

Tak naprawdę obawiano się jednak rosyjskiej reakcji. Amerykanie, którzy początkowo wspierali wysłanie na Ukrainę polskich migów, szybko zmienili zdanie, gdy okazało się, że to oni mieliby wziąć za to odpowiedzialność. Polska – nie chcąc wychodzić przed szereg i narażać się samotnie na możliwą reakcję Moskwy – zaproponowała bowiem, że odda myśliwce w ręce Amerykanów, a oni w dalszej kolejności przekażą je Ukrainie. Było to więc klasyczne zawołanie „sprawdzam" ze strony Polski, na które Waszyngton odpowiedział wymiksowaniem się z pomysłu.

NIE STRASZ, NIE STRASZ

Dziś, ponad rok od wybuchu wojny, temat migów powrócił. Co więcej, decyzje w tej sprawie zostały podjęte i polskie samoloty już wkrótce trafią do ukraińskiego arsenału wojennego. Wiele się w tym czasie zmieniło, bo w odróżnieniu od sytuacji sprzed roku przekazanie myśliwców nie wzbudza w Polsce aż tak dużych emocji jak poprzednio.

Fot. Piotr Zajc/Shutterstock

eprasa.pl e67cdd99de

Przede wszystkim wojna – choć brzmi to brutalnie – spowszedniała, a rosyjski agresor, który miał zająć Ukrainę w ciągu kilku dni, okazał się zupełnie niezdolny do przeprowadzenia takiej operacji. Jego pogróżki znacznie częściej budzą dziś politowanie niż strach. Nie oznacza to oczywiście, że Moskwa jest niegroźna – ciągle przecież posiada spore rezerwy i broń jądrową – jednak starannie pielęgnowany przez kremlowską propagandę wizerunek niezwyciężonej rosyjskiej armii legł na Ukrainie w gruzach, w czym wielką zasługę mieli ukraińscy obrońcy oraz zachodnia pomoc militarna. A ta, choć ciągle niewystarczająca do osiągnięcia decydującego przełomu w wojnie, przez cały ostatni rok stopniowo rosła, przekraczając niepostrzeżenie kolejne „czerwone linie" wyznaczane arbitralnie przez Kreml – po ręcznych wyrzutniach pocisków przeciwlotniczych i przeciwpancernych przyszedł czas na pojazdy opancerzone, czołgi i artylerię rakietową – w tym na wyjątkowo groźne i skuteczne zestawy HIMARS.

Wszyscy przyzwyczaili się więc do dostaw coraz potężniejszej broni na Ukrainę, zwłaszcza że Moskwa mogła na to zareagować jedynie bezradną wściekłością i kolejnymi pogróżkami. Jedyną alternatywą dla tych pogróżek mógłby być bowiem tylko atak jądrowy, ale na Kremlu – przy całej jego zapiekłości – zdają sobie chyba sprawę z tego, że byłby to akt autodestrukcji, co oczywiście nie wyklucza z tamtej strony różnych niebezpiecznych prowokacji w przyszłości.

W OBRONIE KONIECZNEJ

Wszystko to powoduje, że w przeciwieństwie do sytuacji sprzed roku zarysowała się dziś na horyzoncie perspektywa jeśli nawet nie pokonania, to na pewno zatrzymania Moskwy. I uratowania Ukrainy, co ma fundamentalne znaczenie dla bezpieczeństwa Polski oraz naszej części Europy. Rosja nigdy nie ukrywała bowiem (choćby w grudniowym ultimatum wystosowanym do Zachodu w 2021 r.), że jej celem obok podbicia Ukrainy jest neutralizacja wschodniej flanki NATO. Istnienie niepodległej Ukrainy jest więc wprost powiązane z istnieniem suwerennej Polski.

Nasz interes jest zatem prosty – należy zrobić wszystko, co jest tylko możliwe, maksymalnie wykorzystać dostępne rezerwy, by nie dopuścić do upadku Ukrainy i pojawienia się moskiewskich hord na całej naszej wschodniej granicy. Przekazywanie Ukrainie broni nie jest więc – jak twierdzą niektórzy – rozbrajaniem Polski, lecz wykorzystaniem tej broni zgodnie z jej przeznaczeniem. To Ukraińcy robią dziś za nas straszliwą robotę, którą musielibyśmy pewnego dnia sami zrobić w Polsce, gdyby Moskwa ich pokonała i ruszyła dalej na zachód.

Prawdopodobnie właśnie to miał na myśli polski ambasador w Paryżu Jan Emeryk Rościszewski, który tydzień temu w rozmowie z francuską telewizją LCI powiedział, że „jeśli Ukraina nie obroni swojej niepodległości, nie będziemy mieć wyboru i zostaniemy zmuszeni do włączenia się w konflikt". Słowa ambasadora zostały dość powszechnie zinterpretowane jako nawoływanie do wojny i być może rzeczywiście były niezbyt fortunnie dobrane, jednak ich treść wydaje się oczywista – jeśli Ukraina upadnie, to pojawi się ogromne ryzyko, że wojna przeleje się przez polską granicę.

> Można mieć nadzieję, że dostawy migów – tak jak wcześniej było w przypadku broni pancernej – uruchomią wysyłkę kolejnych, tym razem zachodnich maszyn z nadwyżek państw NATO

Nic więc dziwnego, że jesteśmy w czołówce państw udzielających Ukrainie pomocy wojskowej. Według danych Instytutu Gospodarki Światowej w Kilonii w styczniu zajęliśmy czwarte miejsce w świecie – po Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Niemczech, przy czym dane instytutu obejmują oprócz pomocy realnie dostarczonej również tę zadeklarowaną (stąd wyższa pozycja Niemiec). Jeśli chodzi o pomoc w przeliczeniu na PKB także zajmujemy czwartą pozycję na świecie, po państwach bałtyckich – Litwie, Łotwie i Estonii. Łącznie wartość przekazanego sprzętu wojskowego na Ukrainę kosztowała Polskę według dostępnych szacunków ponad 2,2 mld euro.

WIETRZENIE MAGAZYNÓW

Polska jest liderem pomocy wojskowej udzielanej Ukrainie z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego, że – jak już wyżej wspomniałem – wymaga tego nasz fundamentalny interes. A po drugie, posiadamy spore ilości posowieckiego sprzętu, który doskonale znają ukraińscy żołnierze. Dzięki temu nie muszą oni tracić czasu na szkolenia, lecz mogą niejako z marszu użyć tej broni na froncie.

Po dostawach lżejszej broni, takiej jak ręczne wyrzutnie przeciwlotnicze (słynny już Piorun) i karabinki Grot, nasza pomoc szybko nabrała większego kalibru, wyznaczając w ten sposób innym państwom nowe rozmiary wsparcia. Według informacji przekazanych przez premiera Morawieckiego do połowy lutego Polska przekazała Ukrainie ok. 250 czołgów – przede wszystkim T-72. W tej chwili plan dostaw obejmuje przekazanie kolejnych 60 czołgów T-72 oraz ich polskiej modernizacji PT-91 Twardy. Pozostając przy temacie czołgów, warto zauważyć, że Polska wymusiła też na innych sojusznikach z NATO przekroczenie kolejnej granicy, którą wcześniej było nieoficjalne embargo na dostawy ciężkiego sprzętu produkcji zachodniej – mam tu na myśli nie tylko niemieckie Leopardy, lecz także brytyjskie czołgi Challenger 2 i amerykańskie Abrams. W dużym stopniu to właśnie dzięki polskiej inicjatywie sformowano międzynarodową koalicję na rzecz dostaw czołgów Leopard 2 na Ukrainę. Łącznie dotrze tam 100 leopardów, z czego 14 przekazała już Polska. Wcześniej przyszłe załogi tych czołgów przeszły u nas intensywne szkolenie na poligonie w Biedrusku.

Polska wsparła też Ukrainę dostawami posowieckich wozów bojowych piechoty BWP-1, wyrzutni rakiet przeciwlotniczych (S-125 Newa i samobieżnych wyrzutni 9K33 Osa), a także broni artyle-

eprasa.pl e67cdd99de

ryjskiej. Na front pojechały posowieckie haubice samobieżne 2S1 Goździk oraz wyrzutnie rakiet BM-21 Grad używane masowo przez obie strony konfliktu. Znacznie poważniejszym zastrzykiem pomocy było dostarczenie na Ukrainę nowoczesnych polskich armatohaubic Krab produkowanych przez Hutę Stalowa Wola. Do kilkunastu sztuk z powodzeniem eksploatowanych bojowo od maja 2022 r. ma dołączyć wkrótce kolejnych 50 zakontraktowanych oficjalnie przez armię ukraińską. Ukraińcy zakupili też nową partię wykpiwanych w niemieckich mediach polskich karabinków Grot. Nie dopatrzyli się w nich rzekomych wad.

REWOLUCJA W ARMII

Ta całkiem pokaźna armada wykonuje dziś na Ukrainie dokładnie te zadania, do których była od samego początku przeznaczona – zamiast podczas wojny bezczynnie stać w hangarach, broni dostępu do Polski. Co więcej, pozbywamy się w ten sposób starej posowieckiej broni, która stopniowo traci walory bojowe, brakuje do niej części zamiennych i serwisu, jednak może jeszcze oddać przysługę Polsce na polach bitewnych Ukrainy.

Dostawy i użycie bojowe na Ukrainie nowoczesnego polskiego sprzętu, takiego jak armatohaubice Krab, karabinki Grot czy zestawy Piorun, są z kolei najlepszym testem ich niezawodności, który pozwala producentom stale doskonalić polską broń i projektować nową, jeszcze bardziej skuteczną. Nie mówiąc oczywiście o ewentualnych zyskach eksportowych dla naszego przemysłu w przyszłości.

Dodatkowo nasza armia pozyskuje bezcenne informacje dotyczące pola walki i przeciwnika, co ma szczególne znaczenie nie tylko przy opracowywaniu odpowiedniej taktyki wojennej, lecz także wpływa na bieżące zakupy broni – nieprzypadkowo przecież Polska, bazując na doświadczeniach wojny na Ukrainie, zdecydowała się w ostatnich miesiącach m.in. na radykalne wzmocnienie artylerii rakietowej (zamówienie na łącznie 506 amerykańskich wyrzutni HIMARS oraz 218 południowokoreańskich K239 Chunmoo) oraz dronów bojowych (tureckie Bayraktar TB2, amerykańskie MQ-9B Reaper oraz polska tzw. amunicja krążąca).

Jeśli dorzucić do tego inne wielkie zakupy, np. czołgów Abrams, południowokoreańskich K2, kolejnych armatohaubic Krab i południowokoreańskich K9, polskich wozów bojowych Borsuk, nie wspominając już o systemach przeciwlotniczych Patriot czy o lotnictwie (F-35, FA-50, śmigłowce AW-149 i AW-101), to w polskiej armii mamy dziś do czynienia z prawdziwą rewolucją sprzętową. Wywołała ją w dużym stopniu rosyjska agresja, ale jej skalę wyznaczają również bieżące dostawy sprzętu na Ukrainę. O rozbrojeniu nie może być więc mowy. Jest dokładnie przeciwnie.

> Broń z Polski wykonuje dziś na Ukrainie dokładnie te zadania, do których była od samego początku przeznaczona – zamiast bezczynnie stać w hangarach, broni dostępu do naszych granic

PSYCHOLOGICZNY PRZEŁOM

W tych okolicznościach przekazanie samolotów MiG-29 na Ukrainę jest po prostu naturalną konsekwencją trwającej od ponad roku polskiej pomocy dla napadniętego sąsiada. Uszczerbek dla naszego bezpieczeństwa z tego powodu będzie znikomy lub wręcz żaden. Mowa jest bowiem o samolotach być może pięknych z wyglądu, ale mocno już przestarzałych, których koncepcja pochodzi jeszcze z lat 70. ub.w., a one same zostały wyprodukowane w końcówce lat 80. Ich miejsce mają zająć jeszcze w tym roku południowokoreańskie FA-50. Nie jest to może samolot o najbardziej kosmicznych osiągach na świecie, ale ma tę zaletę, że można go kupić niemal od ręki (na dostawy maszyn typu F-16 czy F-35 czeka się kilka lat) i na pewno jest nowocześniejszy od starego myśliwca MiG-29.

Migi, które kiedyś stacjonowały w dwóch bazach – w Mińsku Mazowieckim i Malborku – są dziś w większości w stanie niezdatnym do lotu. Nie oznacza to, że nadają się wyłącznie na złom, jednak brak serwisu bardzo utrudnia ich eksploatację, o czym świadczą aż trzy katastrofy w ostatnich latach. Ukraińcy, którzy dotąd dostarczali nam do tych samolotów części zamienne (nieoryginalne zresztą, bo od Rosji nie kupowaliśmy), potrafią jednak przywrócić je do bojowego użytku. Pierwsze cztery migi mają dosłownie na dniach trafić na Ukrainę, pozostałych kilkanaście (mówi się czasem o 18) zostanie dostarczonych później. Do polskich migów ma dołączyć 13 identycznych maszyn ze Słowacji.

Można oczywiście debatować nad tym, na ile ta garstka starych samolotów będzie w stanie poprawić sytuację Ukrainy, która straciła już większość swojego lotnictwa bojowego. Jednak nie to jest najważniejsze. Znacznie bardziej istotny jest przełom psychologiczny polegający na tym, że – jeśli nie liczyć dostaw czeskich śmigłowców szturmowych Mi-24 – po raz pierwszy państwa NATO zdecydowały się na wzmocnienie ukraińskiego lotnictwa bojowego i dostarczenie na front samolotów. Można mieć nadzieję, że ten przykład – tak jak było w przypadku broni pancernej, przed której dostawami też się początkowo w NATO wzbraniano – uruchomi kolejne dostawy, tym razem zachodnich maszyn. Mówi się tu najczęściej o starszych wersjach F-16, których nadwyżki posiadają państwa paktu północnoatlantyckiego, zwłaszcza że ukraińskie załogi według wielu doniesień szkolą się już w pilotażu tych samolotów. Taka pomoc mogłaby być istotnym wsparciem dla żołnierzy walczących na froncie.

Jak na to zareaguje Moskwa? Wściekłością i pogróżkami. Może jakimiś prowokacjami. Ale NATO, a zwłaszcza państwa jego wschodniej flanki nie mają żadnego wyboru. Ta wojna toczy się na Ukrainie, ale Moskwa prowadzi ją przeciwko całemu Zachodowi, czego nikt na Kremlu nie ukrywa. W tym sensie i my – chcąc nie chcąc – bierzemy w tej wojnie udział. A skoro tak, to mamy obowiązek się bronić. Zwycięstwo Moskwy byłoby dla nas oczywistą katastrofą.

eprasa.pl e67cdd99de

Rosyjskie ziarna na polskiej ziemi

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Prawda jest prosta: zbrodnicza Rosja napadła na Ukrainę, w dalszej perspektywie marząc o zniszczeniu państw bałtyckich i osłabieniu Polski. W obliczu tak wyraźnego podziału na dobro i zło rosyjskie środki aktywne w Polsce muszą się nieźle natrudzić, by przekonać część Polaków, że zagrożenie nie pochodzi z Kremla

W połowie marca w Kielcach odbyła się jednostronna debata, w której wszyscy uczestnicy zgodnie przyznali, że to Ukraina jest zagrożeniem dla Polski i nie powinniśmy jej wspierać w obronie przed Rosją. Uzasadnienia były różne: a to odpowiedzialność ukraińskich nacjonalistów za zbrodnię wołyńską w 1943 r., a to dlatego, że część Ukraińców mówi po rosyjsku, więc nie można im przeszkadzać w rzekomym brataniu się z ludźmi Putina, albo nawet dlatego, że Unia Europejska ma swoje wady. Niedorzeczność tych argumentów, które nie mają nic wspólnego z napaścią Rosji na naszego wschodniego sąsiada i z naszym bezpieczeństwem, nie ma tutaj znaczenia – tak bowiem aktywizuje się sieć prorosyjskiej narracji, która ma wywołać ruch, kontrowersje, zwiększyć zasięgi i zbudować w Polsce piątą kolumnę kremlowskich wpływów.

Bo rosyjska dezinformacja dawno już wyrosła z prostej manipulacji, typu wysłanie agenta, który będzie namawiał do np. protestów, głosowania na jakąś partię czy niepłacenia podatków. Tu chodzi o coś więcej: o stworzenie świata wartości, pojęć, przekonań, które zupełnie nieprzypadkowo będą się pokrywać z wizją decydentów z Moskwy. Nie chodzi więc o pogląd na tę konkretnie wojnę – nie, to są ściany dezinformacji postawione na zupełnie innym fundamencie. Tym fundamentem jest postrzeganie Zachodu jako już upadłego, cywilizacji nie do odratowania, upatrywanie żydowsko-amerykańskich spisków w większości wydarzeń na świecie czy mówienie o zupełnie osamotnionej Polsce, która nie może polegać na swoich sojusznikach. Taki światopogląd jest jak żyzna ziemia, która chętnie przyjmie ziarnka konkretnych fake newsów i nowych, szczegółowych narracji. Niektóre z nich – choć są naprawdę absurdalne – znajdują posłuch nawet w naszym kraju.

NIEBIAŃSKA JEROZOLIMA

Ta teoria spiskowa brzmi bardzo konkretnie: jako że Izrael ma się nie utrzymać między państwami arabskimi na Bliskim Wschodzie, Żydzi i Amerykanie postanowili przenieść to państwo w inne

eprasa.pl e67cdd99de

wygodne miejsce. Wybór miał paść na południową Ukrainę. Projekt miałby nosić nazwę „Niebiańska Jerozolima". Dla tego złowieszczego planu potrzeba było deportować ludność ukraińską do – wiadomo – Polski. Stąd wedle tej narracji wojna za naszą wschodnią granicą jest po prostu żydowsko-amerykańskim spiskiem, za który zapłacą Ukraińcy (nadmorskimi terytoriami), a w większym stopniu Polacy – przyjmując miliony Ukraińców do swojego kraju jako rekompensatę za stracone ziemie. Jeśli ktoś wierzy w upadek Zachodu, Żydów rządzących światem i amoralną Amerykę, to „Niebiańska Jerozolima" jest teorią gładką do przełknięcia, choć w zdrowej dyskusji nie anulowałaby przecież rosyjskich gwałtów, zabójstw, masowych grobów i takich faktów jak np. deportowanie 1 mln Ukraińców przez Rosjan – nie przez Amerykanów.

Ale przecież takie teorie nie mają opierać się na faktach. Chodzi o dostarczenie emocji, podjudzanie do nienawiści oraz przekonanie, że jest się dysponentem tajnej wiedzy. Stąd też działacze antyukraińscy i prorosyjscy uważają się za tych, którzy posiadają wiedzę o ukrytej dla zwykłych śmiertelników prawdzie. O „Niebiańskiej Jerozolimie" wspominali m.in. Wojciech Sumliński – znany kiedyś jako śledczy tropiący kulisy polityki Platformy Obywatelskiej, a dziś straszący potęgą Żydów i Amerykanów, Leszek Pietrzak – historyk piszący dla „Warszawskiej Gazety", czy Witold Gadowski – jeszcze kilka lat temu publicystyczny symbol chłoszczący postkomunę, a dziś, cóż...

RUCH ANTYWOJENNY

Ruchy pacyfistyczne, rozbrojeniowe i antywojenne były po 1945 r. często finansowane przez KGB. A jak jest dzisiaj? Czy te afiliacje są podobne? Działacze tzw. polskiego ruchu antywojennego bardzo często wypowiadali się życzliwie o Rosji, nawet tej putinowskiej. Lider organizacji, dr Leszek Sykulski, od lat aktywny jako autor książek o geopolityce, przekonuje, że Rosja nie ma żadnego interesu, by zaatakować Polskę, że nie mamy żadnych sprzecznych interesów. To nic, że sam Władimir Putin uważa inaczej, o czym mówił w wykładzie z 21 lutego 2022 r., w którym uzasadniał atak na Ukrainę, ważne, że słuchacze Sykulskiego mają się o tym nie dowiedzieć. Lider antyukraińskiej inicjatywy straszy też Polaków udziałem w wojnie, jeśli nasz kraj nie zaprzestanie wspierać Kijowa. Antywojenność takich postulatów polega na tym, że gdyby konflikt zbrojny przerwać tu i teraz, to Rosja zatrzymałaby kilkanaście procent ukraińskiego terytorium – Putin byłby zwycięzcą rozkręcającym następną inwazję swojego zbrodniczego imperium.

CEL: KONSERWATYŚCI

Ekosystem rosyjskiej dezinformacji stara się dziś stawiać swój gmach niestety na środowiskach prawicowych.

> Działacze antyukraińscy i prorosyjscy uważają się za tych, którzy posiadają wiedzę o ukrytej dla zwykłych śmiertelników prawdzie

Tak jak 100 lat temu Związek Sowiecki nabrał wielu lewicowych intelektualistów na swoje obietnice robotniczego raju, postępu i humanizmu, nakłaniając takich pisarzy jak Bernard Shaw, Arthur Koestler czy Jean-Paul Sartre do przymknięcia oczu na bolszewickie zbrodnie. Dziś co prawda Moskwa nie pozyskała nazwisk tej rangi, ale jednak celuje w konserwatystów.

Wojciech Cejrowski mówi Pawłowi Lisickiemu w internetowym programie, że nie wierzy w okrucieństwo tej wojny, prof. Adam Wielomski zapowiada, że mógłby stanąć na czele rządu kolaborującego z Rosją, Jan Engelgard chce promować koncepcje rosyjskiego filozofa Aleksandra Dugina w Polsce, Łukasz Warzecha ciągle się martwi, że Polska się rozbraja, przekazując broń Ukrainie. A do czegóż nam ta broń jest potrzebna jak nie do oddalania rosyjskiego zagrożenia? A któż teraz naprawdę walczy z tym rosyjskim zagrożeniem? Lepiej, by to Polacy w tych czołgach walczyli z Putinem, czy lepiej, by Ukraińcy realizowali nasze cele osłabienia Rosji 1 tys. km od polskich granic? Żaden z tych argumentów nie przemówi do grona konserwatystów wypowiadających się tak, jakby wynik tej wojny był im obojętny.

SZURSKIE MEDIA

W Polsce o prorosyjskich środowiskach zwykło się mówić „onuce" (od nazwy paska tkaniny zastępującego niegdyś w Rosji skarpety) albo „szury" (od zdrobnienia popularnego w Rosji imienia Aleksander, Sasza, Szura). Nad Wisłą pojawiły się portale i studia telewizji internetowych, które już dziś apelują, by „przestać się przejmować, gdy o nas mówią »ruska onuca«". Kanały na YouTube, takie jak wRealu24.pl czy emisja.TV, mają dziesiątki tysięcy fanów i nieustannie powielają antyukraińskie i prorosyjskie treści. O zbrodniach rosyjskich – ani widu, ani słychu jak u Shawa czy Koestlera, choć prezenterzy tych stacji, tacy jak Marcin Rola czy Piotr Korczarowski, nie są intelektualistami z dorobkiem publicystycznym wspomnianych lewicowców poprzedniego stulecia. Ale dzięki ich kamerom i mikrofonom możemy łatwo dojrzeć postacie, które angażują się konsekwentnie w prorosyjskie narracje: Leszek Sykulski, Łukasz Warzecha, Janusz Korwin-Mikke i Grzegorz Braun wraz z innymi politykami Konfederacji. Ciągłe spiski anglosaskie, żydowskie, dobra rodzina słowiańska z Rosją włącznie i straszenie uchodźcami to już pakiet obowiązkowy tej narracji.

I to nie jest jednorazowa akcja wymierzona po prostu w Ukrainę, to stopniowe tworzenie świata wartości, które pokrywają się z państwową ideologią Władimira Putina. Polska bez Ameryki i Europy, z przegraną Ukrainy i zdobyczami terytorialnymi Rosji, bojąca się Żydów i wyimaginowanej „Niebiańskiej Jerozolimy", niezdolna dysponować swoją bronią dla osłabienia Putina – jaka będzie? I jaka będzie prawica, jeśli skompromituje się powtarzaniem bajek pisanych w Moskwie?

eprasa.pl e67cdd99de

Tusk gra ślōnskŏ gŏdką

Donald Tusk odgrzewa i podgrzewa kwestię uznania dialektu śląskiego za język regionalny i chce, by uzyskał on takie same prawa jak kaszubski. „Dowomy sie robić w ciula durś tym samym ludziom" – komentują śląscy autonomiści. Sprawa nie ogranicza się tylko do Polski. Kilka tygodni temu Ramzan Kadyrow zaproponował wsparcie dla separatyzmu śląskiego. Choć autonomizacją prowincji są zainteresowani nie tylko w Moskwie

MACIEJ WALASZCZYK

Europoseł Łukasz Kohut (Lewica, kiedyś Ruch Palikota) zorganizował w Brukseli premierę monodramu „Mianujom mie Hanka". W jego zamyśle to kolejny krok w budowaniu świadomości o Ślązakach na forum europejskim. Wydarzenie poprzedziła debata, w której Adam Michnik uznał krystalizację polskiej tożsamości narodowej od XIX w. przez II RP aż po PRL jako patologiczną. – Dążyła ona do homogenizacji, stosując metody totalitarne. To totalitarny model polskości czy to w wydaniu komunistycznym, czy rzymskokatolickim, czy endeckim – wyjaśniał naczelny „Wyborczej".

– Domagamy się uznania języka śląskiego za język regionalny! – oświadczył Kohut.

Równolegle Donald Tusk postanowił potraktować Śląsk jako miejsce, które ma wygrać dla opozycji wybory. Elementem tej gry jest właśnie odgrzanie obietnicy ustanowienia dialektu śląskiego językiem regionalnym. Składając – jak ją określił – „Deklarację radzionkowską", zapowiedział, że język śląski będzie etnolektem, językiem regionalnym na poziomie ustawowym. Zgodził się nawet, by decyzję tę – gdy opozycja przejmie władzę – podjąć w ciągu pierwszych 100 dni rządów. „Dokończymy to, co ludzie stąd zaczynali na razie bez powodzenia, czyli uznanie języka śląskiego za język regionalny" – zapowiedział. Tusk zadbał o jej wymiar symboliczny, bo wszystko miało miejsce w Dniu Jedności Kaszubów. Donald Tusk przekazał burmistrzowi Radzionkowa Gabrielowi Todorowi Biblię w języku kaszubskim, a Todor dał Tuskowi Nowy Testament w języku śląskim.

Kilka tygodni wcześniej goszczący w Gliwicach lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz obiecywał, że lekcje języka śląskiego będą finansowane z budżetu państwa. Członkiem Koalicji Polskiej, której trzonem są struktury ludowców, została jakiś czas temu partia Ślonzoki Razem. Wcześniej o uzyskanie statusu regionalnego walczył nieżyjący już poseł Marek Plura z PO, który w niewybredny sposób manifestował radość z wyrzucenia „Pana Tadeusza" z listy lektur szkolnych, proponując zastąpienie go poezjami Josepha von Eichendorffa, romantyka języka niemieckiego. Zapewne Plura dobrze wyrażał pewne intencje kryjące się za lansowaniem tego pomysłu.

eprasa.pl e67cdd99de

Fot. Łukasz Kalinowski/East News

ŚLĄSKOŚĆ NA POLITYCZNEJ SZALI

Projekt ustawy w 2011 r. lansowały Towarzystwo Kultywowania i Promowania Śląskiej Mowy „Pro Loquela Silesiana", Związek Ludności Narodowości Śląskiej (organizacja niewpisana do KRS) i oczywiście Ruch Autonomii Śląska (RAŚ). Inicjatywę wspierała wówczas nie tylko Platforma, lecz także kilku posłów PiS z regionu. Ale to przede wszystkim RAŚ jako pierwszy podnosił kwestię statusu języka regionalnego dla dialektu śląskiego. Nie ma wątpliwości, że gdy dopnie swego, pojawią się kolejne dalekosiężne cele: uznanie Ślązaków za grupę etniczną obok karaimskiej, łemkowskiej, romskiej i tatarskiej (co ma już miejsce), a potem nadania Górnemu Śląskowi jakiejś formy politycznej autonomii.

Co ciekawe, deklaracja Tuska została przyjęta w samym RAŚ raczej chłodno. „Teraz PSL z PO kochają Slōnzokow, czyżby zbliżały się jakieś wybory? [...] Dowomy sie robić w ciula durś tym samym ludziom" – czytamy na facebookowym profilu śląskich autonomistów. Najśmieszniejsze jest jednak to, że swoje obietnice Tusk składał na terenach bardzo tradycyjnych, przywiązanych do religii, przebierając się w kostium sprzed lat, w którym grał rolę konserwatywnego liberała ogłaszającego „Deklarację krakowską" Platformy. Podobnie rzecz ma się z Kohutem, który startując z list skrajnej lewicy, odwołuje się do bardzo tradycyjnej obyczajowości śląskiej.

W ostatnich latach RAŚ już potrafił odgrywać rolę języczka u wagi w budowaniu większości w sejmiku śląskim. Jest znana historia ówczesnego wicewojewody Piotra Spyry, który w 2015 r. został odwołany ze stanowiska przez premier Ewę Kopacz. Choć od lat angażował się w różne konfiguracje polityczne z udziałem PO, to stał na stanowisku, że nie można dawać koncesji wszelkim roszczeniom wysuwanym przez ruch ślązakowski, który wszedł wówczas w koalicję z PO, PSL i Lewicą. Nie mylił się, bo rok później w tekście uchwały z okazji 95. rocznicy III powstania śląskiego sejmik nie potraktował go jako wolnościowego zrywu narodowego, ale jako konflikt w wielkiej śląskiej rodzinie, stawiając na równi powstańców z członkami Selbstschutz Oberschlesien.

– Uważam, że wykorzystywali ową śląskość do swoich celów, w tym przede wszystkim do bieżącego prowadzenia lokalnej polityki w województwie śląskim i w mniejszym stopniu na Opolszczyźnie – wyjaśnia dr Tomasz Strzałkowski, prawnik i przez trzy kadencje radny powiatu opolskiego. Zwraca uwagę, że zdecydowanie należy odróżniać Ślązaków i gwarę śląską rozbrzmiewającą w tym regionie od formalnego uznania za język regionalny. – Z pewnością byłoby to wodą na młyn, pewnego rodzaju kołem ratunkowym dla ostatnio mniej aktywnych działaczy RAŚ – mówi.

GRANICA MIĘDZY DIALEKTEM A ETNOLEKTEM

Przesuwanie granicy między dialektem a językiem regionalnym jest sprawą kulturową i socjologiczną, ale przede wszystkim polityczną. Dr Tomasz Strzałkowski przypomina, że w wielu publikacjach mowa śląska jest kwalifikowana jako gwara lub dialekt, ale nie język, dlatego – jak podkreśla – nadanie takiego statusu jakiejkolwiek gwarze czy dialektowi zależy od decyzji politycznych. Ustawa o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym mówi, że za język regionalny uważa się taki, który nie może być jednym z dialektów języka państwowego czy językiem migrantów. Jeśli jednak zostanie uznany za regionalny, to uzyskuje status języka pomocniczego np. w gminach. Wówczas organy administracji publicznej są zobowiązane uwzględniać go w załatwianiu różnych spraw urzędowych. Zarówno w formie pisemnej, jak i ustnej. Język pomocniczy może być używany jedynie w gminach, w których co najmniej 20 proc. mieszkańców zadeklarowało jego używanie. – Konieczne jest dziś

eprasa.pl e67cdd99de

poznanie wyników ostatniego spisu powszechnego, który odbywał się w 2021 r., a którego wyniki w tej sprawie są nieznane. Uważam więc, że jeszcze chwilę należy powstrzymać się z oceną – wyjaśnia dr Strzałkowski.

Autonomiści zarzucają GUS, że ociąga się z publikacją danych dotyczących województwa śląskiego. Szacują, że identyfikację z narodowością śląską deklaruje nawet 1 mln osób, tzn. według ich szacunków ponad 566 tys. mówi wyłącznie po śląsku, a 485 tys. jest dwujęzycznych. Wyniki mogą zostać opublikowane nawet po wyborach, ale z pewnością sztabowcy Platformy zwęszyli szansę na ugranie kapitału politycznego.

Piotr Spyra uważa, że jest to jednak ryzykowne i niepotrzebne. – Uznanie dialektów górnośląskich za osobny język jest co najmniej dyskusyjne merytorycznie. Pamiętać też trzeba, że różne systemy lingwistyczne tworzone przez intelektualistów na polityczne zapotrzebowanie nie mają nic wspólnego z żywą śląszczyzną – komentuje. I tu trafia w sedno.

„Ślōnskŏ gŏdka" to w rzeczywistości zespół gwar, którymi posługują się rdzenni mieszkańcy regionu. Dopiero w ostatnich latach trwają usilne starania o jej kodyfikację, nadanie jakichś poważniejszych cech. Nawet ich strony internetowe, profile społecznościowe i dyskusje tam prowadzone odbywają się niemal zawsze wokół języka polskiego. Stąd te tłumaczenia Biblii, zmierzające do usankcjonowania śląszczyzny jako języka regionalnego. Dlaczego? Bo liczą, że wtedy Unia Europejska obejmie go ochroną i będzie wspierać rozwój. Może np. dać pieniądze na wydawanie książek. Warto pamiętać, że przy najważniejszych instytucjach unijnych jest afiliowane Europejskie Biuro ds. Języków Mniej Używanych.

Wszystko ma swój początek w 1999 r., gdy w RFN usankcjonowano Regionalsprache Niederdeutsch – czyli język dolnoniemiecki. Kilka krajów związkowych, takich jak Brandenburgia, Meklemburgia-Pomorze Przednie, Saksonia-Anhalt i Szlezwik-Holsztyn, uznały go za chroniony i promowany, choć był uważany za dialekt wymierający. To precedens, z którego skorzystali Kaszubi. W 2005 r. Sejm uznał kaszubski za język regionalny. Teraz na przyznanie dolnoniemieckiemu i kaszubskiemu statusu języka regionalnego powołują się w swoich żądaniach śląscy autonomiści i wspierająca ich Platforma ze swoim liderem. Punktem wyjścia jest Europejska karta języków regionalnych i mniejszości narodowych. Ale już czyniąc analogie historyczne, ślązakowcy odwołują się też do procesów narodowotwórczych z XIX w., gdy w opozycji do polskości kodyfikowano ukraiński i białoruski. Brzmi to jak ostrzeżenie.

> Donald Tusk postanowił potraktować Śląsk jako miejsce, które ma wygrać dla opozycji jesienne wybory. Elementem tej gry jest właśnie odgrzanie obietnicy ustanowienia dialektu śląskiego językiem regionalnym

ŚLĄSKI TO DIALEKT JĘZYKA POLSKIEGO

Kodyfikowanie gwary śląskiej nasiliło się dopiero w ostatnich latach. Zdaniem specjalistów budowa statusu języka regionalnego ma na celu wspieranie tożsamości regionalnej. Ale Kaszubi nie manifestowali swojej wyjątkowości na wrogości czy niechęci do polskości. Poza tym kto był w Wejherowie, Sierakowicach czy Gowidlinie i posłuchał tej mowy, czuje, że jest ona inna. Charakteryzuje ją ruchomy akcent, przegłosy czy też ścieśnianie kontynuantów samogłosek długich. Przez dziesięciolecia język kaszubski uznawano jedynie za dialekt języka polskiego, bo istniała pewna jedność językowa plemion Słowian nadbałtyckich. Stopniowo wyodrębnił się i został skodyfikowany.

Na Śląsku to sprawa świeża. Dopiero od 2009 r. jest promowana tzw. pisownia ślabikorzowa, w której m.in. litera ō jest stosowana na oznaczenie dźwięku pośredniego w swojej barwie między [o] oraz [u]. Od 30 lat ruchy regionalne dzięki europejskim instrumentom prawnym prowadzą coś w rodzaju przemyślanej polityki językowej. Chodzi po prostu o wzmocnienie procesu dojrzewania jakiejś wspólnoty językowej, która po pewnym czasie decyduje się na usamodzielnienie. W przypadku śląszczyzny odbywa się to przez odgórne wspieranie, lansowanie, dofinasowywanie najczęściej jako przeciwwaga dla polskiej tradycji narodowej i historycznej, którą Adam Michnik uznał za patologiczną.

MOSKWA WSPIERA SEPARATYZMY

Autonomizacja śląskiej prowincji kojarzy się najczęściej z próbą landyzacji Polski na wzór niemiecki. Jednak kilka tygodni temu prezydent Czeczenii i jeden z najbardziej oddanych sojuszników Władimira Putina na swoim kanale w serwisie Telegram napisał: „W lipcu odbędzie się doroczny Marsz Autonomii Śląska, który za każdym razem przyciąga coraz większą liczbę uczestników. Dla mnie ten region Polski zasłużył sobie na szczególny status niepodległego kraju i pilnie jest tam potrzebne referendum, podczas którego Rosja może udzielić pomocy organizacyjnej" – napisał Ramzan Kadyrow.

Taka deklaracja była niedźwiedzią przysługą dla autonomistów, ale sam Jerzy Gorzelik, lider RAŚ, przyznał, że w 2014 r. po aneksji Krymu i pierwszych starciach w Donbasie zgłosił się do niego Mateusz Piskorski, wtedy szef prorosyjskiej partii Zmiana, z propozycją wyjazdu do Doniecka na konferencję o samostanowieniu narodów. Co więcej, pod koniec lat 90. przed wspieraniem czeczeńskiej irredenty na Kaukazie przestrzegał Polskę ówczesny premier Rosji Jewgienij Primakow, właśnie jako analogię przywołując Śląsk. W ostatnich latach Moskwa wspierała też kataloński separatyzm. Gdy w 2017 r. Katalonia ogłosiła niepodległość, Rosja oczekiwała m.in. uznania przez zbuntowaną prowincję aneksji Krymu.

Reklama | 49/0223/F

eprasa.pl e67cdd99de

Akademia Korzyści PPK

Oszczędzaj i wygrywaj podwójnie

Pracownicze Plany Kapitałowe

Odpowiadaj na pytania i wygraj nawet

100 000 zł

Wejdź na **akademiappk.pl**

eprasa.pl e67cdd99de

Dworczyk był celem tej operacji

To jest próba zniszczenia polityka, który od lat pomagał walczącym o wolność na Wschodzie, już dawno miał z tego powodu zakaz wjazdu do Rosji i na Białoruś. Nie ma tu żadnego przypadku

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z ministrem Januszem Cieszyńskim, pełnomocnikiem rządu ds. cyberbezpieczeństwa

Czy z miejsca, które zajmuje pan w administracji publicznej, widać wojnę?

Janusz Cieszyński: Oczywiście. Moment napaści rosyjskiej na Ukrainę oznaczał dla nas gigantyczne wyzwania. Już trzy tygodnie później nadaliśmy pierwszym uchodźcom numer PESEL, co z zewnątrz wydaje się proste, ale było potężną operacją wymagającą chirurgicznej precyzji. Uruchomiliśmy też możliwość uzyskania elektronicznego dokumentu tożsamości przez obywateli Ukrainy, którzy przyjechali do Polski. Następnie powstał system rozliczeń z Polakami goszczącymi uchodźców. Do tego stały kontakt ze stroną ukraińską, konkretna pomoc, w tym zestawy Starlink, pozwalające na utrzymanie łączności internetowej w miejscach, gdzie bombardowania rosyjskie zniszczyły infrastrukturę.

Te liczby są jawne?

Tak. Przekazaliśmy 20 tys. zestawów, więcej niż jakikolwiek inny kraj czy firma. Te zestawy pozwoliły Ukraińcom utrzymać łączność i dostęp do informacji. Dzięki nim mogli tworzyć na terenach dotkniętych zniszczeniami i wyłączeniami prądu „punkty niezłomności", gdzie ludzie mogli się ogrzać, naładować urządzenia elektroniczne, a przede wszystkim skontaktować z bliskimi. Znacząco zredukowało to ryzyko wystąpienia paniki, podbudowywało morale. Gen. Walerij Załużny, naczelny dowódca Sił Zbrojnych Ukrainy, ocenił, że dwa elementy techniczne zdecydowały najbardziej o tym, że Ukraina była w stanie się obronić: systemy artylerii rakietowej wysokiej mobilności HIMARS i właśnie Starlinki.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e67cdd99de

Rosja atakuje także cybernetycznie?

Tak, ale z mniejszą skutecznością, niż się spodziewano. Wielu ekspertów oceniało wcześniej, iż współczesna wojna będzie toczyła się głównie na tym polu, że za pomocą armii hakerów będą ściągane elementy krytycznej infrastruktury. Ta wizja się nie ziściła.

Dlaczego?

Możemy wskazać dwa powody. Po pierwsze, Ukraina przygotowała się dobrze do ataku na tym polu. Po drugie zaś, rosyjscy specjaliści w tych obszarach nie mogą atakować, bo muszą się bronić przed ukraińskimi atakami. Poza tym fakt, że o takich atakach nie słychać, nie znaczy, iż się nie zdarzyły. Czasami ich skutki są widoczne po długim czasie. W tym tygodniu Microsoft opublikował informację o dziurze bezpieczeństwa w programie pocztowym Outlook. Mogły z niego korzystać osoby zaangażowane w obronę Ukrainy, mogli z tej dziury korzystać agresorzy.

Skoro wspomniał pan o skrzynkach pocztowych. Jak pan dziś patrzy na sprawę tzw. mejli Dworczyka? Ostatnio rozmawialiśmy z kilkoma ekspertami ds. bezpieczeństwa, także pracującymi dla międzynarodowych think tanków. Zgodnie twierdzili, że patrząc całościowo na przebieg zdarzeń dzisiaj, nie ma wątpliwości, iż cała operacja jest zemstą służb rosyjskich na ministrze szczególnie zaangażowanym w działania na Wschodzie. Od lat pracował na tym kierunku, był szalenie skuteczny po 24 lutego 2022 r., co budziło wściekłość putinowskich służb. Jaka jest pana opinia?

Dokładnie taka sama. Proszę zwrócić uwagę na ważny element: ukazują się na stronach kolportujących te treści mejle przypisywane nie tylko ministrowi Dworczykowi, czasami on w nich w ogóle nie występuje. Ale autorzy tej operacji konsekwentnie pilnują, by zawsze funkcjonowało to pod hasłem „mejle Dworczyka". Bo to on jest celem tej operacji. To jest próba zniszczenia polityka, który od lat pomagał walczącym o wolność na Wschodzie, już dawno miał z tego powodu zakaz wjazdu do Rosji i na Białoruś. Podobny mechanizm występuje przy atakach na prezesa PKN Orlen Daniela Obajtka. Zmiana, którą przeprowadził w obszarze uniezależnienia Polski od rosyjskich źródeł energii, jest fundamentalna, co oczywiście powoduje reakcję rosyjskich służb.

Czyli Michał Dworczyk nie był przypadkowym celem ataku?

Nie mamy żadnych wątpliwości, że nie ma tu żadnego przypadku, przypadkowego przechwycenia danych tej akurat osoby. Był celem zaplanowanej od początki operacji rosyjskich i białoruskich służb specjalnych. Ten pogląd prezentują także inne europejskie służby zajmujące się cyberbezpieczeństwem. Wszystkie kraje Unii Europejskiej we wspólnym oświadczeniu w ramach tzw. Cyber Diplomacy Toolbox potwierdziły, że za atakami cybernetycznymi, także tymi na Polskę, stoją właśnie te służby.

Są konkretne ślady pokazujące na ich odpowiedzialność za atak na ministra Dworczyka?

Tu wchodzimy już w dane z materiałów naszych służb specjalnych, które są tajne. O tym mówić nie mogę, o wnioskach, które z nich wynikają – tak. I podkreślam: nie ma wątpliwości, że w ówczesnego szefa kancelarii premiera, jedną z osób kluczowych dla sprawnej organizacji polskiej pomocy dla Ukrainy, uderzyły wschodnie służby specjalne.

No dobrze, ale czy te publikowane przez niektóre media screeny mejli są prawdziwe, czy fałszywe?

Mamy do czynienia z typową manipulacją rosyjskich specsłużb, które kolportują miks informacji prawdziwych i fałszywych. W ten sposób, nadając przekazowi cechy prawdopodobieństwa, są w stanie dopisać dowolną treść, próbować skompromitować każdą osobę. Mogą manipulować zawartym tam przekazem, bo czasem wystarczy wyjąć jedno słowo i sens jest całkowicie odmienny. Technicznie to bardzo proste. Mogą też podkładać treści całkowicie fałszywe. Klasyka dezinformacji.

Jakie wnioski wyciągnęło państwo polskie z tej sprawy?

Poważne. Jeszcze wyższy poziom zabezpieczeń, jeszcze więcej szkoleń, jeszcze lepszy sprzęt. Choć pamiętajmy, że to jest wojna, która nigdy się nie skończy.

Ta wojna pokazała też znaczenie cyfryzacji usług publicznych. Pamiętam spotkanie u pana w ministerstwie z wicepremierem i ministrem transformacji cyfrowej Ukrainy, który postawił tezę, że był to jeden z kluczowych czynników utrzymania działania państwa nawet w najgorszych momentach walk, w najbardziej krytycznych sytuacjach. Czy korzystamy z tych doświadczeń?

Polska od 2015 r., kiedy władzę przejął PiS, bardzo mocno postawiła na cyfryzację. I chyba wszyscy się zgodzą, że postęp jest olbrzymi. W obszarze służby zdrowia to e-skierowania, e-recepty, e-zwolnienia. W finansach są e-PIT-y, pozwalające rozliczyć się z urzędem skarbowym trzema kliknięciami. Do tego szybko rozwijana aplikacja mObywatel. W sferze społecznej wszystkie wnioski mogą być składane przez internet z użyciem logowania przez bank. W pierwszym roku funkcjonowania programu 500+ tą drogą spłynęła połowa wniosków, dziś wszystkie. Miliony operacji przenieśliśmy z papieru do systemów informatycznych. Dotyczy to nawet postępowań sądowych.

To wiemy z licznych procesów wytaczanych przez potężne koncerny mediowe, które mają nas stłamsić.

Ataków z tej strony współczuję, ale widać, że cyfryzacja działa i ułatwia wszystkim życie.

To będzie temat kampanii? Opozycja ma nadzieję, że to słaby punkt Zjednoczonej Prawicy, próbuje tu atakować.

Większość tekstów, które słyszę na ten temat od polityków opozycji, dowodzi całkowitej nieznajomości tematu. Jakby wyszli z gabinetów siedem lat temu i zatrzymali się na tamtym etapie. Jest też możliwość, że z lenistwa zlecili napisanie swoich wystąpień ChatGPT, ale tym razem sztuczna inteligencja nie zadziałała. Stało się w tym obszarze i dzieje bardzo dużo dobrego, także w tle tego, co widzi obywatel. Zatrzymaliśmy np. exodus wykwalifikowanych kadr. Ludzie znający się na cyberbezpieczeństwie, z certyfikatami dostępu do informacji niejawnych,

eprasa.pl e67cdd99de

z doświadczeniem w administracji, wojsku lub służbach są bardzo łakomym kąskiem dla biznesu. Dzięki wprowadzeniu specjalnego systemu wynagrodzeń udało się uczynić ich pracę dla Polski na tyle atrakcyjną, że niemal nie składają wniosków o odejście. Powstały też Wojska Obrony Cyberprzestrzeni, nowy rodzaj sił zbrojnych.

One nie podkradną kadr?

Pomyśleliśmy o tym. Warunki wynagrodzenia są takie same dla wszystkich instytucji zajmujących się cyberbezpieczeństwem w państwie. Nie ma podbierania sobie ludzi. Musimy mieć świadomość, że wykształcenie specjalisty w tym obszarze, utrzymywanie jego poziomu wiedzy na najwyższym poziomie, ciągłe dokształcanie wymagają nakładów liczonych w setkach tysięcy złotych. Dziś możemy mówić o naprawdę wysokim poziomie naszych działań w cyberprzestrzeni. Interesują się nimi także partnerzy NATO i to chyba najlepsza recenzja skuteczności.

Pana działania dotyczą też prywatnych koncernów?

Tak, wszyscy ci, którzy zarabiają na dostarczaniu cyfrowych usług, muszą zapewnić klientom wysoki poziom bezpieczeństwa. Mówimy o telekomach, bankach, dostawcach poczty elektronicznej czy firmach oferujących taksówki na aplikację. Obywatel nie może słyszeć, że musi radzić sobie sam w cyberprzestrzeni. W tych działaniach Polska jest zresztą pionierem w Europie.

Jak widzi pan zabezpieczenie cyfrowe wyborów? Są ważne zmiany, jak nagrywanie liczenia głosów, więcej komisji.

Najważniejszym zadaniem jest zbudowanie Centralnego Rejestru Wyborców. Dane o każdym uprawnionym do głosowania będą zgromadzone w jednym miejscu. Dziś są one rozproszone w ponad 2,5 tys. rejestrów gminnych.

Co wyszło przy okazji próby organizacji wyborów korespondencyjnych.

Tak, ale tu chodzi przede wszystkim o to, by podnieść poziom bezpieczeństwa każdych kolejnych wyborów. Z oczywistych względów poziom zabezpieczenia tych wrażliwych danych na poziomie gminy będzie zawsze słabszy niż w nowoczesnym, doskonale zabezpieczonym rejestrze centralnym. Przypadki ataków hakerskich nakierowanych na spisy wyborców już widzieliśmy i gdyby taki atak się udał w dzień wyborów, to one w takiej gminie po prostu by się nie odbyły. Liczy się też wygoda użytkowników. Do tej pory mimo dużej mobilności Polaków procedura dopisania się do rejestru wyborców była zawodna, szczególnie w wielkich miastach. Wielu wyborców dowiadywało się w ostatniej chwili, że jednak nie zagłosują. Ponadto dzięki zmianom każdy mąż zaufania będzie mógł legalnie wykonać nagrania przebiegu głosowania, liczenia głosów i przekazać je do naszego systemu, co pozwoli stwierdzić, czy nie doszło do naruszeń.

> Proszę zwrócić uwagę na ważny element: ukazują się na stronach kolportujących te treści mejle przypisywane nie tylko ministrowi Dworczykowi, czasami on w nich w ogóle nie występuje. Ale autorzy tej operacji pilnują, by zawsze funkcjonowało to pod hasłem „mejle Dworczyka". Bo to on jest celem tej operacji

Czyli nie ma w tych nowych przepisach wyborczych niczego nie do udźwignięcia przez administrację państwową?

Tak oceniam. Centralny Rejestr Wyborców budujemy własnymi siłami i będzie to aplikacja oparta na dobrze działających rejestrach centralnych. Aplikacja do kontroli wyborów powstanie we współpracy z doświadczonymi, sprawdzonymi partnerami prywatnymi. To wszystko uczyni wybory bardziej transparentnymi, a wolność i demokracja będą jeszcze lepiej chronione.

W pana ocenie wolność w internecie jest dziś w Polsce zagrożona?

Przez organy państwa – zdecydowanie nie. Odwrotnie – my tę wolność z całych sił chronimy. Oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego, że są potężne międzynarodowe korporacje, które czasami próbują korzystać ze swojej siły, monopolistycznej pozycji wbrew zasadom prawa czy dobrym obyczajom. Takim przykładem jest blokada konta Konfederacji na Facebooku. Uważam to za absolutny skandal.

Wiemy, że interweniował pan w tej sprawie. Z jakim efektem?

Spór w tej sprawie trwa. Poprosiliśmy firmę Meta, właściciela Facebooka, o wyjaśnienia. Okazało się, że tam funkcjonuje *de facto* sąd kapturowy. Świadomie używam tego określenia, bo najpierw uznano, iż kilka postów Konfederacji złamało zapisy regulaminu i na tej podstawie podjęto decyzję o skasowaniu konta. W tym momencie w ocenie Mety przestała mieć ona prawo do zamieszczonych na Facebooku własnych treści, więc firma nie może nam pokazać postów, które miały złamać regulamin. Zatem wiemy, że są winni, ale nie sposób się odwołać, bo dowody przepadły.

Istny paragraf 22!

Tak, to groteska. I byłoby może śmiesznie, gdyby to nie zagrażało wartościom demokratycznym, wolności słowa. To są bardzo poważne sprawy.

I też sposób możliwego wpływania na przebieg kampanii wyborczej. Pamiętamy profil „Sok z buraka", nie wiadomo przez kogo finansowaną maszynę hejtu, która hulała po Facebooku w czasie wyborów

eprasa.pl e67cdd99de

samorządowych. „Sieci" dużo o tym pisały. Wiemy z ujawnionych przez Elona Muska materiałów Twittera, że zasięgi i widzialność kont konserwatywnych w USA świadomie przykręcano. Nie mamy wątpliwości, że to samo dzieje się w Polsce. Czy możemy z tym coś zrobić?

Tak. Nie możemy tego zaakceptować. Krótkoterminowo, działając w ramach UE, mamy prawo oczekiwać od tych koncernów większej transparentności, pokazania, jakie mechanizmy decydują o zasięgach, doborze treści, ograniczeniach i blokadach. To nie jest proste, bo mam świadomość, że jednocześnie te algorytmy są cenną tajemnicą tych przedsiębiorstw. Długoterminowo najlepszym rozwiązaniem wydaje się budowa własnych platform, co oddaliłoby ryzyko powstania monopolu. By to jednak osiągnąć, Europa musiałaby wrócić na ścieżkę wysokiej innowacyjności.

Zeszła z niej?

Na 15 najbardziej wartościowych firm technologicznych świata tylko dwie są europejskie, ale żadne z nich nie działa w obszarze dostarczania treści dla obywateli. Czołowa piątka, w tym Google, Amazon, Meta, to korporacje amerykańskie. Ale nic nie jest tu dane na zawsze. Przykładem jest TikTok, który wywodzi się z Chin. Dzisiaj najszybciej z wszystkich zdobywa młodych użytkowników, a jego rozwój niepokoi rząd Stanów Zjednoczonych.

Choć ciekawe są doniesienia, że TikTok promuje w Chinach postawy społecznie pozytywne, osiągnięcia w sporcie, nauce, rodzinę, a na Zachodzie zachowania raczej destrukcyjne.

Wcale by mnie to nie zdziwiło. Wszystkie firmy technologiczne funkcjonujące w Chinach dostosowują się do reżimu prawnego tam funkcjonującego i akceptują wpływ państwa na wychowanie obywateli, umacnianie władzy. W warunkach demokratycznych – i dobrze – tego rodzaju ograniczenia, próby kontroli internetu nie mogą się skończyć dobrze.

Czy my tym wielkim koncernom cokolwiek możemy zrobić? Czy cokolwiek ważymy?

Na pewno wskutek dynamicznego rozwoju gospodarczego więcej niż kiedyś. Ale wciąż najlepszą drogą są działania przez UE, wspólnie z innymi państwami i nieustępliwy dialog. To tak jak w przypadku rynków finansowych – możemy się na to zżymać, ale jeśli nie zdobędziemy ich zaufania, koszty dla Polski będą gigantyczne.

> Organy państwa z całych sił chronią wolność w internecie. Oczywiście widzimy, że są międzynarodowe korporacje, które czasami próbują korzystać ze swojej siły, monopolistycznej pozycji. Takim przykładem jest blokada konta Konfederacji na Facebooku. Uważam to za skandal

Projekt ustawy ministra Sebastiana Kalety, stworzenie ram prawnych, które wymuszą od globalnych graczy respektowanie prawa krajowego, jest dobrym pomysłem?

Wedle słów samego ministra ta ustawa ma wdrożyć w Polsce właśnie regulacje unijne.

Problem jednak jest. Poziom depresji wśród młodych ludzi wywołany właśnie wpływem mediów społecznościowych, przyjmowanie destrukcyjnych wzorców społecznych trudno uznać za nieważne.

Zgoda. I w całej Europie narasta świadomość, że wielkie platformy mają też zobowiązania wobec społeczeństwa. Słyszę to od wielu swoich kolegów z UE. Ale nie oglądamy się na innych i tam, gdzie to możliwe, działamy – przygotowaliśmy właśnie ustawę, która ograniczy dostęp nieletnich do treści pornograficznych. Chcemy to zrobić w sposób nieograniczający żadnych praw obywatelskich. W skrócie: dostawcy usług technologicznych bezpłatnie dostarczą rodzicom usługę pozwalającą im zablokować dzieciom dostęp do takich treści.

Co pan może nam powiedzieć o blokadzie kilku stron internetowych po wybuchu wojny? Nie niepokoi to pana?

Mogę powiedzieć tak: jedynym organem uprawnionym do takich działań jest szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jest to zatem decyzja apolityczna, oparta na analizie materiałów będących w posiadaniu służb.

Czy nie powinno tu być jednak kontroli sądowej?

Każdy w służbach ma świadomość odpowiedzialności, która wiąże się z tak trudną decyzją. Ale to jest narzędzie, którym państwo polskie musi dysponować, by chronić obywateli, zwłaszcza w sytuacji gdy ze Wschodu jest prowadzona przeciw nam wojna hybrydowa.

Przeraża pana sztuczna inteligencja? Dużo się ostatnio o tym mówi.

To kolejny etap postępu technologicznego, który będzie służył człowiekowi. Nie ma się czego bać, trzeba w to wchodzić, szukać tam szansy rozwojowej. W światowym teście kompetencji matematycznych dla młodych ludzi lepiej od Polaków w Europie wypadają tylko Estończycy. Dlatego rozwój biznesów opartych na naukach ścisłych to dla nas wielka szansa.

Na koniec zapytamy o pana ocenę sytuacji politycznej. Kto wygra wybory?

PiS. Na naszą korzyść świadczą twarde dane. Podam przykład – pochodzę z Wrocławia i w tym mieście od 2015 r. o 44 proc. spadła liczba osób korzystających ze świadczeń socjalnych, a bezrobocie spadło o połowę – do 1,6 proc. Podobnie na całym Dolnym Śląsku. Ktoś powie, że to tylko liczby, ale one przekładają się na realną poprawę sytuacji życiowej Polaków.

eprasa.pl e67cdd99de

OKO.press przegrywa w sądzie

To miał być kolejny „strzał" skrajnie lewicowego i antyrządowego portalu OKO.press. W niemal każdym zdaniu zamieszczonego na nim artykułu dało się wyczuć sensację. Niestety, efekt sądowego sporu okazał się dla tego medium wyjątkowo dotkliwy

Mowa o wyroku Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Nakazał on portalowi sprostować nieprawdziwe informacje, z których wynikało, że to Michał Woś, wiceminister sprawiedliwości, stał za zakupem systemu Pegasus.

„Ostatnia kwestia z wywiadu Kaczyńskiego dotyczy odkrycia »Gazety Wyborczej«, która ujawniła, że system Pegasus został zakupiony w 2017 r. z pieniędzy Funduszu Sprawiedliwości, który w założeniu ma pomagać ofiarom przestępstw. I że personalnie zakup prowadził odpowiedzialny wówczas za fundusz Michał Woś. Publikacja, której prawdziwość potwierdził dziś Kaczyński, ukazała się 3 stycznia 2022 r. I została skwitowana przez polityków obozu władzy jako fake news, kłamstwo, dezinformacja i kompromitacja mediów" – czytamy w materiale, który 7 stycznia 2020 r. pojawił się na stronie portalu OKO.press.

Szkopuł w tym, że Michał Woś nie stał za zakupem tego systemu. Nie miał z tym nic wspólnego. Dlatego minister wezwał redakcję, by ta sprostowała oczywiście nieprawdziwą informację. OKO.press szło jednak w zaparte i nieprawdziwej informacji nie sprostowało. Sprawa trafiła więc do sądu. 19 października 2022 r. Sąd Okręgowy w Warszawie oddalił pozew, ale minister Woś i jego pełnomocnik adwokat Bartosz Lewandowski nie dali za wygraną.

17 marca zapadł prawomocny wyrok w sprawie wiązania Michała Wosia z zakupem systemu. Z naszych informacji wynika że Sąd Apelacyjny w Warszawie nie zostawił suchej nitki na postanowieniu sądu pierwszej instancji. Sędzia Roman Dziedziczek, który nakazał OKO.press opublikować sprostowanie dotyczące wiceministra sprawiedliwości, miał nawet dać do zrozumienia, że sąd niższej instancji nie potrafi czytać artykułów prasowych ze zrozumieniem, a od sądu okręgowego (orzekał w pierwszej instancji) trzeba wymagać więcej.

Portal OKO.press musiał więc opublikować sprostowanie. „Nieprawdziwe jest twierdzenie zawarte w artykule Michała Danielewskiego »Pegasus, czyli jak prezes Kaczyński zrobił idiotów z premiera, dwóch ministrów i rzecznika PiS« z dnia 7 stycznia 2022 r. opublikowanego w OKO.press, jakobym prowadził zakup systemu operacyjnego Pegasus. Wybór i zakup systemu techniki specjalnej leżą w gestii podmiotu realizującego dotację, która została udzielona na zadania służące wykrywaniu i zwalczaniu przestępstw, nie na zakup konkretnego systemu" – czytamy w sprostowaniu, które zamieścił portal OKO.press.

Spytaliśmy o sprawę samego zainteresowanego. Michał Woś nie przebiera w słowach. – Ta skrajnie lewicowa redakcja pisała bzdury o rzekomo bezprawnych dotacjach dla CBA, podobnie zresztą jak inne media powielające kłamstwa opozycji. Fundusz Sprawiedliwości może finansować zakup sprzętu służącego zwalczaniu przestępczości.

Michał Woś

Prawda zawsze się obroni – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci". – Część mediów odgrywa rolę największej partii opozycyjnej, więc za wszelką cenę szukają jakiejś wyimaginowanej sensacji tam, gdzie jej nie ma. Sąd Apelacyjny potwierdził, że OKO.press w mojej sprawie zostało przyłapane na kłamstwie i manipulacji. Mam nadzieje, że teraz media i opozycja przestaną powielać fake newsy. Działania ministerstwa były w pełni legalne – podkreślił wiceminister sprawiedliwości.

W sprawie nieprawdziwych informacji, które o systemie Pegasus kolportowały niektóre media, toczą się też inne sprawy sądowe.

Wojciech Biedroń

Reklama | 59/1122/F
Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e67cdd99de

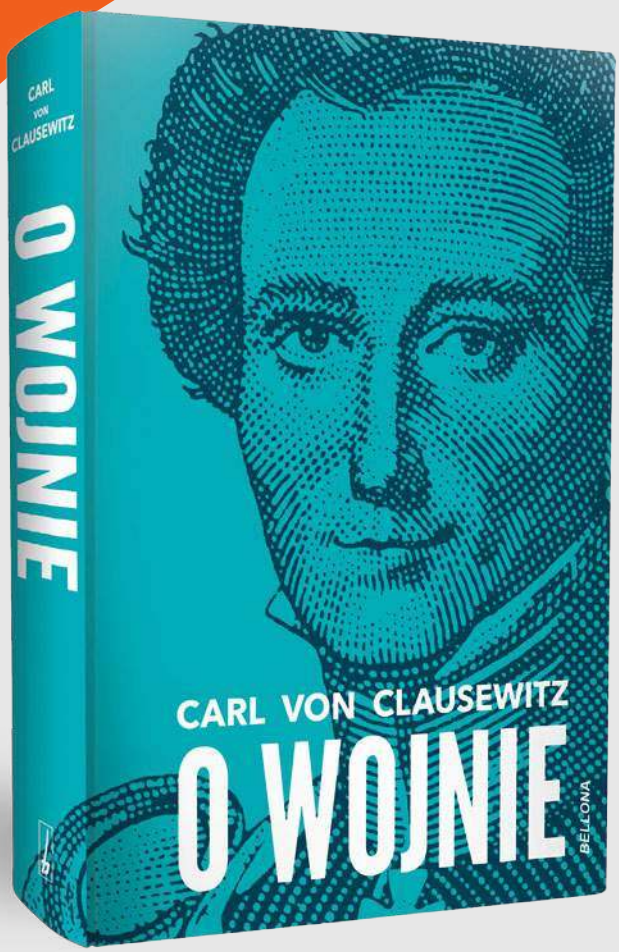

seria

klasycy myśli wojskowej

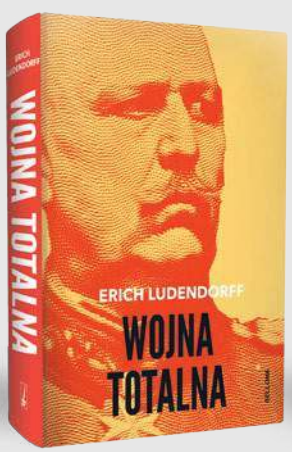

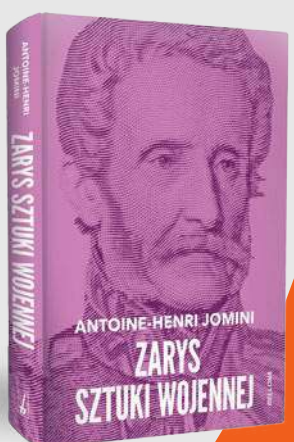

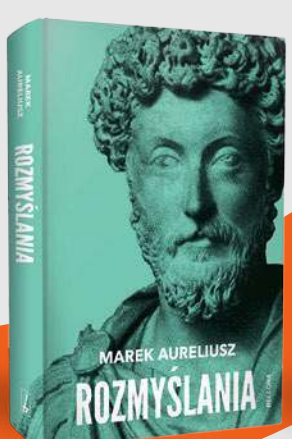

Szukaj w księgarniach Świat Książki oraz na ksiazki.pl

BELLONA KSIĘGARNIE Świat Książki swiatksiazki.pl

eprasa.pl e67cdd99de

Przystanek po drodze do piekła

Choć zapewne Putin nie stanie przed haskim trybunałem, to jednak nakaz jego aresztowania ma realne polityczne znaczenie

JAN ROKITA

Serhij Kysłyca – ambasador Ukrainy przy ONZ – zasłynął swego czasu tym, iż podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa przekonywał, że sprawcy zbrodni wojennych na Ukrainie nie dostaną szansy na pokutę w czyśćcu, ale po śmierci pójdą prosto do piekła. Z perspektywy chrześcijańskiej teologii jest to teza oczywiście bezzasadna. Ale nie w tym rzecz. Po tym jak 17 marca haski Międzynarodowy Trybunał Karny (ICC) obwieścił o wydaniu nakazu aresztowania prezydenta Rosji, triumfujący Kysłyca uzupełnił tamten swój wywód sarkastycznym tweetem. Napisał, że ci spośród sprawców rosyjskich zbrodni na Ukrainie, „którzy przeżyją militarną klęskę Rosji, po drodze do piekła będą się jeszcze musieli zatrzymać na przystanku Haga". Jednak Kysłyca i w tej sprawie może nie mieć racji.

SYGNATARIUSZE STATUTU RZYMSKIEGO

Zbyt wiele argumentów prawnej i politycznej natury przemawia dziś przeciw temu, żeby nie tylko sam Putin, lecz także bezpośredni sprawcy zbrodni wojennych na Ukrainie mogli stanąć przed haskim trybunałem. W każdym razie przed takim trybunałem, jaki istnieje obecnie na mocy uznanego przez 124 państwa statutu rzymskiego z 1998 r.

Co innego bowiem wydać międzynarodowy nakaz aresztowania, a co innego wytoczyć realny proces karny, czyli wnieść akt oskarżenia, a potem wydać wyrok. ICC może ścigać na świecie każdego, ale sądzić i skazać może wyłącznie obywatela kraju, który poddał się haskiej jurysdykcji. Nie zrobiło tego i – co więcej – nie zamierza zrobić żadne z trzech supermocarstw. Chiny odrzucają ideę trybunału karnego od początku i konsekwentnie. A USA i Rosja wprawdzie formalnie sygnowały statut rzymski w 2000 r., ale nigdy nie poddały go procesowi ratyfikacji, bez którego podpisy Clintona w imieniu Stanów Zjednoczonych i Putina w imieniu Rosji nie mają prawnego znaczenia.

Co więcej, po okupacji Krymu i początkach wojny w Donbasie Putin w ogóle anulował swój podpis. A po rozpoczęciu inwazji na Afganistan amerykański Kongres uchwalił specjalną ustawę o ochronie obywateli USA, pozwalającą prezydentowi użyć sił zbrojnych do uwolnienia każdego Amerykanina, który zostałby aresztowany z nakazu ICC. Nikt na świecie, nawet będąc autentycznym amerykanożercą, nie zaryzykuje teraz zbrojnej akcji USA po to tylko, by aresztować jakiegoś hipotetycznego zbrodniarza-Amerykanina.

Na początku owa ustawa szła nawet tak daleko, że zakazywała udzielania amerykańskiej pomocy wojskowej krajom uznającym jurysdykcję ICC (z wyjątkiem państw NATO). Jednak sprzeciw Pentagonu, który wskazywał na drastyczne ograniczenie swobody prowadzenia polityki zagranicznej, doprowadził do kilku nowelizacji, eliminujących w praktyce tę skrajną restrykcję. Nigdy jednak w USA nie kwestionowano prawa prezydenta do użycia siły przeciw haskiemu sądowi, stąd popularnie owo prawo z 2002 r. bywa nazywane „ustawą o ataku na Hagę". Trump obłożył sankcjami haskich prawników, którzy próbowali mimo wszystko sprokurować oskarżenie przeciw żołnierzom US Army walczącym w Afganistanie. W ramach „detrumpizacji" Biden zniósł te sankcje. W Rosji tego rodzaju antyhaskich ustaw dotąd nie było, ale po nakazie aresztowania Putina łatwo sobie wyobrazić, że sposób traktowania haskiego sądu przez amerykański Kongres może rychło być naśladowany przez rosyjską Dumę.

> Nie sposób wyobrazić sobie teraz, by jakikolwiek zachodni przywódca, od Bidena po Scholza, zaryzykował układy z kimś, kto ucieka przed międzynarodowym nakazem aresztowania za popełnione zbrodnie. Perspektywa pokoju na Wschodzie więc się oddala

Co prawda ostatnimi czasy są podejmowane próby takiej interpretacji statutu rzymskiego, która umożliwiałaby sądzenie obywateli krajów nieuznających jurysdykcji ICC. Jako precedens traktowane jest haskie orzeczenie dotyczące Birmańczyków deportowanych do Bangladeszu, w którym sędziowie nadali sobie prawo sądzenia obywateli Birmy (nieuznającej ICC), a to ze względu na fakt rozciągnięcia prześladowań przeciwników birmańskiej junty na teren Bangladeszu (uznającego ICC). Precedens ów próbują teraz wykorzystać prawnicy broniący Ujgurów, nie tylko eksterminowanych przez komunistów na terenie Chin, ale prześladowanych także przez Chińczyków w sąsiednim Tadżykistanie (uznającym ICC). Być może za niedługo ów precedens zostanie podniesiony przez Kijów, skoro co prawda sprawcami obecnych zbrodni wojennych są Rosjanie, ale zbrodnie te mają miejsce na terytorium Ukrainy. Ta zaś również nie ratyfikowała statutu rzymskiego, ale przynajmniej wyraziła prowizoryczną zgodę na objęcie jej terytorium jurysdykcją haskiego sądu.

SPRAWDZIAN JUŻ W SIERPNIU

Wspominam o tych zawiłościach prawnych po to tylko, by pokazać, iż stworzenie legalnej podstawy do sądzenia w Hadze prezydenta Rosji jest czymś całkowicie karkołomnym. Dla realnej polityki ma to takie znaczenie, że po pierwsze – gdyby ktoś na serio chciał taki proces karny sprokurować, to postawiłby zapewne Azję, Afrykę i Amerykę Łacińską w ostrej opozycji wobec Hagi, a tym samym całego Zachodu, wywołując trudne do wyobrażenia perturbacje polityczne na skalę światową. A po drugie – niemal nie sposób wyobrazić sobie na serio sytuacji, w której prezydent Rosji zostałby w jakimś państwie aresztowany. Ciekawy pod tym względem sprawdzian będzie mieć miejsce już w sierpniu br. w Południowej Afryce, gdzie Putin ma się udać na szczyt państw grupy BRICS. Swego czasu rząd RPA odmówił zatrzymania i wydania do Hagi przywódcy Sudanu Omara al-Baszira, oskarżonego o ludobójstwo w Darfurze. Teraz władze RPA mówią, że „są świadome swoich zobowiązań wynikających z ratyfikacji statutu rzymskiego".

Można być pewnym, że Putin nie zostanie aresztowany w Durbanie. Ale symboliczne znaczenie będzie mieć to, czy na szczyt BRICS się jednak wybierze, okazując lekceważenie haskim sędziom, czy też oportunistycznie zostanie w Moskwie, nie chcąc robić kłopotów południowoafrykańskim gospodarzom spotkania.

Już tylko ten południowoafrykański przypadek pokazuje, że choć Putin zapewne nie będzie sądzony w Hadze, to nakaz jego aresztowania ma realne polityczne znaczenie. Ukraińcy zyskują pierwszy poważny dowód na to, że ich żądanie ukarania sprawców inwazji i zbrodni wojennych znajduje jakąś

Fot. Sputnik/Alexei Nikolsky/Kremlin via REUTERS

eprasa.pl e67cdd99de

międzynarodową akceptację. To z jednej strony zachęta dla słabnącej armii do wytrwałości w oporze i wiary w zwycięstwo, skoro główny wróg ma być teraz traktowany w świecie jako zbrodniarz ścigany przez sąd. Z drugiej zaś – spory sukces Zełenskiego w ważnej w tej wojnie grze o międzynarodowy prestiż i uznanie.

Putin wywołał przecież całą tę wojnę, argumentując, iż ani naród rosyjski, ani on sam nie był już w stanie znieść lekceważenia przez Zachód interesów Rosji i poniewierania jej wielkością. Teraz musi Rosjanom wyjaśnić, jak to w ogóle możliwe, że niemiecki minister sprawiedliwości bez wahania zapowiada w mediach, iż niemiecka policja aresztuje prezydenta Rosji, jeśli tylko pojawiłby się on w Niemczech. Rzecz jasna nie chodzi o to, że Putin naprawdę zostanie aresztowany w Berlinie. Rzecz raczej w symbolicznym sponiewieraniu Rosji na skalę dotąd niewyobrażalną także dla przeciętnego Rosjanina. I to na dodatek gdzie? W Berlinie, który miał być ostoją poważnego i życzliwego traktowania Rosji w Europie.

POLITYCZNE SKUTKI NAKAZU ARESZTOWANIA

Ale haski nakaz aresztowania to nie tylko ważny punkt w ukraińsko-rosyjskiej wojnie o prestiż i uznanie. Trudno co prawda być pewnym, na ile sędziom haskim starcza politycznej wyobraźni, ale chyba musieli oni być świadomi co najmniej dwóch oczywistych politycznych skutków swojej decyzji. Najpierw tego, że międzynarodowy nakaz aresztowania przywódcy państwa jest aktem presji na dokonanie zmiany władzy. Od wybuchu wojny jest to najsilniejsza jak dotąd zachęta dla oligarchicznego dworu Putina, dowódców rosyjskiej armii i służb specjalnych, by spróbować przeprowadzić kremlowski zamach stanu. W dzisiejszych czasach ożywionej turystyki politycznej trudno na dłuższą metę utrzymać taki stan rzeczy, w którym ulubionym zajęciem mediów na całym świecie staje się przepytywanie przywódców państw o to, czy gdyby hipotetycznie w ich kraju pojawił się prezydent Rosji, to zostałby aresztowany. Serbski prezydent Vučić uznał właśnie takie dziennikarskie pytanie za absurd i na nie nie odpowiedział. Ale w Berlinie reakcja była odmienna, a w Pretorii zapanowało spore zakłopotanie. A to dopiero początek takiej politycznej gry.

Skutek drugi – to jeszcze większe oddalenie perspektywy pokoju na wschodzie Europy. Wspomniany Vučić precyzyjnie zdefiniował naturę tego problemu. „Moje pytanie brzmi – mówi prezydent Serbii – skoro teraz postanowiliście go ścigać za najcięższe zbrodnie wojenne, to z kim zamierzacie rozmawiać o pokoju?". Faktem jest, że wojenna determinacja, porównywalnie silna po stronie Kijowa i Moskwy, i tak czyniła pokój marzeniem ściętej głowy. Tym bardziej że USA nie wykazuje jak dotąd żadnej skłonności ku temu, by spełnić kluczowy warunek realności takich negocjacji, czyli dać Ukrainie gwarancje bezpieczeństwa wynikające z członkostwa w NATO. Ale o ile do tej pory perspektywa pokoju mogła się zdawać pobożnym życzeniem, to po haskim nakazie jest już kompletną polityczną fantasmagorią.

> Ciekawy sprawdzian będzie mieć miejsce już w sierpniu tego roku w Południowej Afryce, gdzie Putin ma się udać na szczyt państw BRICS. Co zrobią władze RPA?

Nie sposób bowiem wyobrazić sobie, by jakikolwiek zachodni przywódca, od Bidena po Scholza, zaryzykował układy z kimś, kto ucieka przed międzynarodowym nakazem aresztowania za popełnione zbrodnie. Zachodni politycy mają teraz ręce związane jeszcze bardziej, niż mieli do tej pory. A tym samym w grze pozostaje już tylko jeden globalny aktor, dla którego haski nakaz jest bez znaczenia, więc mógłby stać się pośrednikiem w doprowadzeniu przynajmniej do rozejmu. To oczywiście Xi Jinping – przywódca chińskich komunistów. Haski nakaz ogranicza polityczne pole działania Ameryki i Europy, za to otwiera szerzej takie pole przed Pekinem. Dlatego liderzy Zachodu wiedzą, że nie mają powodu, by z tego nakazu się cieszyć.

Cała sprawa ma jeszcze jeden aspekt, kluczowy dla ustrojowej przyszłości demokratycznego świata. Wydany przez ICC nakaz aresztowania przywódcy Rosji, nawet jeśli nigdy nie miałby zostać zrealizowany, jest kolejnym milowym krokiem na drodze ku powiększaniu globalnej politycznej władzy sędziów.

Haski Międzynarodowy Trybunał Karny, podobnie jak Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej czy strasburski Europejski Trybunał Praw Człowieka, wykorzystuje każdą nadarzającą się okazję, by poszerzyć swoją zwierzchnią władzę nad państwami, ich parlamentami i rządami. W przypadku ICC rzecz jest o tyle delikatna, że nie sposób spierać się z argumentem o potrzebie globalnej sprawiedliwości oraz karania zbrodniarzy wojennych. Trzeba się wykazać imperialnym tupetem Kongresu USA, by mieć odwagę uchwalić prawo pozwalające siłą odbić hipotetycznego Amerykanina postawionego za zbrodnie przed haskimi sędziami.

A owi sędziowie z premedytacją i nie od dziś zręcznie powiększają zakres swoich wyroków, choćby nie tak dawno skazując jakiegoś islamistę z Mali za udział w niszczeniu afrykańskich dóbr kultury. Nie trzeba więc być wcale fantastą, by wyobrazić sobie, że w nie tak odległej przyszłości haski nakaz aresztowania może zostać wydany wobec przywódcy państwa, które – przykładowo – dopuszcza się zbrodni gwałcenia świeżo wymyślonych, a ponoć fundamentalnych „reprodukcyjnych praw człowieka".

Obecnie, po wszystkich rosyjskich okrucieństwach, które widzimy na Ukrainie, jest najzupełniej jasne, że wizja „przystanku Haga" dla Putina „po drodze do piekła" odpowiada naszemu poczuciu sprawiedliwości. Polityka jednak ma to do siebie, że nadmiar pryncypializmu w niej nie popłaca, gdyż inaczej niż w naszym życiu prywatnym – z dobra może wynikać w niej również zło.

eprasa.pl e67cdd99de

Kolejny kryzys czy wojna finansowa?

Na Kremlu już od początku wojny na Ukrainie deklaruje się, że zachodnie sankcje osłabią nie tyle rosyjski system finansowy, ile doprowadzą do załamania się światowego znaczenia dolara

MAREK BUDZISZ

Czy czeka nas nowy kryzys bankowy porównywalny, jeśli chodzi o skalę, z 2008 r.? Nastroje nie skłaniają do optymizmu. Bank of America opublikował wyniki swojej comiesięcznej ankiety, w której uczestniczyli menedżerowie funduszy inwestycyjnych zarządzający łącznie aktywami o wartości 621 mld dol. Okazało się, że w tym wpływowym gronie zaufanie do amerykańskiego systemu bankowego spadło w ciągu miesiąca z 25 proc. do 3 proc. Inwestorzy oceniają sytuację podobnie, bo wartość indeksu KBW, który w syntetycznej formie oddaje giełdowe notowania banków, spadła w marcu o 22 proc. i wydaje się, że mamy do czynienia raczej z początkiem, a nie końcem procesu.

GLOBALNA RECESJA

Larry Fink, prezes Black Rock, największego światowego funduszu zarządzającego aktywami o wartości 10 bln dol. (dla porównania PKB Polski wynosi ok. 680 mld dol.), powiedział dziennikowi „Financial Times", że mamy do czynienia z rozkręcającym się kryzysem w amerykańskim systemie finansowym i w nieodległej przyszłości można spodziewać się więcej upadłości i likwidacji instytucji finansowych. Jego słowa potwierdzają wskaźniki rynkowe, bo tylko w ciągu pierwszych dwóch tygodni marca giełdowa wartość amerykańskich banków zmniejszyła się o 17 proc., czyli, bagatela, o 229 mld dol. Niemal połowa ankietowanych menedżerów powiedziało też, że spodziewa się w tym roku recesji w skali globalnej, co jest efektem zaostrzenia polityki banków centralnych wielu państw Zachodu, które przystąpiły do energicznej walki z inflacją.

Fot. Fabrice COFFRINI/AFP/EastNews

eprasa.pl e67cdd99de

Notabene kryzys bankowy w Stanach Zjednoczonych, który zaczął się od upadku Silicon Valley Bank, jest też bezpośrednio związany ze zmianą polityki makroekonomicznej przez FED, amerykański odpowiednik naszego NBP. Przez lata światowe rynki finansowe wprost dławiły się od nadmiaru gotówki. Zjawisko to dodatkowo zostało wzmocnione w czasie pandemii COVID-19, kiedy rządy większości krajów Zachodu energicznie pompowały pieniądze na rynek, po to by nie dopuścić do załamania się gospodarki. W efekcie świat finansów, w tym banki, miały nadmiar gotówki, co m.in. przyczyniło się do rozwoju rynku kryptowalut, na którym można było lokować płynne środki i zarabiać w związku z szybko zmieniającymi się notowaniami. Ale to nie kryptowaluty i inne instrumenty spekulacyjne wywołały obecną sytuację kryzysową.

PRZYPADEK SILICON VALLEY BANK

Po doświadczeniach 2008 r. regulatorzy rynków finansowych i banki były już w swojej polityce znacznie rozsądniejsze i niemałą część środków inwestowały w rządowe obligacje skarbowe, które powszechnie były uznawane za bezpieczne. Tak było w przypadku Silicon Valley Bank, 16. pod względem wielkości amerykańskiego banku, który przyciągał lokaty spółek z branży nowych technologii z kalifornijskiej Doliny Krzemowej. Te start-upy finansują swoją działalność, głównie sprzedając akcje funduszom i bankom inwestycyjnym specjalizującym się w tym bardzo ryzykownym, ale lukratywnym rynku. Pozyskane kapitały, których startujące dopiero firmy nie były w stanie szybko wydać, lokowały głównie w banku SVB. W efekcie 93 proc. środków znajdujących się na rachunkach w tej instytucji finansowej było skoncentrowane w lokatach przekraczających wielkość 250 tys. dolarów – poziom, który jest progiem gwarantowania wkładów przez władze federalne.

Na pozór wszystko było bezpieczne, bank miał też korzystne oceny renomowanych instytucji ratingowych, ale problemy zaczęły się w czwartym kwartale ub.r., kiedy Joe Biden ogłosił rozpoczęcie aktywnej polityki walki z inflacją. W efekcie stopy procentowe wzrosły z poziomu 0,25 proc. w styczniu 2022 r. do obecnych 5 proc. Podobnie szybko rosło oprocentowanie federalnych papierów skarbowych. Ich emisja w związku z gigantycznym długiem skarbowym i ambitnymi planami socjalnymi rządu Bidena nie maleje i skłania niektórych ekonomistów do wieszczenia bankructwa Stanów Zjednoczonych. Podnoszenie stóp procentowych stało się źródłem problemów Silicon Valley Bank głównie z tego powodu, że miał on w swoim portfelu 91 mld dol. lokat w starsze papiery skarbowe o długiej zapadalności.

> We współczesnym świecie panika może wybuchnąć niesłychanie szybko, będzie rozprzestrzeniać się w niekontrolowanych mediach społecznościowych, dając rządom i regulatorom rynku bardzo mało możliwości zapobieżenia niepożądanym zjawiskom

Niepewna sytuacja na światowych rynkach związana zarówno z wojną, jak i deklaracjami niektórych rządów, np. Arabii Saudyjskiej, o odchodzeniu od dolara w rozliczeniach handlowych z Chinami, spowodowała wzrost nerwowości depozytariuszy, którzy zaczęli się martwić, czy ich pieniądze, nieobjęte gwarancjami rządowymi, są bezpieczne. W Silicon Valley Bank zaczął się powolny odpływ lokat i po to, by być w stanie sprostać zapotrzebowaniu na wypłacane środki, władze banku stanęły przed głównym problemem. Otóż, by móc zaspokoić klientów likwidujących swoje depozyty, musieliby sprzedać posiadane bezpieczne papiery skarbowe. Tylko że stare ich emisje, kupowane, kiedy stopy procentowe były niskie, nie są dziś atrakcyjne dla inwestorów, którzy mogą nabyć nowe obligacje FED o znacznie wyższym oprocentowaniu. W rezultacie rynkowa wartość portfela SVB, teoretycznie bezpiecznego i płynnego, zaczęła szybko topnieć. W tych niekorzystnych warunkach bank został zmuszony do pozbycia się części obligacji federalnych o wartości 21 mld dol., na czym stracił (w porównaniu do wartości zapisanej w księgach) 1,8 mld.

Równolegle rozpoczęto starania o dokapitalizowanie, pracując razem z gigantem, którym jest Goldman Sachs, nad emisją akcji zarówno dla funduszy inwestycyjnych, jak i indywidualnych nabywców. Planowano w ten sposób pozyskać 2,25 mld dol., ale tu zaczęły działać czynniki, na które nikt nie ma wpływu – przypadek. Dzień przed dopinaniem transakcji upadł mający swoją siedzibę również w Kalifornii Silvergate Bank, specjalizujący się w inwestowaniu i umożliwianiu inwestowania w kryptowaluty. O tym, że ten bank – powiązany z upadłą w ub.r. giełdą FTX założoną przez Sama Bankman-Frieda – ma kłopoty i może zbankrutować, mówiło się już dawno, jednak oficjalny komunikat w tej sprawie spowodował udaremnienie planów SVB, bo potencjalni inwestorzy się wystraszyli. Spanikowali również klienci banku, którzy w ciągu jednego dnia po tym, jak ukazał się komunikat na temat strat, wycofali 42 mld dol. z depozytów.

W ciągu kliku dni los SVB podzielił jeszcze jeden bank, tym razem z siedzibą w Nowym Jorku – Signature Bank. A na dodatek władze zamknęły Silvergate Bank, podejrzewany o pranie brudnych pieniędzy i nielegalne operacje. To wystarczyło, by uruchomić panikę wśród dużych inwestorów, których lokaty nie są gwarantowane i których ofiarą padł wielki szwajcarski bank – Credit Suisse, bo i w tym przypadku o jego losie zdecydowało wycofywanie depozytów przez dużych graczy. Jak powiedział jeden z menedżerów funduszy zarządzających aktywami wielkich inwestorów, po historii z SVB lawinowo wzrosła liczba pytań, które otrzymał, czy inne inwestycje są bezpieczne. Credit Suisse,

eprasa.pl e67cdd99de

bank, któremu w ostatnich latach się nie wiodło i który notował deficyty liczone w miliardach, stracił zaufanie klientów, którzy uznali, że może być on następnym w kolejce do bankructwa, i zaczęli wycofywać swe pieniądze. Ostatecznie ta szwajcarska instytucja, „zbyt wielka, by upaść", została wykupiona przez lokalnego konkurenta (UBS) i przestanie istnieć, a w całą operację zaangażował się rząd. Problem jednak pozostał, bo jak szacują eksperci w podobnej sytuacji co SVC jest sporo więcej amerykańskich banków średniej wielkości.

TYLKO BEZ PANIKI

Analitycy tygodnika „The Economist" obliczyli, że na początku 2022 r., kiedy stopy procentowe były niewiele wyższe niż zero, amerykańskie banki miały aktywa o wartości 24 bln dol. Z tego 3,4 bln to była gotówka, a 6 bln stanowiły uchodzące za bezpieczne lokaty w federalne papiery skarbowe i instrumenty, których zabezpieczeniem były hipoteki. Na rachunkach bankowych depozytariusze umieścili środki o wartości 19 bln dol., z czego tylko połowa była objęta rządowymi gwarancjami wypłacalności. Gdyby na rynku wybuchła panika i banki zostały zmuszone do sprzedaży posiadanych papierów wartościowych, w tym obligacji skarbowych, po to by być w stanie zaspokoić depozytariuszy, to wówczas straty banków (różnica między ich wartością rynkową a księgową) wyniosłyby co najmniej 620 mld dol.

Jeszcze bardziej ponury obraz wyłania się z badań ekonomistów Uniwersytetu Stanforda i Columbia. Ich zdaniem już obecnie 10 proc. z ponad 5 tys. amerykańskich banków ma nieujawnione straty na poziomie wyższym, niż upadły SVB. Gdyby – jak napisali w opublikowanym w połowie marca opracowaniu – tylko połowa nieobjętych gwarancjami wypłaty depozytów została wycofana, to wówczas straty całego amerykańskiego systemu bankowego zamknęłyby się kwotą 2 bln, 519 banków stałoby się bankrutami, a depozytariusze straciliby nie mniej niż 300 mld dol. Cały system jest zatem bardzo kruchy, a jego wrażliwość zwiększa jeszcze, jak zauważył Martin Wolf, komentator finansowy dziennika „Financial Times", zaawansowanie elektronicznych systemów rozliczeniowych i dominacja informacyjna sieci społecznościowych.

We współczesnym świecie panika może wybuchnąć niesłychanie szybko, będzie rozprzestrzeniać się w niekontrolowanych mediach społecznościowych, a elektroniczne systemy rozliczeniowe umożliwiają natychmiastowe wycofanie lokat, dając rządom i regulatorom rynku bardzo mało możliwości zapobieżenia niepożądanym zjawiskom. To zaś powoduje, że system w wymiarze globalnym staje się bardzo wrażliwy na presję, w tym celowe, wrogie działania, z którymi rządy mogą sobie nie poradzić, tym bardziej że nadal, potrzebując gigantycznych pieniędzy, emitują papiery dłużne.

Tę dwuznaczność wyraźnie widać na przykładzie ostatnich wystąpień Janet Yellen, amerykańskiej sekretarz skarbu, która powiedziała ostatnio, że decyzja o objęciu federalnymi gwarancjami wszystkich depozytów ulokowanych w upadłym SVB, nie oznacza podobnej polityki, jeśli sytuacja się powtórzy. W praktyce słowa te mogą być interpretowane jako ostrzeżenie dla klientów banków, że jeśli ci dadzą się ponieść panice, to muszą liczyć się z bolesnymi kosztami.

UDERZENIE W DOLARA

To prawdopodobnie też nie uspokoi sytuacji, tym bardziej że atmosfera w świecie robi się coraz bardziej napięta. Ostatnia wizyta Xi Jinpinga w Moskwie i podpisane tam dokumenty oznaczają – jak napisał Elbridge Colby, jeden z głównych autorów amerykańskiej strategii bezpieczeństwa za czasów Trumpa – zawarcie między oboma państwami faktycznego sojuszu wojskowego i wspólną politykę na rzecz obalenia amerykańskiej hegemonii. Na Kremlu już od początku wojny na Ukrainie deklaruje się, że zachodnie sankcje osłabią nie tyle rosyjski system finansowy, który wbrew zapowiedziom Bidena nie zawalił się z hukiem w pierwszych tygodniach konfliktu, ile przeciwnie – doprowadzą do załamania się światowego znaczenia dolara. Przede wszystkim dlatego, że zamrożenie rosyjskich aktywów wystraszy innych inwestorów, choćby z bogatych, a niebędących wzorcami demokracji i przestrzegania praw człowieka państw arabskich, którzy będą szukali bezpieczniejszych lokat. To m.in. dlatego Rosja zgodziła się na przejście w rozliczeniach na chińskie juany czy indyjskie rupie, bo uważa, iż zadaje w ten sposób, uruchamiając lawinę, dodatkowy cios Ameryce. W świetle tego rozumowania, jeśli dolar zacznie tracić znaczenie w światowym systemie rozliczeniowym, to Waszyngton albo będzie musiał zacząć oszczędzać i wtedy pieniędzy na wsparcie dla Ukrainy zabraknie, albo chcąc kontynuować obecną politykę, zostanie zmuszony do akceptacji wyższej ceny za zaciągane pożyczki, co z kolei wywoła kryzys systemu bankowego i przerodzi się w panikę na rynku.

Pierwsze zapowiedzi niepokojących zmian już mają miejsce. Arabia Saudyjska zgodziła się przejść na chińską walutę we wzajemnych rozliczeniach handlowych, a Rosjanie stali się największym, jak poinformował właśnie minister finansów Ehsan Khandouzi, inwestorem w Iranie. Luiz Inácio Lula da Silva, lewicowy prezydent Brazylii, zainicjował rozmowy z władzami Argentyny na temat powołania wspólnej waluty, która w świetle deklaracji mogłaby stać się pieniądzem rozliczeniowym, wypierając przy okazji dolara, dla całej Ameryki Łacińskiej.

Nawet jeśli te zapowiedzi nie przyniosą pełnego sukcesu i dolar nie zostanie zdetronizowany, to rysujące się trendy mogą ograniczyć możliwości Waszyngtonu, zawężając Amerykanom pole politycznego manewru. Na to liczą Rosjanie, którzy nie zamierzają czekać i inicjują działania na rzecz osłabienia zachodniego systemu finansowego. Jak napisali niedawno dziennikarze agencji Bloomberg, jednym ze źródeł paniki, która powaliła SVB, mogła być celowa dezinformacja, kolportowana w sieciach społecznościowych przez zwolenników teorii spiskowych, inspirowanych najprawdopodobniej przez Rosjan. Jeśli tego rodzaju akcja mogła doprowadzić do upadłości 16. pod względem wielkości bank w Stanach Zjednoczonych, to co stanie się w Polsce, w kraju, w którym niektórzy za dobrą monetę przyjmują ewidentne łgarstwo, jakoby leśnicy zakopali kilkudziesięciu zabitych przez siebie „migrantów", a rząd najsilniej wspierający militarnie walczących Ukraińców trzeba uznać za prorosyjski?

eprasa.pl e67cdd99de

Niewidoczny znak

W centrum Berlina miał powstać pomnik polskich ofiar niemieckiej okupacji. Ale niemieckie władze wolą świętować 1000-letnie sąsiedztwo obu narodów

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Najwyżsi przedstawiciele Republiki Federalnej Niemiec, nie tylko prezydent, zapewniali publicznie, w obecności polskich partnerów, że w niedalekiej przyszłości w Berlinie powstanie miejsce pamięci i spotkań z Polską wraz z pomnikiem. Stawką jest wiarygodność Niemiec w oczach Polaków i to w bardzo wrażliwym obszarze, którym są wina i odpowiedzialność. Chodzi o czyny, a nie słowa wypowiadane z okazji rocznic" – tak brzmi drugi z dwóch listów skierowanych przez pomysłodawców stworzenia w Berlinie miejsca pamięci poświęconego polskim ofiarom niemieckiej okupacji do minister kultury i mediów z ramienia Zielonych Claudii Roth. Sygnatariusze, m.in. byli przewodniczący Bundestagu Rita Süssmuth i Wolfgang Thierse, a także architekt Florian Mausbach oraz były dyrektor fundacji Topografia Terroru Andreas Nachama, zarzucają niemieckiemu rządowi, że chce rozmyć wypracowaną w 2021 r. przez polsko-niemiecką komisję ekspercką koncepcję, zakładającą z jednej strony powstanie pomnika, a z drugiej centrum dokumentacyjnego w stolicy Niemiec.

ZMIANA KONCEPCJI

Przypomnijmy. Jesienią 2017 r. powstała inicjatywa na rzecz upamiętnienia polskich ofiar okupacji niemieckiej w latach 1939–1945. Wsparły ją liczne osobistości niemieckiego społeczeństwa obywatelskiego, polityki, nauki i kultury. Głównym pomysłodawcą był architekt i urbanista Florian Mausbach, emerytowany szef Federalnego Urzędu Budownictwa i Zagospodarowania Przestrzennego. Chciał on, by pomnik stanął na pl. Askańskim w centrum niemieckiej stolicy, nieopodal ruin zburzonego w czasie wojny dworca kolejowego. Miał przypomnieć Niemcom, że Polska podczas okupacji została zamieniona nie tylko w miejsce zagłady europejskich Żydów, lecz także że bombardowania, deportacje i masowe egzekucje były skierowane przeciwko Polsce jako państwu, społeczeństwu i narodowi.

W październiku 2020 r. po długich dyskusjach Bundestag podjął decyzję o stworzeniu miejsca pamięci i spotkań jako gestu pojednania z Polską. Rok później grupa niemieckich i polskich ekspertów pod auspicjami ówczesnego ambasadora Niemiec w Polsce Rolfa Nikela opracowała wstępny zarys projektu.

Jak twierdzi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" historyk prof. Jan Rydel, który uczestniczył w pracach grupy eksperckiej, centralnym elementem projektu miał być właśnie pomnik. „Nalegaliśmy, by nie lekceważyć kwestii pomnika, by nie zamienił się on w tablicę na ścianie. Ważny był dla nas także kontekst, bo II wojna światowa nie brała się z niczego – już w XIX w. stosunki między Polską a Prusami były naznaczone znacznym antagonizmem. Należało o tym powiedzieć, a także przedstawić okres po wojnie. Proces pojednania. Nie było wtedy w toku naszych prac żadnych napięć" – wspomina.

Sam Rolf Nikel przekonywał we wrześniu 2021 r. w rozmowie z tygodnikiem „Sieci", że tzw. Miejsce Pamięci

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e67cdd99de

i Spotkań z Polską (Ort des Erinnerns und der Begegnung mit Polen) będzie się składało z dwóch równie ważnych elementów. „Jednym z nich, może nawet centralnym, będzie pomnik – miejsce, w którym ludzie będą mogli pochylić głowy, czcząc w ten sposób ofiary straszliwej napaści na Polskę, ofiary mordów, upamiętniając wielkie zniszczenia. Powstanie miejsce, w którym będzie możliwość okazania szacunku ofiarom" – podkreślił Nikel.

Potem zrobiło się cicho wokół projektu. W 2022 r. przeszedł on z MSZ do kompetencji pełnomocnika rządu federalnego ds. kultury i mediów, czyli Claudii Roth. Ta zwróciła się do Fundacji Pomnika Pomordowanych Żydów Europy oraz Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich (DPI) o „wypracowanie pogłębionej propozycji realizacji" placówki.

Według Floriana Mausbacha wówczas doszło po cichu do zmiany koncepcji. „Chcieliśmy upamiętnić polskie ofiary niemieckiej okupacji. Taki był zamysł. A potem dowiedzieliśmy się, że w planach jest powstanie Domu Polsko-Niemieckiego, w którym znajdzie odzwierciedlenie cała polsko-niemiecka historia" – oburza się Mausbach w rozmowie z tygodnikiem „Sieci". Według niego na pierwszy list Roth w listopadzie 2022 r. jeszcze odpowiedziała. „Zaprosiła nas na rozmowę, ale już wtedy mówiła o rozszerzonej koncepcji. Napisaliśmy więc do niej jeszcze raz, wyrażając nasze obawy bardziej dosadnie. Na ten list już nie odpowiedziała" – dodaje.

Polityk Zielonych potwierdziła nową rozszerzoną koncepcję w rozmowie z „Frankfurter Allgemeine Zeitung", zaznaczając, że Dom Polsko-Niemiecki miałby uwzględnić 1000-letnie sąsiedztwo obu narodów. Tak pomnik upamiętniający polskie ofiary III Rzeszy, skupiający uwagę na winie narodu niemieckiego, zamienił się w centrum spotkań dobrosąsiedzkich.

„Desmond Tutu [południowoafrykański biskup anglikański – przyp. red.] powiedział kiedyś, że bez przyznania się do winy nie może być pojednania. Taki pomnik jest publiczny, inaczej niż dom spotkań, który odwiedzą tylko ci, którzy chcą i których to interesuje. Pomnik to publiczne wyznanie winy, które daje podstawę pojednaniu. Pomnik Pomordowanych Żydów Europy miał ogromny wpływ na postrzeganie Shoah w Niemczech. Aż do lat 80. ten temat był wypierany. Taki pomnik jest zawsze widoczny, pojawia się na zdjęciach, na nagraniach wideo" – uważa urbanista. Dom Polsko-Niemiecki zaś, czyli „wszystko pod jednym dachem", neguje to, co istotne, czyli wymiar symboliczny, ten gest empatii wobec Polski w samym sercu Berlina. Niemiecka wina zostaje rozmyta. To, co powinno być centralnym założeniem – upamiętnienie unicestwienia milionów Polaków, polskiej kultury – schodzi na dalszy plan.

NIECHCIANY POMNIK

Nie da się ukryć, że dużej części niemieckich elit od początku było nie po drodze z pomysłem pomnika. Argumenty (niemieckich polityków i historyków) przeciw sięgały od rzekomej relatywizacji wyjątkowości zbrodni Holokaustu, „konkurencji ofiar", bo Ukraińcy i Białorusini też chcą mieć swoje pomniki, po nacjonalizację historii oraz „przysparzanie sukcesów populistom", czyli PiS. Gdzieś w tle są jeszcze wypędzeni, którzy wprawdzie stracili na politycznym znaczeniu za Odrą, bo jest ich po prostu coraz mniej, ale wciąż stanowią część wyborczej bazy CDU i od niedawna AfD.

Nic dziwnego więc, że początkowy entuzjazm dla pomnika uległ za Odrą wyraźnemu ostudzeniu. Jak podkreślił historyk prof. Krzysztof Ruchniewicz w 2020 r. w wywiadzie z „Deutsche Welle" koniunktura na pomniki za Odrą się skończyła. Mnie się wydaje, że skończyła się koniunktura na pamięć o niemieckich zbrodniach. Od lat niemiecka polityka historyczna rozwija się w kierunku tropienia objawów prawicowego ekstremizmu we współczesnej polityce (niemieckiej, ale nie tylko) pod hasłem: „Niech się to nigdy więcej nie powtórzy!". Ważne są wnioski, które możemy dziś wyciągnąć z przeszłości, a nie sama przeszłość. Ta została już przepracowana bez względu na to, co myślą o tym Polacy.

Dlatego dyskusja o reparacjach jest z punktu widzenia Berlina tak niewygodna. Bezsensowna wręcz. W latach 90. może i była moda na pomniki i reparacje. Nie załapaliście się, Polacy? Trudno. Za późno. Jest za to moda na centra edukacyjne, uświadamianie młodzieży i dialog bilateralny. W tę modę Dom Polsko-Niemiecki się znakomicie wpisuje.

By skomplikować sprawy, Bundestag uchwalił dwa lata temu także powstanie centrum dokumentacyjnego ofiar niemieckiej okupacji Europy. „Jak się to wszystko wrzuci do jednego worka, to będziemy mieli sytuację taką, że powstaną spory polsko-rosyjskie, polsko-ukraińskie czy polsko-litewskie odnośnie do tego, co ma tam być pokazane, w których Niemcy będą arbitrami" – ostrzega prof. Rydel.

Dyrektor Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich Peter Oliver Loew w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" zapewnia, że tzw. Polen-Ort powstanie. I będzie w nim miejsce na „trójwymiarowe", symboliczne upamiętnienie obok centrum dokumentacji, ekspozycji i edukacji. Słowa „pomnik" woli nie używać, bo to słowo może być rozumiane inaczej w Niemczech aniżeli w Polsce. „Chcemy rozpisać konkurs architektoniczny na opracowanie tego trójwymiarowego miejsca pamięci" – przekonuje. Według niego musi to być coś, co jest akceptowalne zarówno w ramach niemieckiej, jak i polskiej kultury pamięci. Według Loewa koncepcja pomnika może i się poszerzyła, ale jej centralne założenie się nie zmieniło. „Chcemy upamiętnić, ale chcemy także informować, dokumentować oraz łączyć ludzi" – zaznacza.

Sztab na rzecz realizacji projektu kilka dni temu rozpoczął pracę. W przeciągu roku ma powstać propozycja, która zostanie przekazana do decyzji Bundestagu. Tymczasem Florian Mausbach dalej chce walczyć o to, by główne założenie jego inicjatywy – upamiętnienie polskich ofiar okupacji niemieckiej – nie zostało rozmyte. „Nawet jeśli relacje polsko-niemieckie są obecnie złe, to jest to stan przejściowy. Powinny one rosnąć w naszych serach, a nie tylko w głowach. Jestem dobrej myśli. Jeśli będziemy konsekwentnie wywierać presję w mediach, pomnik w końcu powstanie".

eprasa.pl e67cdd99de

Kto ochrania dawnych agentów Stasi?

TOMASZ SZYMBORSKI

Oprócz agentów dawnego KGB i GRU w Polsce pozostały setki osób z nieujawnionej do tej pory agentury wschodnioniemieckiego Ministerium für Staatssicherheit (MfS), bardziej znanego jako Stasi. Dlaczego w Polsce współpraca naszych obywateli ze służbami specjalnymi obcego państwa wciąż nie podlega rozliczeniu? Można postawić śmiałą tezę, że nikomu na tym nie zależy.

Stasi w latach 80. miała w Polsce ok. 0,5 tys. agentów i informatorów. Byli wśród nich nie tylko Niemcy, lecz także Polacy. Teczki założono kilku tysiącom Polaków i gromadzono o nich każdą dostępną wiedzę, przede wszystkim taką, która mogła być źródłem nacisku i ewentualnego werbunku. Według Moniki Tantzscher, która prowadziła badania w Urzędzie Gaucka, pajęczyna Stasi w listopadzie 1986 r. liczyła „ponad 500 osób z ministerstw, wymiaru sprawiedliwości, wojska, Kościołów i związków zawodowych z całej Polski".

Czy szpiedzy NRD zdołali zbudować siatkę swoich współpracowników złożoną z Niemców i obywateli polskich? To możliwe. Tak przynajmniej wynika z materiałów dawnej Stasi, do których dotarła dr Hanna Labrenz-Weiss z Federalnego Urzędu ds. Dokumentów Służb Bezpieczeństwa Byłej NRD w Berlinie (Bundesbeauftragte für die Unterlagen des Staatssicherheitsdienstes der ehemaligen Deutschen Demokratischen

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e67cdd99de

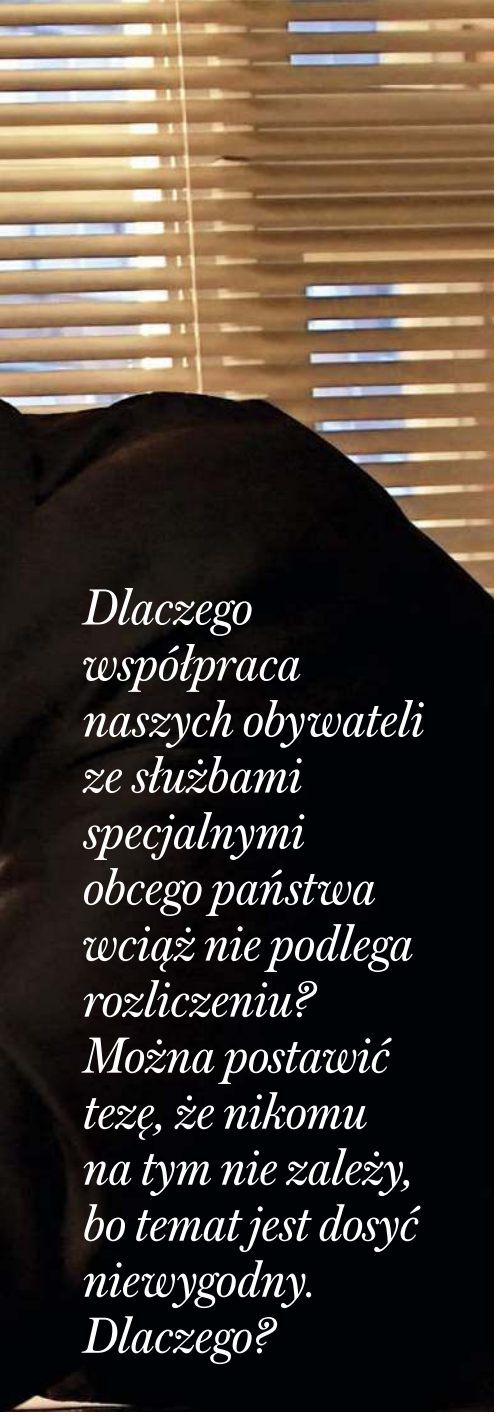

Dlaczego współpraca naszych obywateli ze służbami specjalnymi obcego państwa wciąż nie podlega rozliczeniu? Można postawić tezę, że nikomu na tym nie zależy, bo temat jest dosyć niewygodny. Dlaczego?

Republik, BStU), znanego bardziej jako Urząd Gaucka, odpowiednika naszego Instytutu Pamięci Narodowej. Nawiasem mówiąc, to BStU od 2005 r. miał podpisane porozumienie o współpracy z IPN. Miał, bo Urząd Gaucka zakończył działalność w 2020 r., a akta Stasi trafiły do Archiwum Federalnego.

SZPIEDZY Z NRD

Stasi zainteresowała się Polską na poważnie od wyboru Karola Wojtyły na papieża, czyli od 1978 r. A potem jeszcze nasiliło swoją aktywność, gdy powstała Solidarność w 1980 r. Najważniejszą rolę w działalności operacyjnej Stasi w Polsce odgrywał Wydział Główny II Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (MfS-Hauptabteilung II), czyli kontrwywiad. Do jego zadań należały: koordynacja współpracy z partnerskimi służbami, demaskowanie rezydentur i poszczególnych agentów państw należących do NATO ze szczególnym uwzględnieniem RFN, a także informowanie kierownictwa partyjnego i państwowego NRD o zjawiskach ważnych z punktu widzenia bezpieczeństwa państwowego.

8 września 1980 r. na mocy porozumienia z polskim MSW rozpoczęła działalność Grupa Operacyjna Warszawa (Operationsgruppe Warschau – OGW), której oficerowie werbowali agentów w Polsce.

Do jej zadań należało: „zapewnienie stałych oficjalnych kontaktów z polskimi organami bezpieczeństwa, koordynacja tajnych działań w przedstawicielstwach NRD w Polsce, łącznie z werbowaniem nowych tajnych współpracowników, rozpoznanie i opracowanie współpracowników tajnych służb w przedstawicielstwach krajów niesocjalistycznych w Polsce oraz stała analiza sytuacji wewnętrznej".

Do 1982 r. Grupa Operacyjna Warszawa pod dowództwem ppłk. Herbricha została uzupełniona o majorów Wenzla, Reimanna, Gottschlinga i Fiedlera. Głównym pełnomocnikiem ds. bezpieczeństwa ambasady (ambasadorem NRD był wówczas Egon Winkelmann) został kpt. Pfeffer. Członkowie grupy operacyjnej Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego zostali ulokowani w siedzibie ambasady NRD (al. I Armii Wojska Polskiego 4/6), gdzie mieli do dyspozycji 10 pokoi.

Grupa miała przedstawicielstwa w Gdańsku, Szczecinie, Katowicach i we Wrocławiu, czyli w regionach, które przed II wojną światową należały do III Rzeszy. Jest znany przypadek, zaobserwowany przez kontrwywiad w połowie lat 80., intensywnego zainteresowania przez pracowników wschodnioniemieckiego konsulatu w Katowicach (czyli tak naprawdę oficerów wschodnioniemieckiego wywiadu), studentami wydziału prawa Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Interesowali ich szczególnie studenci, którzy mieli tzw. stypendia fundowane przez prokuraturę lub sądy. Enerdowcy myśleli perspektywicznie. Wiedzieli, że większość tych studentów będzie pracować w wymiarze sprawiedliwości – zostaną sędziami, adwokatami lub prokuratorami. Fakt uzyskania takiego stypendium był wyznacznikiem wysokiego zaufania do studenta przez władze partyjne.

Sieć informatorów Stasi uzupełniały tzw. osoby kontaktowe lub ludzie z MSZ, MON, MSW, z którymi spotykano się oficjalnie. Najważniejsze zadania Grupy Operacyjnej Warszawa na 1982 r. zostały ujęte w dokumencie z 18 listopada 1981 r. – Porozumienie między Głównym Zarządem II i Departamentem II polskiego MSW dotyczące czynności grup operacyjnych MBP NRD w PRL.

Materiały OGW zostały zniszczone. Istnieją jednak kartoteki agentów, których zwerbowano do współpracy. Ustalenie ich nazwisk wymaga czasu, ale jest możliwe. Jednak nikomu się nie spieszy.

ZAPACH RÓŻANEGO DRZEWA

– Nie sprawdzaliśmy w archiwum Urzędu Gaucka tzw. aktywów NRD-owskiej bezpieki w Polsce. Biorąc pod uwagę, że niemal wszystkie dokumenty Stasi są także w Moskwie, nie można wykluczyć prób wykorzystania, np. za pomocą szantażu, byłej agentury Stasi w Polsce przez rosyjskie służby specjalne. Mieliśmy informacje, że część dawnej wschodnioniemieckiej agentury może współpracować z niemieckim wywiadem, czyli BND. Po wykryciu kilku takich przypadków daliśmy stanowczy sygnał kanałami dyplomatycznymi do Berlina, że nie życzymy sobie takiej działalności – przyznaje emerytowany pułkownik kontrwywiadu.

Akta Stasi dostały się w ręce Amerykanów w 1992 r. Agenci wywiadu CIA zdobyli je w Moskwie podczas akcji pod kryptonimem „Operation Rosewood" (Operacja Drzewo Różane). CIA zdobyła wówczas kilka tysięcy stron dokumentów, w tym kartotekę osobową agentów Stasi oraz tajne raporty Zarządu Głównego Wywiadu (HVA). W zamian za kopie akt przekazane w 1999 r. Amerykanie mogli zajrzeć do dokumentów zajmującego się lustracją berlińskiego Urzędu Gaucka.

SIRA to „System wyszukiwania informacji HVA" (System zur

eprasa.pl e67cdd99de

Informationsrecherche der HVA), który składał się z wielu mniejszych baz danych, zachował się w dużej mierze przez przypadek. Ta baza danych (SIRA) służyła referatom do rozpracowania i analizy w HVA jako pomoc w wyszukiwaniu i ocenie źródeł w terenie operacyjnym. Gdy dane te, zebrane pierwotnie na taśmach magnetycznych, przeinstalowano w latach 80. na dysk magnetyczny, MfS nakazało wtedy sporządzenie kopii zapasowych, które były przechowywane w zewnętrznych centrach obliczeniowych i tam zostały po prostu zapomniane. Dlatego uniknęły zniszczenia. W 1998 r. Urzędowi Gaucka udało się rozszyfrować bazę danych SIRA.

Te bazy zawierają konkretne informacje dotyczące źródła, tzn. numer rejestracyjny i pseudonim IM (tajnego współpracownika), a także dane o rodzaju, zakresie informacji i ich oceny, ale nie zawierają prawdziwego nazwiska. SIRA funkcjonuje poniekąd jak katalog haseł jakiejś biblioteki: system obejmuje jakość i ilość informacji pierwotnych oraz opisuje tym samym zakres szpiegostwa.

„Numer rejestracyjny źródła pozwala za pomocą kartoteki osobowej HVA rozszyfrować także informatora. Tej kartoteki nie ma w archiwum Urzędu Gaucka – mankament, który mógłby zostać uzupełniony za pomocą materiałów z Operacji Drzewo Różane. Chodzi o sfilmowane dla bezpieczeństwa kopie zapasowe kartotek F16, F22, F77, które znajdują się w posiadaniu amerykańskiej centrali CIA. F16 oznaczało centralną kartotekę personalną MfS. Zawierała ona fiszki wszystkich osób, które były objęte zainteresowaniem MfS, wraz z personaliami. Numer rejestracyjny pozwala stwierdzić, czy są to akta IM, proces operacyjny, czy operacyjna kontrola osób. O co konkretnie chodziło, można wywnioskować z kartoteki F22, czyli kartoteki operacyjnej MfS. Kartoteka F77 zawierała pseudonimy. Przez kombinację z SIRA możliwa byłaby identyfikacja źródeł HVA i określenie ich konkretnych wartości" – uważa w jednej ze swoich publikacji Karl Wilhelm Fricke, niemiecki dziennikarz.

W 1955 r. jako 25-letni dziennikarz został porwany przez Stasi, uśpiony, wywieziony z Berlina Zachodniego do NRD i skazany na ciężkie więzienie.

Jaki z tego wniosek? Ano taki, że przy minimum dobrej woli ujawnienie agentów byłej Stasi w Polsce nie jest żadnym problemem. Należy również przyjąć, że w archiwach rosyjskich służb specjalnych znajdują się również kopie akt agentów Stasi działających w Polsce. Nieujawnieni w Polsce przez nasze służby po 1989 r. są podatni na szantaż i ponowny werbunek. Tym razem przez Rosjan. A w najbardziej optymistycznym wariancie – przez służby specjalne, np. RFN.

Zresztą ich dane powinny być wpisane do innego systemu przetwarzania danych – SUND, zawierającego dane operacyjne i instytucjonalne. System ten był wykorzystywany przez służby specjalne Związku Sowieckiego, Węgier, Bułgarii, Mongolii, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Polski, Kuby i Czechosłowacji. One wprowadzały dane, ale dysponentem było radzieckie KGB.

NIEMCY SĄ PRAGMATYCZNI

Podobnie było z podwładnymi Markusa „Mischy" Wolfa, szefa wschodnioniemieckiego wywiadu, czyli Hauptverwaltung Aufklärung (HVA). Była to wydzielona struktura organizacyjna politycznego wywiadu zagranicznego. Wielu studentów polskich uczelni w czasie wakacji wyjeżdżało na obozy do NRD, żeby zarobić i wypocząć. Tam byli inwigilowani przez Stasi, która zbierała dokładne informacje – kto i z kim się spotyka, czy prowadzi nielegalny handel i zajmuje się przemytem. W przypadku znalezienia kompromitujących materiałów droga do werbunku była otwarta.

Pierwsze dowody na to, że służby NRD prowadziły dosyć agresywny werbunek agentury w Polsce pojawiły się w epoce Gierka. Stasi działa bezczelnie – w 1974 r. funkcjonariusze wywiadu NRD porwali w Warszawie pracownicę zachodnioniemieckiej ambasady. Po groźbie dyplomatycznych retorsji i interwencji na najwyższym szczeblu Niemkę uwolniono.

Sprawę werbunków wschodnioniemieckiej agentury i działalności Stasi w Polsce próbowano załatwić najpierw dyplomatycznie, bez rozgłosu. Kiedy ten sposób nie przyniósł rezultatu, zagrożono wręcz odwetem, czyli podobnym działaniem na terenie NRD.

– Moje wyjazdy do NRD w 1982 r. wiązały się z koniecznością przeprowadzenia rozmów z pracownikami naszej rezydentury w Berlinie Wschodnim odnośnie do budowania na terenie NRD źródeł informacji na terenie tego kraju oraz zapobieganiu próbie werbunku obywatel polskich – podczas jednego z przesłuchań mówił płk Zbigniew Twerd, który karierę w MSW zakończył w 1990 r. jako wicedyrektor Departamentu II, czyli kontrwywiadu.

TOWARZYSZE CHĘTNIE INFORMOWALI

Dawno temu tygodnik „Wprost" ujawnił materiały Stasi, z których wynikało, że „Zbigniew Sobotka, wiceminister spraw wewnętrznych, Stanisław Ciosek, doradca prezydenta Kwaśniewskiego i były ambasador RP w Moskwie, oraz Wiesław Klimczak, były szef wpływowego stowarzyszenia Ordynacka byli informatorami wywiadu NRD". Dalej we „Wprost" czytamy: „Do najbardziej zaufanych współpracowników MfS należał I sekretarz KW PZPR we

Fot. Shutterstock, domena publiczna

eprasa.pl e67cdd99de

Wrocławiu Ludwik Drożdż. Z raportu Wydziału II (HVA) MfS (z 6 lutego 1981 r.) wynika, że Drożdż liczył na »braterską pomoc krajów socjalistycznych«. Jak podkreślał, zaprowadzenie porządku przez milicję byłoby możliwe przy mądrym przygotowaniu i prężnym, centralnym kierownictwie. Do tego jednak byłoby konieczne wzmocnienie jej przez odpowiednich towarzyszy z braterskich organów w polskich mundurach, ewentualnie z zastosowaniem ciężkiej broni".

Wspólne przedsięwzięcia i tzw. robocze spotkania funkcjonariuszy MfS i polskiego MSW odbywały się aż do 1989 r. Jedno z nich zorganizowano w Warszawie w dniach 29–31 marca 1988 r. Gośćmi MSW byli wówczas szef Głównego Wydziału HA XX gen. Paul Kienberg, szef sekcji 2 w HA XX płk Kuschel, szef sekcji 4 w HA XX płk Reuter oraz szef Grupy Operacyjnej w Polsce por. Wielkes. Do zadań HA XX należała inwigilacja i zwalczanie wrogów ustroju.

Ze strony polskiej w spotkaniu uczestniczyli m.in. szef Departamentu IV MSW gen. Tadeusz Szczygieł, jego zastępca płk Mirowski, drugi zastępca płk Przanowski, szef Departamentu III płk Krzysztof Majchrowski oraz szefowie i zastępcy z wydziałów III i IV – płk Stasikowski, płk Szczepański, płk Będziak, płk Kluczyński, por. Lesiak (ten od „szafy Lesiaka"?) i wiceminister w MSW gen. Henryk Dankowski. Gen. Kienberg z gen. Szczygłem i płk. Majchrowskim zastanawiali się nad metodami unieszkodliwiania podziemia politycznego i Kościoła, który wspierał opozycję w walce przeciw socjalistycznemu państwu. Gen. Dankowski rozmawiał z gen. Kienbergiem o potrzebie koordynacji działań dotyczących infiltracji różnych środowisk – od młodzieży szkolnej po współpracowników Watykanu. Meldunek z tego spotkania – jak odnotowano w nagłówku: „Odnośnie do współpracy na obszarze zwalczania polityczno-ideologicznej dywersji i reakcyjnych wrogich elementów w Kościołach" – liczy 15 stron.

Gorzej z tymi agentami, których tożsamości dalej nie znamy. Agent Stasi ps. Heinz Bertram w latach 80. studiował w szkole oficerskiej w Warszawie. Został do niej skierowany, by zbierać informacje o podchorążych, kadrze instruktorskiej i wykładowcach.

Inny IM (to najwyższa kategoria tajnego współpracownika Stasi), Harald Engel, w latach 1971–1976 był studentem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Donosił nie tylko na kolegów czy wykładowców UMCS, lecz także na swoje kontakty na Uniwersytecie Warszawskim.

Agent ps. Dr Jan został przerzucony do Polski z zadaniem rozpracowania antysocjalistycznych sił w środowisku akademickim Gdańska. Meinhardt z Magdeburga został wysłany do Berlina Zachodniego, by inwigilować Towarzystwo Solidarność i jego przewodniczącego Edwarda Klimczaka (sprawa pod kryptonimem Lektor). Agent Richard był jednym z kilku szpicli, którzy donosili na środowisko berlińskiego dwutygodnika polonijnego „Pogląd".

A Karli ze względu na swoje dobre kontakty z Uniwersytetem Jagiellońskim w Krakowie zbierał ważne informacje na temat sytuacji w szkołach wyższych PRL.

Z kolei Stefan został zobowiązany do zdobywania informacji o wojsku polskim, a Alexander miał informować o aktywności wrogich sił w Gdańsku. Isolde pisała donosy o spotkaniach na Jazz Jamboree w 1984 r.

Akta osobowe agenta o pseudonimie Dr Schreiber co prawda zostały zniszczone, ale jednak udało się go zidentyfikować na podstawie akt sprawy operacyjnej Obserwator. Wiadomo, że agent mieszka we Frankfurcie nad Odrą, z zawodu jest nauczycielem. Inwigilował polską opozycję w Słubicach, Poznaniu i Berlinie.

Stasi wykorzystywało kontakty obywateli NRD z Polakami. Udający zwolenników Solidarności Niemcy podejmowali się m.in. przerzucania informacji na Zachód. Trafiały one jednak w ręce niemieckiej bezpieki. W raportach agenci relacjonują swój pobyt w Polsce, u rodziny czy przyjaciół, opisują, jak wspaniale zostali przyjęci, a potem podają w detalach, o czym się rozmawiało. Informowali, kto jest sympatykiem Solidarności, ma kontakty z podziemiem, bo pokazywał im literaturę drugiego obiegu.

Niemiecka bezpieka inwigilowała także Solidarność. – W 1980 r. Stasi zaszeregowała Polskę jako tzw. teren operacyjny, tak jak wszystkie kraje wrogie. Niezależnie od polskiej bezpieki, próbowała prowadzić swoich agentów, niszczyć Solidarność tam, gdzie było to możliwe. Informatorami byli nie tylko Polacy, lecz także obywatele NRD – stwierdziła dr Hanna Labrenz-Weiss.

Stasi w latach 80. miała w Polsce ok. 0,5 tys. agentów i informatorów. Byli wśród nich nie tylko Niemcy, lecz także Polacy

AGENT OBOK TUSKA

W Niemczech ujawniono (a w Polsce powtórzono), że jednym z agentów Stasi w środowisku Solidarności był Detlef Ruser, pracownik naukowy uniwersytetu w Rostocku, który mieszkał w Gdańsku. Pod koniec lat 70. ożenił się z Zofią, Polką. Został zwerbowany i pracował dla Stasi już w 1971 r., jako współpracownik najwyższej kategorii (IM) o pseudonimie Henryk. Był gorliwym donosicielem. Przekazywał oficerowi prowadzącemu podziemne gazetki i dostarczał kasety wideo. Ruser spotykał się towarzysko z redaktorami, przychodził także na spotkania Klubu Myśli Politycznej im. Konstytucji 3 Maja, w którym działał Tusk. Robił dużo zdjęć, tłumacząc, że to na pamiątkę. Ostatni raport z Polski wysłał kilka dni przed upadkiem muru berlińskiego. Ruser nie zniknął. Mieszka w Trójmieście. Pytanie, co robi teraz?

eprasa.pl e67cdd99de

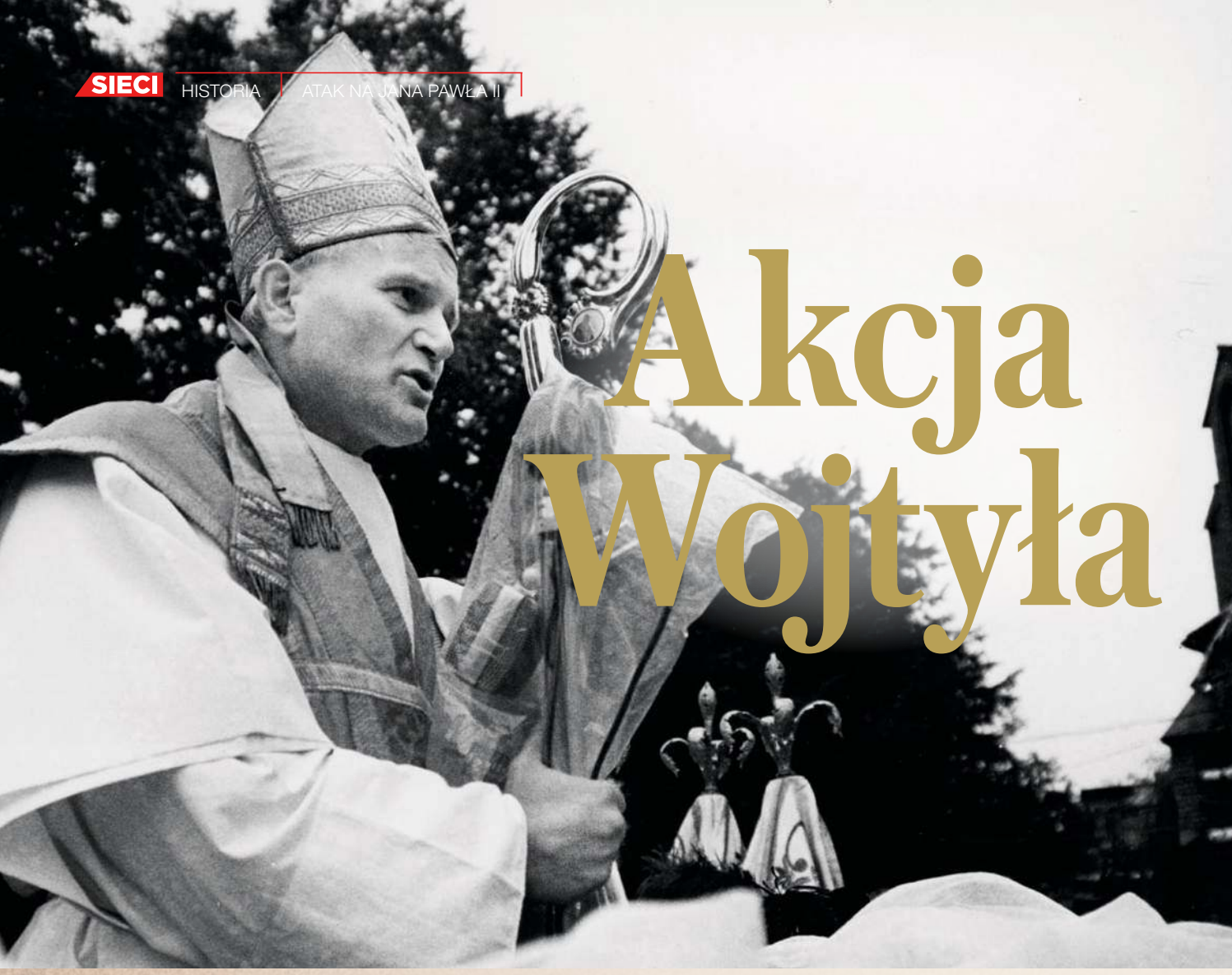

Akcja Wojtyła

W latach, gdy Karol Wojtyła przebywał w Krakowie, działania służb wobec biskupa krakowskiego nie były czymś wyjątkowym. Stanowiły element walki komunistycznego państwa z Kościołem. Ks. Wojtyła był zapewne „obiektem specjalnej uwagi" ze względu na swoje rosnące znaczenie w Kościele, charyzmę, inteligencję i łatwość nawiązywania relacji z ludźmi

Gdy tylko Karol Wojtyła wstąpił do seminarium, służby założyły mu teczkę. Podobnie jak wszystkim kapłanom. Żadna inna grupa społeczna w PRL tego „zaszczytu" nie dostąpiła. Walka z Kościołem była i jest jedynym pewnym oraz niezmiennym punktem programu komunizmu, lewicy, a także masonerii czy modnego dziś genderyzmu. Wszelkie metody są dopuszczalne. Każda informacja o ludziach Kościoła była i jest przydatna.

METODY

Te zmieniały się w zależności od czasu i potrzeb. Po opanowaniu Rosji bolszewicy zastosowali prostacką metodę – masowo mordowali kapłanów, wysadzali w powietrze kościoły i cerkwie, wprowadzili ateizm państwowy. Czerpali zresztą z doświadczeń rewolucji francuskiej i ludobójstwa katolików w Wandei. Zresztą z tych metod nigdy nie zrezygnowano, dzisiaj to chrześcijanie są największą w świecie grupą społeczną poddawaną systemowemu ludobójstwu.

W Polsce przyjęto inną metodę, chociaż pamiętajmy, że nigdy nie zrezygnowano z mordowania księży. Polegała ona na osłabianiu i rozbijaniu Kościoła od wewnątrz. Stosowano metodę nazywaną w tajnych służbach dosadnie: „Korek, worek i rozporek". Innymi słowy: alkoholizm, miłość do pieniędzy połączona z miłością własną (dzi-

Fot. NAC

eprasa.pl e67cdd99de

siaj mówimy o „ciągu na szkło" czy byciu celebrytą w sutannie) i wreszcie seks.

To właśnie do realizacji tej metody walki z Kościołem była przydatna każda informacja dotycząca kapłana. Kard. prymas Wyszyński wprowadził niepisaną zasadę, że treść rozmowy kapłana z przedstawicielami władzy – czy to administracyjnej, czy policyjnej – powinna być przekazywana przełożonym, zwykle w formie notatki bądź sprawozdania. Najważniejsze były informacje od księży biskupów – tworzyły one obraz aktualnych kierunków tzw. polityki wyznaniowej państwa. To było ważne dla działań podejmowanych przez prymasa, sekretarzy generalnych Episkopatu i ich zastępców.

Pracowałem w Sekretariacie Episkopatu Polski, w biurze ks. dyrektora Alojzego Orszulika (później biskupa łowickiego), od stanu wojennego do okrągłego stołu. Współpracowałem z nim do jego śmierci w 2019 r. Gdy był już na emeryturze, rozmawialiśmy wiele i wiele mi wyjaśnił. W tamtym czasie dosyć powszechnie były znane działania zmierzające do tworzenia wokół biskupa krakowskiego aury skandali obyczajowych. UB, a następnie Służba Bezpieczeństwa, jeżeli nie miały materiałów służących do wpływania na kapłana dzięki wiedzy o sprawach obyczajowych – same je tworzyły. W sytuacji gdy nie wchodziło w grę pozyskania agenta, preparowano materiały, które miały mu zepsuć reputację, utrudnić rozwój, awanse... Bo taki kapłan był niebezpieczny dla komunizmu, mógł zajść za wysoko. Trzeba było go zniszczyć.

Wiedzieliśmy np., że otwartość ks. Karola Wojtyły na kontakty z ludźmi, chęć pomocy bliźnim w potrzebie i kłopotach stały się pretekstem do tworzenia fikcyjnych kochanek księdza. Próbowano przypisać mu nawet ojcostwo dziecka jednej z tych kobiet. Te fałszywki puszczano w obieg. Bywa, że i dzisiaj gdzieś się pojawiają... Pamiętam, że takich akcji „kochanka" było bodaj cztery. Ostatnia szczególnie perfidna – prowadził ją późniejszy morderca ks. Popiełuszki, Grzegorz Piotrowski. Późniejszy współpracownik pisemka „Fakty i Mity", z którego obficie czerpie wiedzę autorytet „Gazety Wyborczej" i TVN, holenderski dziennikarz Ekke Overbeek.

O LEGALIZACJĘ PEDOFILII

Było wiele powodów, dla których policja polityczna darzyła bp. Wojtyłę szczególną niechęcią. Np. nie mogli mu zapomnieć kompromitacji nowohuckiej. Po wielu bojach zgodzono się na budowę Arki Pana w Nowej Hucie pod warunkiem, że proboszczem zostanie ksiądz patriota, czyli spolegliwy wobec władzy. I owszem – biskup nominował takiego „lojalnego" ks. Józefa Gorzelanego, który wybudował kościół. Po latach jednego z bardziej znienawidzonych przez SB kapłanów solidarnościowych!

Moim zdaniem była jeszcze jedna kompromitacja, której nie mogły wybaczyć służby i dzisiaj nie mogą wybaczyć wykonawcy testamentu SB. Nie udało się stworzyć silnej dokumentacji na kardynała wskazującej, że jest odpowiedzialny za ukrywanie przestępstw seksualnych. Kardynał postępował w takich sprawach zgodnie z prawem kościelnym. Ba, w przypadku ewidentnym stworzył warunki do świeckiego postępowania i skazania przestępcy.

Wreszcie pamiętajmy, że już od lat 60. ub.w. zaczęła się w Europie, konkretnie w Holandii, akcja legalizacji pedofilii. Do tego było potrzebne stworzenie społecznego przekonania, że pedofilia jest zjawiskiem powszechnym i normalnym, bo – patrzcie – nawet pojawia się w ostoi moralności, jaką jest Kościół. W Holandii było to o tyle łatwe, że katolicyzm od XVII w. był słaby w porównaniu z kalwinizmem, który w symbiozie z działalnością Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej wymienił kult boży na kult pieniądza. Nie życie wieczne, a życie doczesne z jego wszelkimi uciechami stało się ważniejsze. Tworzono nową moralność. Eksperyment holenderski w dużej mierze się udał. Nie udało się (jeszcze?) zalegalizować pedofilii, ale mordowanie dzieci nienarodzonych, eutanazję, małżeństwa homoseksualne – już tak. W 1985 r. ks. Orszulik wysłał mnie jako przedstawiciela Biura Prasowego KEP na pielgrzymkę Jana Pawła II do Holandii. Obserwowałem wściekłą reakcję środowisk spod tęczowej flagi na jego obecność i nauczanie. Było jasne, że bez rozpoczęcia procesu czyszczenia Kościoła holenderskiego się nie obejdzie. Ten długi i kosztowny proces rozpoczął się wtedy, wcale nie pod wpływem nagonki medialnej.

Jednym słowem, dokumentacji na kard. Wojtyłę nie udało się stworzyć. Nie udało się zablokować decyzji konklawe w 1978 r. Kard. Karol Wojtyła został Janem Pawłem II i wybierał się do Polski...

Kilka lat temu, gdy zaczęły się pojawiać coraz mocniejsze ataki na Kościół – a konkretnie na biskupów bliskich Janowi Pawłowi II – na całym świecie, analiza, którą wykonałem, wskazywała, że nadchodzi moment frontalnego ataku na papieża. I trzeba się do tego przygotować. Zdziwiło mnie jednak, że wyciągnięto skompromitowane dokumenty. Cieniutkie, których sam Departament IV MSW (ten od walki z Kościołem) nie wykorzystał do 1989 r. A mieli co najmniej dwie poważne okazje.

PIELGRZYMKI DO POLSKI

Pierwsza była w 1979 r., a druga w 1983 r. – w związku z pielgrzymkami Jana Pawła II do Polski. W przypadku tej drugiej ks. dyrektor Orszulik pokazał mi poufnie, jak powiedział, dostarczoną anonimowo z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do Sekretariatu notatkę płk. Tadeusza Grunwalda z 1 lipca 1982 r. pt. „Zadania do problematyki kościelnej do realizacji przez Dp. IV".

W tej notatce ani w załączonej do niej, za to wcześniejszej, bo z 31 maja 1982 r., „Instrukcji do walki z Kościołem napisanej w IV Departamencie MSW" nie ma słowa, by wykorzystać materiały natury obyczajowej przeciw pielgrzymce papieża do ojczyzny. Bowiem o to w tych dokumentach chodziło, by z jednej strony spróbować storpedować pomysł zrealizowania przyjazdu Ojca Świętego, a z drugiej zminimalizować szkody, które to przyniesie.

A przecież aż się prosiło! W pkt. 2 notatki płk Grunwald pisze: „Zaabsorbować Kościół sprawami wewnętrznymi, aby nie miał czasu na działalność polityczną (np. wywoływać i podsycać konflikty i nieporozumienia wewnętrzne i zróżnicowanie stanowisk wobec różnych problemów, powodować załamania się jedności działania)". I dalej w pkt. 11: „Prowadzić szczegółową dokumentację działań i postaw każdego duchownego,

eprasa.pl e67cdd99de

jego zapatrywań, stosunku do hierarchii itp. Proszę o pilne podjęcie w bieżącej pracy dezintegracyjnej następujących tematów: nadmiernego bogacenia się duchowieństwa i hierarchii; gwałtownego wzrostu budownictwa sakralnego, zwłaszcza po 1980 r. Proponujemy podnoszenie tej tematyki m.in. poprzez: inspirowanie artykułów w prasie lokalnej; omawianie problemów we własnych biuletynach i wydawnictwach kontestacyjnych; inspirowanie listów, petycji itp. do środków masowego przekazu, lokalnych i centralnych władz państwowych i kościelnych, wojewódzkich instancji partyjnych w formie autentycznych skarg...".

Proszę zauważyć, że ten sposób działania przez cały okres komunizmu w Polsce się nie zmieniał, wytyczne postępowania powędrowały z oficerami SB także do niektórych telewizji i gazet po 1989 r. Nawet gdy czas wykluczał oficerów służb policyjnych PRL z dalszej aktywności, to zdążyli uformować swoich uczniów i następców! To się da zauważyć dzisiaj gołym okiem...

W walce z Kościołem metody modyfikowano, cel pozostawał: dezintegracja, skłócanie, pozyskiwanie i wykorzystywanie agentury, osłabienie i odseparowanie duchownych od społeczeństwa.

Przed pierwszą pielgrzymką w 1979 r. „dyrektor Departamentu IV MSW gen. bryg. K.[onrad] Straszewski" – jak jest w oryginalnym dokumencie – rozesłał do zespołów operacyjnych w komendach wojewódzkich milicji (m.in. do Adama Pietruszki, tego od morderstwa ks. Popiełuszki, i do wcześniej wspomnianego Tadeusza Grunwalda) „Wytyczne w związku z wizytą Jana Pawła II". Wizytę służby miały wykorzystać do: „zaktywizowania pracy operacyjnej z posiadaną agenturą [...], podjęcia rozmów polityczno-operacyjnych z biskupami, kurialistami oraz innymi duchownymi świeckimi i zakonnymi pełniącymi eksponowane stanowiska w Kościele (nb. z tego dokumentu dowiedziałem się, że istnieją »świeccy duchowni«), neutralizacji księży znanych z negatywnych postaw[...]".

Skoro władze nie chciały widzieć Jana Pawła II w Polsce, czy nie mogły wykorzystać w rozmowach polityczno-operacyjnych z biskupami materiałów prokurowanych w Krakowie? Przeczytałem, bo mam, protokół z posiedzeń reaktywowanej w 1980 r. dzięki Solidarności Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu, dokumenty z rozmów bp. Bronisława Dąbrowskiego (sekretarza generalnego KEP) z najwyższymi przedstawicielami władz PRL, znałem także dokumenty ks. dyrektora Alojzego Orszulika, zastępcy sekretarza KEP. Nigdy oficjalnie władze nie położyły na stole tych „kwitów", grożąc ich upublicznieniem.

Tuż po pielgrzymce – dokładnie 18 lipca 1979 r., między godz. 12.30 i 13.30 w URM w Al. Ujazdowskich w Warszawie – bp Bronisław Dąbrowski rozmawiał z premierem PRL Piotrem Jaroszewiczem, który mówił wręcz o wielkim i obiecującym pontyfikacie papieża Jana Pawła II, a jednocześnie, dla równowagi, zapowiedział... aresztowanie i sąd dla bp. Ignacego Tokarczuka!

„Akcja Wojtyła" – jak mówiliśmy, bo o niej było wiadomo z tych samych źródeł, które dostarczały z MSW tajne papiery – nie przyniosła efektów, materiały były słabiutkie, na kilometr pachniały fałszem. Po 1989 r. ks. Orszulik był przekonany, że szef SB Kiszczak kazał je spalić jako kompromitujące służby. Jak widać, niektórzy oficerowie coś zachowali i puszczają w obieg sukcesywnie po latach, gdy młodzi nie pamiętają ani nie rozumieją tamtych czasów. Dziś można wciskać ciemnotę!

> SB nie udało się stworzyć silnej dokumentacji na kard. Wojtyłę, wskazującej, że jest odpowiedzialny za ukrywanie przestępstw seksualnych. Kardynał postępował w takich sprawach zgodnie z prawem kościelnym. Ba, w przypadku ewidentnym stworzył warunki do świeckiego postępowania i skazania przestępcy

* * *

Często słyszę pytanie, czy niektórzy ludzie z TVN, specjalizujący się w zohydzaniu Jana Pawła II i w ogóle Kościoła katolickiego, pracują uformowani przez dawnych oficerów SB, ich następców i na ich dokumentach. Moim zdaniem zimna analiza na to wskazuje. Mało kto pamięta, że TVN powstał dzięki współpracownikom SB i – jak mówiono – użyto pieniędzy tajnych służb PRL z FOZZ. Jedna z gwiazd tej stacji do przejęcia przez kapitał amerykański miała być „strażnikiem kasy" TVN.

Discovery to część Warner Bros., która dopiero w marcu 2022 r. zawiesiła emisję swoich 15 stacji telewizyjnych i wielu platform internetowych w Rosji. Czyniła to przez joint venture z holdingiem Nacionalnaya Media Gruppa, czyli nadawcą kremlowskiej sieci Pierwyj Kanał. Powtarzam – zawiesiła. Nie znalazłem informacji, by zerwała spółkę. Prezes Warner Media Jason Kilar ogłosił, że śledzą sytuację i uwzględniając ją, będą podejmować przyszłe decyzje biznesowe. Jak się znam na biznesie, to właściciel TVN wisi na kremlowskiej łasce i wyraźnie czeka na powrót do zarobków na rosyjskim rynku. Założyciele TVN mieli tu być pomocni. SB PRL była filią służb specjalnych ZSRS, a w Rosji interesów do dzisiaj nie robi się bez ich udziału. Moja ocena jest taka, że nie kupowano telewizji w Polsce, a kupowano ludzi i ich kontakty w Rosji. Czy można coś dodać do informacji przekazanej przez polski rząd władzom USA, że mamy do czynienia z wojną hybrydową na zlecenie, destabilizującą sytuację w kraju frontowym w czasie wojny? Czy służy to polityce naszego sojusznika? Odpowiedź nie należy do mnie.

Sławomir Siwek

Autor w latach 1982–1989 pracował w Sekretariacie Konferencji Episkopatu Polski, współpracował z prymasem Polski kard. Józefem Glempem, będąc m.in. rzecznikiem prymasowskiego Komitetu Organizacyjnego Fundacji Rolniczej i współredaktorem wydawanego w Wiedniu kwartalnika „Znaki Czasu". Po 1989 r. m.in poseł na Sejm I kadencji, wiceprezes TVP

Reklama | 49/0323/F

eprasa.pl e67cdd99de

Kasa Stefczyka z dumą wsparła uroczystość wręczenia wyróżnień

Święty Jan Paweł II
Odkrywajmy prawdę

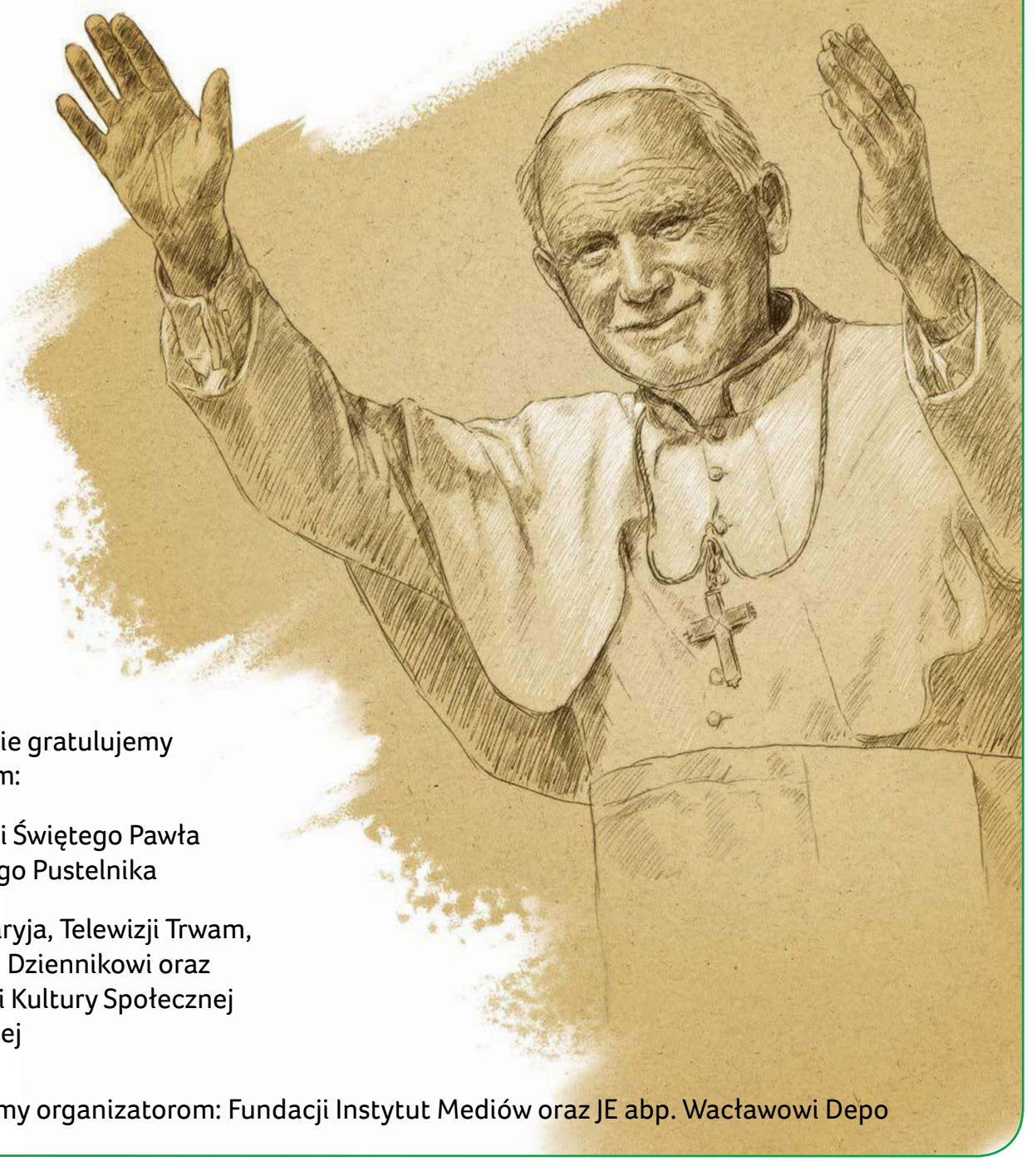

Serdecznie gratulujemy laureatom:

Zakonowi Świętego Pawła Pierwszego Pustelnika

Radiu Maryja, Telewizji Trwam, Naszemu Dziennikowi oraz Akademii Kultury Społecznej i Medialnej

Dziękujemy organizatorom: Fundacji Instytut Mediów oraz JE abp. Wacławowi Depo

30 LAT KASA STEFCZYKA

eprasa.pl e67cdd99de

Wychowawca wolnych ludzi

14 marca 2023 r. Instytut Pamięci Narodowej poinformował, że śmierć ks. Franciszka Blachnickiego nastąpiła w 1987 r. na skutek zabójstwa przez podanie śmiertelnych substancji toksycznych. Wykazało to śledztwo przeprowadzone w Polsce oraz na terenie Niemiec, Austrii i Węgier przez Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach. Kolejnym krokiem będzie ustalenie sprawców tego mordu

ROBERT DEREWENDA

Ks. Franciszek Blachnicki (1921–1987) jest współcześnie znany głównie jako twórca Ruchu Światło-Życie. Ten masowy, a zarazem elitarny ruch wpłynął na współczesne oblicze Kościoła w Polsce, a także samej Polski. Doświadczenie wspólnych modlitw, śpiewów czy zaangażowania w Eucharystię pozostawiło w młodych ludziach niezatarty ślad. Od tej pory Kościół kojarzy im się nie tylko z hierarchią, lecz także ze wspólnotą osób, a modlitwa nie tylko z pacierzem, lecz także z osobistym spotkaniem z Bogiem. Taki był cel oaz, który postawił przed Ruchem Światło-Życie ks. Blachnicki. Chodziło o wychowanie pokoleń katolików, którzy będą traktowali Kościół jako swoje miejsce i będą za niego potrafili wziąć odpowiedzialność.

* * *

Ks. Blachnicki za swoją postawę niemal przez cały okres swojego dorosłego życia był prześladowany przez dwa totalitaryzmy XX w. W czasie wojny za działalność konspiracyjną został zesłany do obozu w Auschwitz. Został skazany przez sąd niemiecki. W celi śmierci w oczekiwaniu na wykonie wyroku śmierci (17 czerwca 1942 r.) nawrócił się i całe dalsze życie oddał Bogu. Ostatecznie kara śmierci została zamieniona na długoletnie więzienie. Po wojnie jego działalność i niezłomna postawa sprowadziły na niego prześladowania władz komunistycznej Polski. Za działalność trzeźwościową (Krucjatę Wstrzemięźliwości z lat 1957–1960) w 1960 r. został osadzony w areszcie i skazany. Brak wolności zewnętrznej wyzwolił u Blachnickiego silne poczucie wolności wewnętrznej.

Ogromny rozmach działalności ks. Blachnickiego niemal nie znajduje porównania w tej części Europy w drugiej połowie XX w. W warunkach komunistycznego państwa stworzył masowy ruch, który swoim programem objął setki tysięcy młodzieży. Ruch oazowy to całościowa pedagogia wychowania, w której wyrosły nie tylko jednostki, lecz także całe środowiska. W przyszłości ci ludzie zaangażowali się w tworzenie lokalnych struktur Solidarności. Tworzyli niezależne organizacje, drukarnie i strajki. Współcześnie wychowankowie ks. Blachnickiego są zaangażowani w wielu środowiskach kościelnych i społecznych.

* * *

Ostatnie lata życia ks. Blachnicki spędził na przymusowej emigracji na Zachodzie. Tuż przed stanem wojennym wyjechał do Rzymu, by tworzyć Międzynarodowe Centrum Ewangelizacji. Nie mogąc powrócić do kraju, zamieszkał w polskim ośrodku w Carlsbergu w RFN. Zorganizował tam Międzynarodowe Centrum Ewangelizacji Światło-Życie. Za wzór organizacji codziennego życia postawił Niepokalanów o. Maksymiliana Kolbego. W Carlsbergu rozwinął działalność Niezależnej Chrześcijańskiej Służby Społecznej, przekształcając ją najpierw w Chrześcijańską Służbę Pomocy Polsce, a następnie w Chrześcijańską Służbę Wyzwolenia Narodów. Ks. Blachnicki dostrzegał podobieństwo losów narodów, które znalazły się w wyniku postanowień jałtańskich albo w samym Związku Sowieckim, albo pod jego protektoratem. W tym czasie w polityce Europy Zachodniej system pojałtański uważano za nienaruszalny. Mówiono, że próba wyzwolenia Europy Środkowo-Wschodniej może wywołać nuklearną wojnę z Sowietami.

Działalność ChSWN zmierzała do wyzwolenia Europy Środkowo-Wschodniej spod panowania Sowietów przez wyzwolenie z wewnętrznego lęku, który system komunistyczny wprowadzał u swoich obywateli. Z ChSWN związało

Fot. Paweł Kaniuk, ks. Józef Grygotowicz – Archiwum Główne Ruchu Światło-Życie

eprasa.pl e67cdd99de

Ks. Franciszek Blachnicki podczas oazowego dnia wspólnoty w Centrum Ruchu Światło-Życie na Kopiej Górce w Krościenku nad Dunajcem. 1979 r.

się wielu emigrantów z Polski i krajów Europy-Środkowo-Wschodniej. Organizowano specjalne sympozja, podczas których przedstawiano dążenia wolnościowe narodów pozbawionych praw do samostanowienia i niezależności politycznej oraz przestrzegania praw osobistych człowieka. Sympozja organizowane przez ChSWN miały swoją niekwestionowaną rangę edukacyjną, tym bardziej że wieńczyły je ważne dokumenty, jak Deklaracja carlsberska czy Manifest wyzwolenia narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Powstały specjalne grupy robocze: czesko-polsko-słowacka czy polsko-ukraińska, które pracowały nad zbliżeniem sąsiadujących z sobą narodów z myślą o nowym ładzie postsovieticum. Dla członków ChSWN zorganizowano Studium Wyzwolenia Społecznego. Celem SWS było przygotowanie terenowych działaczy społecznych, a nie tylko specjalistów teoretyków. Najbardziej spektakularną akcją podejmowaną przez ChSWN były Marsze Wyzwolenia Narodów. Ich celem było zainteresowanie opinii publicznej Zachodu niesprawiedliwym stanem narodów Europy Środkowo-Wschodniej, pozbawionych wolności, niezależności i niepodległości.

> Ks. F. Blachnicki: „Tylko człowiek wolny, może innych wyzwalać. Chodzi nam właśnie o wychowanie pokolenia wolnych ludzi, którzy podejmą misję wyzwolenia współczesnego człowieka i współczesnego świata”

Idee ChSWN propagowano również na falach polskiej sekcji Radia Wolna Europa. Ks. Blachnicki, będący częstym gościem RWE, obnażał istotę systemu komunistycznego i wzywał do wykazywania konkretnych postaw obywatelskiego nieposłuszeństwa. Taką okazją był według niego bojkot wyborów w PRL. Materiały o treściach wyzwoleńczych i patriotycznych przerzucano różnymi kanałami do kraju.

* * *

Tymczasem przeciwko ks. Blachnickiemu rozpoczęto nagonkę propagandową w Polsce i w Związku Sowieckim. Nazywano go m.in.: pasterzem kontrrewolucji („Mołodziec Estonii”, 24 lutego 1983 r.), dywersantem w sutannie („Komsomolskaja Prawda”, 5 lutego 1983 r.), męczennikiem za idee („Komsomolskaja Prawda”, 5 lutego 1983 r.), teologiem narodowej zdrady („Trybuna Ludu, 1 października 1984 r.), fanatycznym politykiem („Tu i Teraz”, 29 grudnia 1982 r.).

W 1984 r. kontakt z ks. Blachnickim nawiązali agenci wywiadu PRL: Jolanta (pseudonim Panna) i Andrzej Gontarczykowie (pseudonim Yon). Do RFN zostali przerzuceni wrześniu 1982 r. z zadaniem realizowania „ofensywnych działań wywiadowczych” wobec środowisk emigracyjnych w RFN. Na początku 1984 r. otrzymali polecenie nawiązania kontaktu z ks. Franciszkiem Blachnickim. Małżeństwo z dzieckiem, wcześniej w Polsce zaangażowani w działania Solidarności, wyglądali na jedną z wielu polskich rodzin emigrantów lat 80. Zdobywszy zaufanie ks. Blachnickiego, przenieśli się z Düsseldorfu do Carlsbergu. Do zadań operacyjnych pary agentów należało kontrolowanie działalności ośrodka Marianum i wpływanie na kierunki działań ChSWN, rozpracowywanie kontaktów

eprasa.pl e67cdd99de

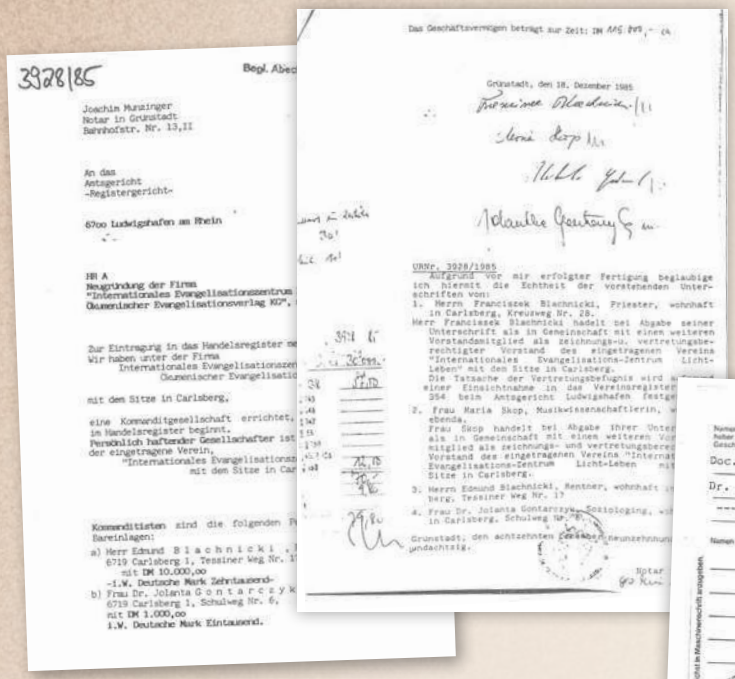
3928/85

Begl. Abschr.

Joachim Munzinger
Notar in Grünstadt
Bahnhofstr. Nr. 13,II

An das
Amtsgericht
-Registergericht-

6700 Ludwigshafen am Rhein

HR A
Neugründung der Firma
"Internationales Evangelisationszentrum
Ökumenischer Evangelisationsverlag KG".

Zur Eintragung in das Handelsregister m
Wir haben unter der Firma
Internationales Evangelisationsze
Ökumenischer Evangelisatio
mit dem Sitze in Carlsberg,

eine Kommanditgesellschaft errichtet,
in Handelsregister beginnt.
Persönlich haftender Gesellschafter ist
der eingetragene Verein,
"Internationales Evangelisationsz
mit dem Sitze in Car

Kommanditisten sind die folgenden P
Bareinlagen:
a) Herr Edmund B l a c h n i c k i ,
6719 Carlsberg 1, Tessiner Weg Nr. 1
mit DM 10.000,00
-i.W. Deutsche Mark Zehntausend-
b) Frau Dr. Jolanta G o n t a r c z y k
6719 Carlsberg 1, Schulweg Nr. 6,
mit DM 1.000,00
i.W. Deutsche Mark Eintausend.

Das Geschäftsvermögen beträgt zur Zeit: DM 105.000,- DM

Grünstadt, den 18. Dezember 1985

URNr. 3928/1985
Aufgrund vor mir erfolgter Fertigung beglaubige ich hiermit die Echtheit der vorstehenden Unterschriften von:
1. Herrn Franciszek Blachnicki, Priester, wohnhaft in Carlsberg, Kreusweg Nr. 28.
Herr Franciszek Blachnicki handelt bei Abgabe seiner Unterschrift als in Gemeinschaft mit einen weiteren Vorstandsmitglied als zeichnungs-u. vertretungsberechtigter Vorstand des eingetragenen Vereins "Internationales Evangelisations-Zentrum Licht-Leben" mit den Sitze in Carlsberg.
Die Tatsache der Vertretungsbefugnis wird a einer Einsichtnahme in das Vereinsregister 354 beim Amtsgericht Ludwigshafen festge
2. Frau Maria Skop, Musikwissenschaftlerin, w ebenda.
Frau Skop handelt bei Abgabe ihrer Unter als in Gemeinschaft mit einen weiteren Vor mitglied als zeichnungs- und vertretungsberec Vorstand des eingetragenen Vereins "Internat Evangelisations-Zentrum Licht-Leben" mit Sitze in Carlsberg.
3. Herrn Edmund Blachnicki, Rentner, wohnhaft i berg, Tessiner Weg Nr. 1?
4. Frau Dr. Jolanta Gontarczyk, Soziologing, w in Carlsberg, Schulweg Nr. 6.

Grünstadt, den achtzehnten Dezember neunzehnhun undachtzig.

Notar

Unterschriftsproben

Namen der vertretungsberechtigten Inhaber oder der Vorstandsmitglieder bzw. Geschäftsführer	Art der Unterschrift (siehe Spalte 3)	Unterschriften der vertretungsberechtigten Inhaber oder der Vorstandsmitglieder bzw. Geschäftsführer
Doc.Dr.Franciszek Blachnicki	E	
Dr. Jolanta Gontarczyk	E	

Namen der Prokuristen:

Unterschriften der Prokuristen:

Namen der Handlungsbevollmächtigten:

Unterschriften der Handlungsbevollmächtigten:

Die Namen der Unterschriftsberechtigten bitten wir möglichst in Maschinenschrift anzugeben.

*) E = einzeln (allein)
A = allgemein (mit jedem anderen Unterschriftsberechtigten gemeinsam)
B = beschränkt (nur mit einem „A" Unterschriftsberechtigten gemeinsam)

Zutreffendes bitte angeben!

Nicht benutzte Unterschriftsfelder bitten wir zu entwerten.

Odpis notarialny dokumentu potwierdzającego zarejestrowanie firmy – Ekumenicznego Wydawnictwa Ewangelizacyjnego (niem. „Ökumenischer Evangelisationsverlag KG") z siedzibą w Carlsbergu. Jako wspólnicy widnieją: brat Franciszka Blachnickiego – Edmund Blachnicki z wkładem wynoszącym 10 tys. marek niemieckich oraz Jolanty Gontarczyk z wkładem 1 tys. marek niemieckich

Własnoręczne podpisy stron uczestniczących w sporządzeniu aktu notarialnego, potwierdzającego zarejestrowanie firmy – Ekumenicznego Wydawnictwa Ewangelizacyjnego. Na piśmie widnieje podpis Franciszka Blachnickiego, jego brata – Edmunda Blachnickiego, Marii Skop oraz Jolanty Gontarczyk

Karta wzorów podpisu osób uprawionych do dysponowania rachunkiem bankowym Ekumenicznego Wydawnictwa Ewangelizacyjnego (niem. Ökumenischer Evangelisationsverlag KG): Franciszka Blachnickiego i Jolanty Gontarczyk

ks. Blachnickiego z Episkopatem Polski i z Watykanem oraz uzyskiwanie informacji o działalności ugrupowań emigracyjnych w RFN, a także rozpoznanie i nawiązanie styków ze służbami specjalnymi USA i RFN.

Ks. Blachnicki powierzał Gontarczykom coraz poważniejsze zadania. Już w czerwcu 1985 r. Jolanta Gontarczyk została prezesem Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów, a jej mąż doradcą zarządu ChSWN. W kwietniu 1986 r., dokonując reorganizacji wydawnictwa, ks. Blachnicki zlecił im kluczowe funkcje: Jolancie Gontarczyk – administrację, recepcję i dział ChSWN, Andrzejowi Gontarczykowi – redakcję techniczną, służbę informacji i studio audiowizualne.

Kiedy w grudniu 1985 r. ks. Franciszek Blachnicki założył Ekumeniczne Wydawnictwo Ewangelizacyjne (Ökumenischer Evangelisationsverlag KG), zostało ono zarejestrowane na brata ks. Blachnickiego Edmunda i na Jolantę Gontarczyk. Wydawnictwo otrzymywało od zaprzyjaźnionych protestantów stałe zlecenia na druki. W ciągu ostatnich 13 miesięcy życia ks. Blachnickiego na konto miało wpłynąć prawie 1,3 mln marek. Tymczasem w ośrodku w Carlsbergu brakowało pieniędzy nawet na opał i żywność. Konto Ekumenicznego Wydawnictwa Ewangelizacyjnego obsługiwała Jolanta Gontarczyk. Bankructwo finansowe ks. Blachnickiego zaś zakładano w działaniach przewidzianych dla małżeństwa agentów Jolanty i Andrzeja Gontarczyków.

Problemy finansowe ks. Blachnickiego chcieli rozwiązać zaprzyjaźnieni z nim od lat protestanci z amerykańskiego ruchu Agape. Jesienią 1986 r. ksiądz otrzymał od nich propozycję kontraktu na druk materiałów za kwotę 2 mln dol. Początek realizacji projektu przewidziano na wiosnę 1987 r. Tymczasem ks. Franciszek Blachnicki został zamordowany 27 lutego 1987 r. Gdyby otrzymał ten kontrakt, jego działalność na rzecz wyzwolenia Europy Środkowo-Wschodniej spod panowania Związku Sowieckiego mogła nabrać ogromnego rozmachu.

* * *

Wszystko wskazuje na to, że trudności przeżywane w Maximilianum i w Marianum były wynikiem działań dezintegrujących, prowadzonych przez dwoje agentów. O agenturalnej działalności Gontarczyków ks. Blachnicki miał się dowiedzieć 6 lutego 1987 r. Informację dostarczył Andrzej Wirga związany ze środowiskiem Solidarności Walczącej. Ks. Blachnicki miał poprosić o przekonujące dowody w tej sprawie. Takie miały dotrzeć do niego 26 lutego 1987 r. w przeddzień jego śmierci. Po powrocie z Maximilianum wezwał do swojego biura dwie najbliższe i zaufane współpracownice, Gizelę Skop i Zuzannę Podlewską, i powiedział im: „Gontarczykowie wykończyli Maximilianum". Słowa ks. Blachnickiego o zniszczeniu właśnie Maximilianum mogą wskazywać na to, że w tym czasie rozpoznał szkodliwą działalność Gontarczyków. Według relacji mieszkańców ośrodka w Carlsbergu następnego dnia, 27 lutego 1987 r., ks. Blachnicki odbył poważną rozmowę z Gontarczykami. Nie wiadomo, czy zdołał wyjaśnić sprawę, bowiem po południu niespodziewanie zmarł.

Autor jest doktorem nauk humanistycznym, historykiem KUL, dyrektorem lubelskiego oddziału IPN

Fot. Archiwum Główne Ruchu Światło-Życie

eprasa.pl e67cdd99de

Jego najgłośniejsi bohaterowie to Neo i John Wick. Wybraniec i płatny zabójca. Ten drugi, wśród zapierających dech w piersiach wyczynów 58-letniego Keanu Reevesa, właśnie po raz kolejny wkracza na ekran

Wick nadal mnie kręci

Fot. Murray Close/Lionsgate

eprasa.pl e67cdd99de

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

„Ten gość nie umie przyhamować. Całkowicie się angażuje. Miewa gorsze dni jak każdy z nas, czasami nie jest nawet w stanie się schylić i dotknąć stóp. Ale się nie poddaje, tylko zmienia bieg na inny i mówi: »OK, jestem tu i chcę poprawić to, co robię. Jak?«. W dodatku słucha, umie współpracować z innymi – to jakiś wariat" – tak Chad Stahelski, były kaskader i reżyser wszystkich filmów o Johnie Wicku, komentuje poczynania Keanu Reevesa.

PRZECHYTRZYĆ HOLLYWOOD

Stahelski, wielki fan japońskiego kina, nie ukrywa, że zasady, które rządzą światem „JW", zostały zaczerpnięte z filmów samurajskich. Dlatego zależało mu, żeby Reeves doskonalił się w różnorodnych sztukach walki. I Keanu zgłębiał tajniki wielu technik, uczył się władać nunchaku i strzelać (także z łuku). Przed wejściem na plan (na którym po raz kolejny stał się Wickiem), trenował po pięć godzin dziennie. Dzięki temu w większości scen nie korzystał z pomocy kaskaderów.

Metryka jednak robi swoje. Aktor nie ukrywa, że praca przy czwartej części „JW" była dla niego wyjątkowo wymagająca. Także dlatego, że zdecydowany wzrost liczby przeciwników, którzy chcą dorwać Wicka, oznaczał mnożenie się na ekranie spektakularnych scen akcji. W końcu jednak to one przyciągają do kina fanów gatunku. Osobną grupę widzów stanowią wielbiciele samego Keanu – współczesnego Bustera Keatona uwięzionego od lat w Matriksie, świecie zemsty i memach, aktora, który przechytrzył hollywoodzki system.

Bo też na długo przed pierwszymi Oscarami wręczonymi przedstawicielom azjatyckich nacji ten potomek Brytyjczyków, Chińczyków i mieszkańców Hawajów wspiął się na filmowy szczyt i mimo mieszanej krwi od lat na nim trwa, czerpiąc (w najgłośniejszych swoich rolach: Neo i Wicka) z doświadczeń wschodniej tradycji sztuk walki. Już na potrzeby „Matriksa", w 1999 r., zgłębił tajniki kung-fu.

Od pierwszej części sagi o Johnie Wicku (2014) jeszcze podszkolił swoje umiejętności oraz ich zakres. W najnowszej odsłonie Wick walczy z czyhającymi na jego życie przestępcami w największych miastach świata: od Nowego Jorku, przez Paryż i Berlin, po Osakę. „Tempo realizacji poszczególnych zdjęć było wręcz zabójcze" – wspomina Reeves. „Ale ta historia nadal mnie kręci" – zapewnia.

ZASKAKUJĄCY KOLEŚ

Cieniem na radości twórców znakomicie przyjmowanego „Johna Wicka 4" położyła się informacja o śmierci (17 marca, czyli cztery dni po światowej premierze) Lance'a Reddicka – odtwórcy roli Charona. A jeszcze nie tak dawno pytany, skąd się bierze ogromne zainteresowanie serią, aktor odpowiadał: „Pierwszy film był pełny napięcia i przedstawiał niesamowicie przyciągających bohaterów, którzy wykreowali nowy, dziwny świat. Jako widzowie nie do końca rozumieliśmy panujące w nim zasady, ale było to na tyle ciekawe, że daliśmy się w nie wkręcić".

Tak jak w jedyny w swoim rodzaju styl realizowania scen akcji, będący jakimś dzikim połączeniem sztuk walki i tańca. Swoje pierwsze przed kamerami spotkanie z Keanu, a właściwie z jego spojrzeniem, Reddick tak wspominał: „Ciarki mnie przeszły, bo wyglądało, jakby jego czarne oczy przenikały mnie na wskroś. Pomyślałem sobie: »O, k...a. Ten koleś jest naprawdę Johnem Wickiem. I jest przerażający«. Keanu, prawdziwy człowiek, nie jest taką osobą" – podkreślał.

Bo też Reeves wciąż zaskakuje zachowaniem dalekim od gwiazdorskiego. Jeździ np. metrem, gotowy jest usiąść na ziemi do posiłku z bezdomnym. W tajemnicy od lat dofinansowuje szpitale dziecięce. Część swoich zysków z kontynuacji „Matrixa" odstąpił ekipom odpowiedzialnym za efekty specjalne i pracę na planie (a mowa jest o niebagatelnej kwocie 70 mln dol.). Keanu kocha książki. Czyta je do ról, dla przyjemności lub ciekawych pomysłów, którymi może „ubogacić swoje uczestnictwo w burżuazyjnym wyścigu szczurów", jak określa bycie hollywoodzkim aktorem. Recytuje z pamięci Szekspira, żeby doskonalić się albo opanować stres, gdy osaczy go np. tłum superfanów.

NA INDEKSIE

Choć przecierał szlaki aktorom Azjatom, od ponad roku Keanu Reeves znajduje się na indeksie w Chinach. Powodem jest poparcie, którego udzielił walczącym o niepodległość Tybetu. W efekcie z chińskich platform streamingowych zniknęły filmy z jego udziałem, a „John Wick 4" nie będzie wyświetlany w kinach. Aktor jest także bojkotowany za pośrednictwem chińskich wyszukiwarek – jego nazwisko, zarówno w oryginale, jak i w chińskim tłumaczeniu, jest nie do odnalezienia. Keanu nie zajął wobec tej sytuacji stanowiska. Ciekawe, jak zareagowałby na nią Wick.

Fot. Murray Close/Lionsgate (2x)

Rachunki nas nie zaskoczą.
Nawet przy świątecznych porządkach!

Rząd we współpracy ze sprzedawcami energii elektrycznej wprowadził Rządową Tarczę Solidarnościową, by chronić nas, odbiorców, przed skutkami kryzysu energetycznego. Ceny energii netto dla gospodarstw domowych w 2023 r. zostały zamrożone na poziomie z ub.r. – w różnych limitach. Warto wykonać krok z drugiej strony – z głową gospodarować energią, by tych limitów nie przekroczyć

To nie chodzi o duże gesty. Oczywiście zawsze korzystna jest termomodernizacja domu czy wymiana AGD na te najbardziej energooszczędne. Ale zatrzymajmy się na tych środkach, którymi dysponujemy już teraz. Dobra analiza faktycznego zużycia energii w naszym gospodarstwie domowym pozwoli dostrzec, gdzie prąd ucieka nam przez palce. Kilka drobnych zmian nawyków może przynieść niespodziewane efekty.

Sięgnijmy po rady specjalistów. Krajowa Agencja Poszanowania Energii (KAPE) na zlecenie Polskiego Komitetu Energii Elektrycznej (PKEE) opracowała proste podpowiedzi, jak obniżyć zużycie energii przez używany każdego dnia sprzęt domowy.

Chłodziarko-zamrażarka działa niemal bez przerwy. Jednak im rzadziej otwieramy jej drzwi, tym mniej ciepła wpuszczamy do środka, nie zmuszając do pracy w celu dodatkowego obniżania temperatury. Każdy stopień Celsjusza, o który musimy ponownie obniżyć temperaturę wewnętrzną, to strata. Nawyk rzadszego otwierania drzwi pozwoliłby ograniczyć zużycie energii o 7 proc. – do 3,78 kWh tygodniowo!

Zmywarka załadowana do pełna to mniej cykli pracy, które potrafią przynieść oszczędność nawet 25 proc. – do 3,52 kWh/tydzień. Nie wahajmy się również korzystać z programów „eko", które wykorzystują niższą temperaturę wody w cyklu pracy urządzenia bez straty na jakości mycia naczyń.

Pralka pracuje wtedy i w taki sposób, jak sami o tym zdecydujemy. Nawet jeśli w naszym domu pralka jest włączana codziennie, korzystajmy z opcji energooszczędnych: nastawiając niższą temperaturę prania, a także inne parametry zgodnie z ilością i stopniem zabrudzenia odzieży. Dbajmy też o wypełnienie bębna, by liczba cykli prania była mniejsza. A na naszym rachunku zobaczymy o 40 proc. – do 0,38 kWh tygodniowo niższe zużycie prądu.

Piekarnik elektryczny w niektórych domach działa od święta – które zresztą już za pasem. Mazurki, serniki, makowce upieką się doskonale w… termoobiegu. I ta jedna opcja wystarczy, by ograniczyć zużycie prądu o 39 proc. – do 2,56 kWh na tydzień – nie tylko ten wielkanocny. Ponadto z analizy KAPE wynika, że piekąc ponad 30 min, można bez utraty efektu cieplnego wyłączyć piekarnik 10 min wcześniej, a zmagazynowane ciepło wystarczy do dokończenia procesu przygotowywania potrawy.

Odkurzacz także dużo napracuje się przed świętami. Poznajmy jego parametry i dopasujmy je do potrzeb. Gładkie podłogi odkurzajmy z mniejszą mocą silnika, siłę ssania podkręcając tylko podczas czyszczenia dywanów. Dbajmy o czystość sprzętu, wymieniając worki i filtry, a odwdzięczy się nam, obniżając rachunek do 31 proc., czyli nawet 1,35 kWh tygodniowo.

Małe AGD, takie jak **żelazko** czy drobny sprzęt kuchenny, ciągną prąd krótko, ale sporo. Poznajmy zalety modeli, które mamy. Używajmy ich roztropnie, np. gotując wodę na herbatę, odmierzajmy pojemność kubka czy wyłączajmy z gniazda zasilania opiekacze i gofrownice od razu po przyrządzeniu dania. Czy wiesz, że kiedy, prasując, użyjesz ręcznego spryskiwacza z wodą zamiast funkcji nawilżania ubrań, żelazko zużyje o 41 proc – do 2,85 kWh mniej na tydzień?

– Najtańsza energia to ta niezużyta – zauważył Włodzimierz Cupryszak, ekspert ds. regulacji Polskiego Komitetu Energii Elektrycznej. Nawet jeśli do przekroczenia limitów nam daleko, bądźmy mistrzami oszczędzania: by budować razem niezależność energetyczną i płacić niskie rachunki, dbając o sprzęt i w trosce o środowisko.

A co, jeśli zużyjemy więcej energii ponad przyznany nam w 2023 r. limit? Dzięki dodatkowemu mechanizmowi ceny maksymalnej nadal nie zapłacimy ceny rynkowej za kWh. Niezależnie od obowiązujących stawek i podwyżek na rachunku ze energię zużytą w 2023 r. ponad przyznany nam limit zobaczymy cenę 69 gr za 1 kWh.

Sprawdź rozwiązania Rządowej Tarczy Solidarnościowej u swojego sprzedawcy energii. Enea zaprasza klientów, którym przysługuje wyższy roczny limit ponad 2000 kWh do składania oświadczeń w terminie do 30 czerwca 2023 r.

(AR)

Artykuł sponsorowany | 30/0323/F

Fot. Shutterstock (2x)

eprasa.pl e67cdd99de

3 MIŁOŚCI

Włócznia i miecz

ROBERT TEKIELI

Powietrze stężało, można je nożem kroić, codzienność oblepia ci nogi jak kisiel, jak smoła. Nie potrafisz podnieść wzroku, łapiesz się na tym, że wzdychasz, łapiesz się na tym, że twoje palce żyją własnym życiem. Wszystko jest szare, nic nie ma smaku, nie cieszą przyjemności, jesteś wydrążony. Cokolwiek cię dotyka, niszczy: rozpadło się małżeństwo, rozpada się powoli, żona odleciała w NLP czy uzdrawianie kwantowe, zostałeś zdradzony przez przyjaciela, twoja córka mieszka z kobietą, twoja córka zabija się co dzień, całkowicie straciła szacunek do siebie. Jesteś samotny, niszczysz sobie życie alko, narko, porno. Ubezwłasnowolniłaś swojego syna nadopiekuńczością, żyje w lęku przed światem, nigdy złotówki nie zarobił. Twoja 13-latka kaleczy sobie przedramiona, żyjesz w nędzy, niedomagasz, praca cię zabija. Mąż zabrał ci dzieci, syn się zabił, córka umiera na raka... Cokolwiek cię niszczy, cokolwiek wbija w ziemię, miażdży, odbiera siły, sprawia, że budzisz się bardziej zmęczona, niż się kładłaś, że seriami dzieją się w twoim życiu złe rzeczy, że budzisz się z krzykiem, budzisz się śmiertelnie spocony, masz obce myśli, chcesz ranić, kaleczyć, upić się, uciec, wreszcie nie czuć, rzucasz się w kolejne beznadziejne miłości, kurwisz się z nienawiści do siebie, zgadzasz się na wykorzystywanie.

Widziałem cuda, widziałem uzdrowienia, widziałem, jak z każdej takiej sytuacji Bóg wyprowadzał mocną ręką setki osób, od ćwierć wieku widzę takie rzeczy. Jest nadzieja. To jest ten czas. Ufaj. Bóg przychodzi do konkretnej osoby.

Mówię, jak jest, nie oszukiwałbym kogoś na krawędzi. Wiem, czym jest beznadzieja, samobójcze myśli, jak mógłbym siebie zwodzić? Nie da się kłamać, gdy przed człowiekiem leży życie i śmierć, prawda i zwodzenie, rozpacz i nadzieja. Widziałem wyzwolonych, szczęśliwych ludzi, błyszczą im oczy, bo Bóg ich wyzwolił. Mężczyzna, który idąc zabić kochanka swojej kobiety, wbił nóż w serce przyjaciela, dziś znajduje szczęście w pielęgnowaniu umierających ludzi.

Wołałem w ucisku, Ty mnie wybawiłeś, Boże. Byłem martwy, Jezus mnie przytulił. Nienawidziłem, dziś czuję. Wstaniesz z łóżka, pójdziesz do ludzi, będą się dziwili: wyglądasz jakoś młodziej, jakby 10 lat ci ubyło, stary, ty się uśmiechasz, znam cię 15 lat, nie widziałem nigdy twojego uśmiechu, co się stało? Całkowite posłuszeństwo absolutnemu dobru wyzwala. Jestem wolny, całe życie do tego dążyłem. Cały mój bunt, niezgoda na świat, wszystko uleciało.

Nawracajcie się ku Bogu, bliski jest pokój w twoim sercu, radość jest na wyciągnięcie ręki, jesteś od szczęścia o jedną decyzję. Bóg jest moim Panem, słuchaj, wiem, co mówię.

Będziesz miłował Pana, Boga swego, z całego serca, całym umysłem, całą swoją duszą, z całej swojej woli. Wtedy będziesz mógł kochać bliźniego swego i kochać siebie samego. Boża miłość jak rzeka, rwący potok roztrzaska lody, runie wodospad na spękaną ziemię twojego serca, uleczą, zabliźnią się rany. Wróć do Boga, upadłeś, czołgasz się przez własną winę. Nie znasz Go? Poproś o pomoc, zawołaj: „O ile jesteś, ratuj!". Świat się zmieni, ty się zmienisz. Przetestowałem ten patent, działa, możesz mi uwierzyć.

Mówiłem do moich imperialnych zamysłów, do sukcesu, do skuteczności: „Mój boże!". Pławiłem się w samouwielbieniu, szkoda słów, szkoda czasu na ludzkie pomysły i plany. Bądź uwielbiony, Boże w Trójcy Jedyny. Jezus mnie piersią zasłonił. Ma ranę. Prowadź mnie, ślepca, Przyjacielu. Jestem wreszcie szczęśliwy.

Takie rzeczy piszę co dzień do czytań liturgicznych Kościoła. Złożyło się to na grubą książkę pod tytułem „Miłość zraniona". Ta książka to nie literatura, lecz życie, „teologia świadectwa", „litania z nadzieją w puencie". I taki komentarz: „Piszesz brednie. Facebook nie jest do tego. Od tego jest kościół. Dobry obyczaj to zachować swoje poglądy dla siebie, bo możesz kogoś urazić".

Póki jest czas, staraj się znaleźć po prawej stronie wagi. Dostaliśmy więcej. Kto wie, czym jest dobro i zło, i idzie w zło, lepiej, by nie szedł. Po co tracić życie na bezowocne uczynki ciemności? Jeśli myślisz, że idea grzechu się zużyła, zauważ chociaż swoje cierpienie.

Człowiek, który nie uświadomi sobie własnej odpowiedzialności za swoje życie, jeśli nie weźmie odpowiedzialności nawet za niezawinione krzywdy z dzieciństwa, jeśli nie przyzna się przed sobą: „Tak, byłem poniewierany", jeśli nie przebaczy swoim krzywdzicielom, jeśli nie otworzy serca na Boże, uzdrawiające światło, będzie się męczył i latami chodził w kółko w kieracie zranień. Ma na szyi pętlę, będzie ją miał, dopóki nie przebaczy, dopóki nie weźmie swojego ciężaru na własne ramiona. Jezus pomoże, ale trzeba chcieć ten ciężar podnieść. Idź do Maryi. Matka cię uleczy. Przez Jej ręce płynie moc Jezusa. Dwa serca. Miłość zraniona. Włócznia i miecz. Dla nas ratunek.

eprasa.pl e67cdd99de

No, nie wiem Ja, Klaudiusz, kretyn, wesołek, jąkała, jedyny mądry, przetrwałem dłużej niż ktokolwiek na dworze, gdzie intrygi, zabójstwa, przemoc, gwałty, spiski, kazirodztwo, czyli klasyczne antyczne barbarzyństwo i okrucieństwo. Ja, Klau-Klau-Klaudiusz, monstrum zaczęte, ale nie dokończone przez naturę, jak mówiła mi mama. „Ja, Klaudiusz" Roberta Gravesa – śliniący się Derek Jacobi, genialna kreacja historycznego fantasy. I inne postacie, bez których nie ma popkultury: Daenerys Targaryen, Gandalf, Frodo, Frankenstein, a ściślej twór dr. Frankensteina, bękart nowożytnej pychy i woli mocy człowieka, któremu nie wystarcza rodzić życie i chce je stwarzać. I kto jeszcze? Harry Potter, Piotruś Pan, Superman, Mały Książę, Neo, John Wick... Literatura, kino, komiks, czyli fikcja. Postacie, które się pamięta. I rzecz, o której obiecałem kilka tygodni temu napisać: „Ja, Jacek Piekara". Czy główna postać jego inkwizytorskiego cyklu pozostanie w pamięci ludzi na lata? Nie wiem.

Kolejna, 15. czy 18. odsłona serii, to powieść kryminalno-obyczajowa. „Ja, inkwizytor. Dziennik czasu zarazy", nowy tom przygód inkwizytora Madderdina o epidemii kaszlicy, jest statecznie napisany. Bez szaleństw fabuły, bez oszałamiająco ciekawych bohaterów drugoplanowych. Dwie postacie kobiece, figlarna wdówka i nastoletnia Kinga wychowana w przyklasztornej szkole, dokładnie takie same jak nieletnia Bogna i miłe panie obsługujące głównego bohatera „Dziennika 1954" Leopolda Tyrmanda. Tyle że Piekara ma lepszy smak i – trochę pospojleruję – jego bohater nie konsumuje, choć się wahał. Jest trochę chwytania się lewą ręką za prawy policzek: bohater uległ amnezji w wyniku prania mózgu, by nie pamiętać pewnych rzeczy ze swej historii niewygodnych dla Inkwizytorium. Ale to akurat przy tak wielotomowych cyklach rzecz nagminna, w „Dynastii" nie takie rzeczy robili scenarzyści.

Główny bohater pisanego już 20. rok cyklu Piekary jak z „Psów" Pasikowskiego: inteligentny gówniarz z pretensją do cynicznego bon motu. Tacy to byli chłopcy. Krew z krwi, kość z kości. Madderdin mówi Pasikowskim, to znaczy Gromosławem Czempińskim, a jakiej filozofii życiowej hołduje „Ja, inkwizytor"?. Zabij zdradliwe kurwy, weź łapówkę, bo i tak ktoś ją weźmie, są wielcy i maluczcy, rachunek strat, ciężar odpowiedzialności, lepiej zabić pięciu niewinnych, niżby miało ucierpieć całe miasto. I refleksja, że szczęśliwi mogą być tylko ludzie ograniczeni. Znużony cynizm, szczypta sentymentalizmu, połamany krzyż, dzika niechęć do kleru. I niezbędny w poczytnej prozie banał: „Nie od dziś przecież wiadomo, że jedynym lekarstwem na ambicje hołoty jest bat", pospólstwo buntuje się „nie tylko, gdy jest rozeźlone postępkami władzy lub przerażone katastrofami", również „gdy jest znużone pokojem albo gdy władca obchodzi się z nim zbyt rozumnie i łagodnie". Korwinizowanie nie jest tak odległe od pasikowszczyzny, wręcz przeciwnie.

Ale być może krzywdzę autora, bo przecież alternatywny świat Piekary to nasz świat, świat prawdziwy, tyle że bez Boga. W końcu jego Chrystus zszedł z krzyża i wytłukł, kogo trzeba, by objąć władzę nad ludzkością. I swoich prześladowców, i tych, którzy w niego nie uwierzyli.

„Wybaczcie, mistrzu inkwizytorze, ale tak czasami aż zazdrość bierze, że możecie sobie pomęczyć każdego człowieka i nikt wam złego słowa nie powie..." – tak laudowany jest przez ulicznika inkwizytor jego ekscelencji biskupa Hez-Hezronu. I jeszcze jeden cytat, tym razem dobrany tak, by ktoś nie pomyślał, że uprawiam sztukę obraźliwego pochlebstwa: „Pierwsze, co zobaczyłem, to bladą jak śmierć Kingę... kiedy dostrzegła, że to my, jej twarz rozjaśniła się w pełnym ulgi uśmiechu, a dziewczyna jednym gestem odrzuciła tacę i pobiegła w moją stronę. – Przyszedłeś po mnie, przyszedłeś po mnie! – wykrzyknęła łamiącym się głosem. – Wiedziałam, że przyjdziesz! [...] przywarła do mnie tak mocno, że mogło się wydawać, iż stanowimy jedno ciało, choć oddychające dwoma spazmatycznymi oddechami i bijące dwoma rozpędzonymi sercami.

Uniosła głowę, by spojrzeć na mnie. Miała błyszczące oczy i rozchylone usta. Zamarła w tej pozycji, ściskając mnie coraz mocniej i wpatrując się we mnie z jakimś niemal bolesnym pragnieniem. Była to chwila tak wielkiej bliskości, że miałem ochotę ująć twarz dziewczyny w swoje dłonie i pocałować ją mocno, by w tym pocałunku głębokim i intensywnym zanurzyć się i znaleźć nie tylko bliskość, lecz wyzwolenie od całej reszty świata. A świat istniałby tylko w tym, co ujrzałbym w jej oczach, ogromnych i błyszczących niczym najbliższe nam gwiazdy..." [s. 522–523]. Samo życie.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl e67cdd99de

Adamski

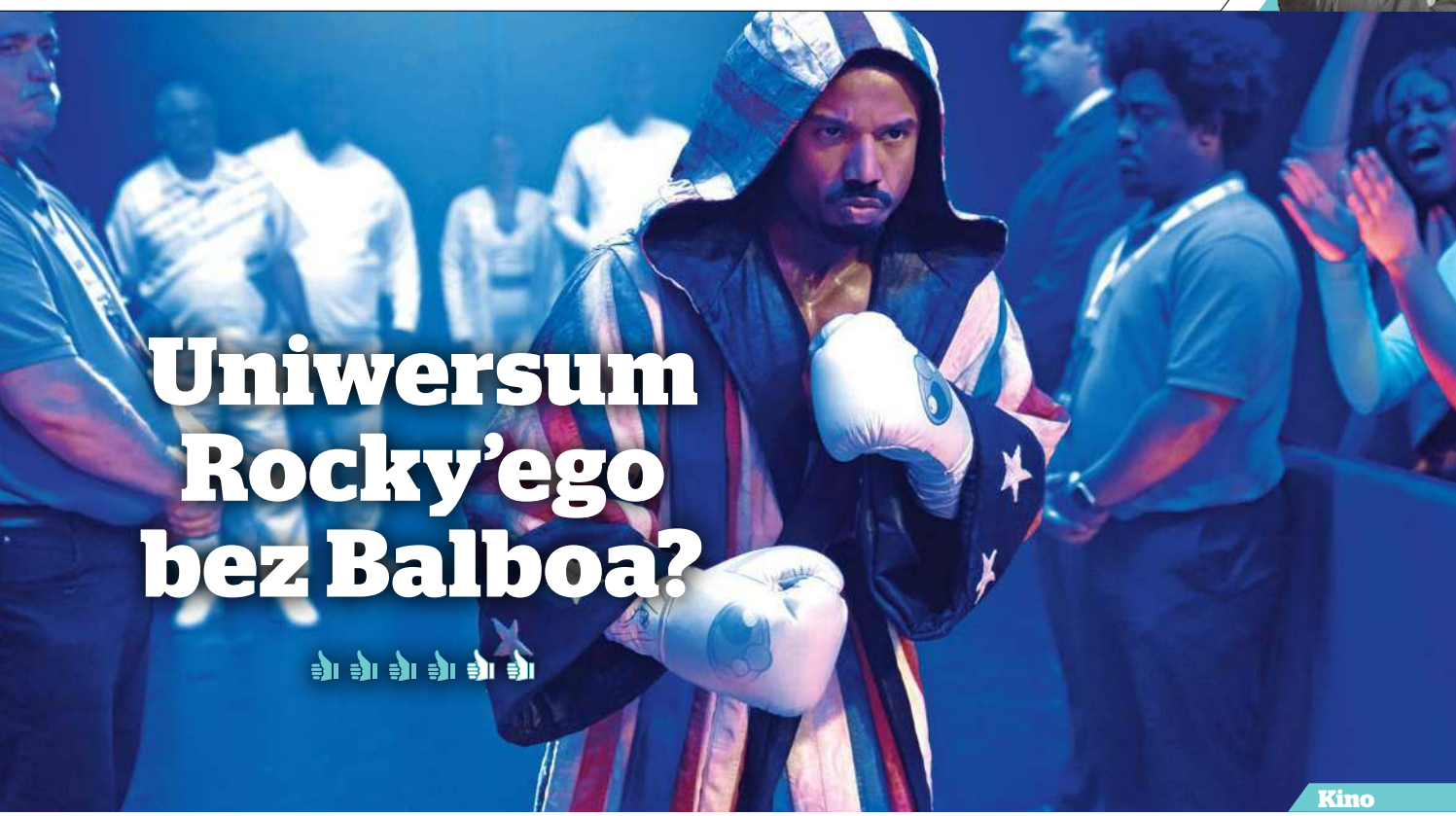

Uniwersum Rocky'ego bez Balboa?

Kino

W „Rocky III" (1982) Balboa jest zblazowanym i zmanierowanym czempionem, który nie ma nawet szansy na walkę z godnym siebie rywalem na ringu. Toczy więc pokazowe i charytatywne pseudowalki z Hulkiem Hoganem, gra w reklamach, odsłania swój słynny pomnik na schodach, po których niegdyś biegał w rytm muzyki Billa Contiego i pławi się w luksusach swojej willi. Niegdyś biedny i pijący surowe jajka chłopak z filadelfijskich ulic nędzy stracił „oko tygrysa", co udowadnia mu na ringu brutalny, uliczny zabijaka Clubber Lang (na polskich kasetach VHS nazwano go Waltem Maczugą) o twarzy Mr. T. Mistrz zostaje powalony na deski i traci wiarę w siebie. Rocky odzyskuje pas dopiero pod okiem swojego dawnego rywala, a potem przyjaciela Apolla Creeda (Carl Weathers), który przypomina mu, czym jest głód zwycięstwa i duch gladiatora. Mija 41 lat od tamtego filmu i syn Apolla, Adonis Creed (Michael B. Jordan), przeżywa to samo co Rocky. Jest zamożnym, spełnionym sportowym celebrytą, który szkoli kolejnych czempionów i pławi się w luksusie młodego emeryta, uznanego za jednego z najwybitniejszych bokserów w historii. Po 18 latach z więzienia wychodzi jego przyjaciel i bokserski mentor z dzieciństwa Damian (Jonathan Majors), który uważa, że powinien dostać szansę walki o tytuł.

Nie ma przy Adonisie już Rocky'ego (Sylvester Stallone), który w poprzednich dwóch spin-offach „Creed" wziął pod skrzydła nieślubnego syna swojego przyjaciela, zabitego na ringu przez sowiecką maszynę Ivana Drago i stworzył z niego wojownika lepszego niż legendarny ojciec. Rocky wygrał w tych dwóch znakomitych filmach (Stallone dostał nawet Złotego Globa i nominację do Oscara za powrót do roli Balboa) walkę z rakiem i pojednał się z Drago. Choć Stallone, który stworzył w 1976 r. (trzy Oscary dla pierwszego „Rocky'ego") jedną z najlepszych sag w historii amerykańskiego kina, nie chciał zupełnie oddawać serii, musiał (przez kwestię praw do postaci) się z nią rozstać. „Creed III" to pierwszy film serii (mamy już ich dziewięć) bez Rocky'ego na pokładzie. Ba, nazwisko Balboa pada w filmie tylko raz i nie widzimy go nawet na archiwalnych zdjęciach. Ten film jest również debiutem reżyserskim Michaela B. Jordana, który dostał reżyserskie lejce od reżysera pierwszego „Creeda" (2015) Ryana Cooglera, który czuwa nad serią teraz jako producent.

„Creed III" ma w sobie wszystkie najlepsze elementy trzeciej odsłony Rocky'ego i gładko udaje mu się uniknąć prawie wszystkich wpadek tamtego filmu. Szkielet pozostaje więc ten sam: uliczny wojownik, który wszedł na szczyt społecznej i finansowej drabiny, musi stanąć twarzą w twarz ze swoją przeszłością, spersonifikowaną przez brutalnego wroga. O ile jednak Lang pozostał do końca „Rocky'ego III" złem jednowymiarowym (co nie jest specjalnie zaskakujące w latach 80.), to relacja Adonisa z Damianem jest o wiele głębsza. Adonis ma wyrzuty sumienia i wciąż hamuje go myśl, że nie zasłużył na wszystkie tytuły. Pokonał co prawda syna zabójcy swojego ojca (z młodym Drago łączy go teraz przyjaźń), ale nie pokonał największego wewnętrznego demona. Podaje więc rękę przyjacielowi, umożliwiając mu walkę o tytuł. Tak przecież zrobił jego ojciec Apollo, który jako mistrz wyciągnął z biedy underdoga Rocky'ego. Tyle że Damian rękę szybko kąsa i czyni ich walkę bardzo osobistą. No i świetnie sfilmowaną!

Fot. Warner Bros

eprasa.pl e67cdd99de

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Stallone przy premierze zdumiewająco dobrego „Rocky'ego Balboa" (2006) przyznał, że walki w trzech poprzednich częściach były nierealistyczne. Padało tam za wiele ciosów i wszystko było przesadzone, jak przystało na kino tamtego okresu. Ba, nikt specjalnie nie ukrywa przecież, że „Rocky IV" (1985) wpisywał się propagandowo w politykę Reagana i miał popkulturowo zbroić pierestrojkę Gorbaczowa. Jordanowi bliżej w finale do innego arcydzieła kina bokserskiego, czyli „Wściekłego Byka" (1980) Martina Scorsese. Pomysłowo sfilmowana walka ma nie tylko ukazać nam spektakl na ringu, lecz także odsłania dusze obydwu zawodników. To dusze dwóch przyjaciół z ulicy, których droga została rozdzielona niegdyś w ułamku sekundy. Zgrabnie została też postawiona kropka nad i w relacji Adonisa z jego mamą (wzruszający epizod Phylicii Rashad) oraz rozbudowano postać jego żony Bianki (Tessa Thompson), która przez problemy ze słuchem musiała porzucić karierę piosenkarki i zająć się produkcją płyt innych artystów.

Trudno przewidzieć, jaka będzie przyszłość serii „Creed". Jordan mówi o rozszerzeniu uniwersum, które może eksploatować ciekawą postać głuchej córeczki Adonisa, Amary (Mila Davis-Kent), wykazującej w tym filmie szczególną chęć do pójścia w ślady ojca. Stojący za serią „Rocky"/„Creed" MGM należy dziś do Amazona, który bez wątpienia ma chrapkę na serialowe rozszerzenie świata stworzonego przez Stallone'a i twórczo rozwiniętego przez duet Coogler – Jordan. Czy to go nie zepsuje? Cóż, „Rocky" to seria, która podnosiła się nie raz. Po słabiutkiej, choć ciekawie rozbudowującej postać Balboa części V z 1990 r. Stallone niespodziewanie triumfalnie wrócił filmem z 2006 r. Gdy wydawało się, że w „Rockym" nic więcej nie można powiedzieć, dekadę potem pojawił się „Creed". O ile twórcy będą pamiętać złotą maksymę włoskiego ogiera mówiącą, że nieważne jest, ile razy padniesz na ziemię, ale ważne, ile razy się z niej podniesiesz, to seria jest bezpieczna. Amerykański duch jest w niej obecny.

„CREED III" W KINACH

Kino

Film dosłownie rozdzierający

„Ojciec" (2020) Floriana Zellera był wstrząsającym spojrzeniem na świat oczami człowieka cierpiącego na alzheimera. Zeller słusznie otrzymał za film Oscara za scenariusz napisany wraz z Christopherem Hamptonem. Złotą statuetką został nagrodzony również genialny Anthony Hopkins. „Syn" jest kolejną częścią trylogii (dojdzie jeszcze prawdopodobnie wystawiana na razie tylko na scenie „Matka") stworzonej przez tych dwóch wybitnych dramaturgów. Mam jednak wielki problem z oceną „Syna". Z jednej strony jest to dzieło mocne, wyrywające z letargu, niedające spokoju i pozostające w głowie po seansie, a z drugiej nie można oprzeć się wrażeniu, że tym razem jesteśmy przez Zellera mocno manipulowani.

Peter (Hugh Jackman) jest odnoszącym sukcesy nowojorskim prawnikiem, który ma szansę niebawem wejść do polityki w Waszyngtonie. Niedawno urodziło mu się dziecko ze związku z młodszą od siebie Beth (Vanessa Kirby). Wszystko komplikuje jednak zachowanie jego nastoletniego syna z poprzedniego małżeństwa. Nicolas (Zen McGrath) ucieka ze szkoły, jest wybuchowy i doprowadza niestabilnym zachowaniem do rozpaczy swoją matkę Kate (Laura Dern). Przeprowadza się do ojca, który wierzy, że będzie potrafił okiełznać intensywny bunt, wywołany m.in. przez rozwód rodziców. A co, jeżeli stan Nicolasa jest o wiele trudniejszy do zdiagnozowania?

„Syn" jest jednym z najbardziej kontrowersyjnych filmów ostatnich miesięcy. W zachodniej prasie zebrał całe spektrum recenzji. Krytycy w większości albo nie zostawiają na nim suchej nitki, albo oceniają jako średni, ale choćby wybitny krytyk „The Guardian" Peter Bradshaw dał mu ocenę 5/6. Moja ocena plasuje się w środku tej samej skali. Zeller nakręcił film zbudowany z klisz kina o depresji nastolatków. Nie kupuję tego, że rodzice tak późno dojrzeli głębokie problemy psychiczne dziecka i drażni mnie plakatowy obraz odpowiedzialności spadającej z ojca na syna (Anthony Hopkins tym razem przerysowany jako nieczuły kapitalista), który tak przenikliwi dramaturdzy jak Zeller i Hampton powinni rozegrać mądrzej i bardziej przenikliwie. Wyczuwam też tanie chwyty (przebitki z idyllicznych wakacji rodzinnych), mające wywołać u mnie określone emocje. Nie mogę jednak przestać myśleć o kilku scenach tego filmu, które mają wielką siłę edukacyjną.

Fot. UIP

Jako ojciec nastoletniego syna dostałem dawkę przestróg oraz informacji, których – mam nadzieję – nie będę musiał nigdy wykorzystywać. To czyni „Syna" filmem bardzo ważnym i potrzebnym.

Jest to też film świetnie zagrany. Finałowe spojrzenie McGratha na stałe utknęło mi w głowie, a Jackman tworzy przejmującą kreację, godną tych z „Labiryntu" Villeneuve'a czy „Źródła" Aronofsky'ego. „Syn" to emocjonalnie wypruwające kino. Po seansie trudno mi było do siebie dojść mimo tak mocno rzucających się w oczy kiksów narracyjnych. Choć ten film ma irytujące słabości, to naprawdę może uratować czyjeś życie. Czyż nie to czyni kina tak ważną sztuką?

„SYN" W KINACH

eprasa.pl e67cdd99de

Odwiedź Iskry Niepodległej, poczuj geniusz rodaków wszystkimi zmysłami

Nowoczesna opowieść o wielkich Polkach i Polakach

20 minut intensywnych doznań zmysłowych w specjalnie zbudowanym studiu multimedialnym w naczepie ciągniętej przez TIR-a. Brzmi intrygująco? Taki w bardzo dużym skrócie jest projekt o nazwie Iskry Niepodległej, czyli mobilne widowisko edukacyjne przeznaczone dla każdego Polaka pragnącego poznać swoich wielkich rodaków, którzy zmieniali świat

Dwa zestawy ciągników siodłowych z naczepami stanowiącymi mobilne studia do przedstawiania 20-minutowych spektakli o Iskrach Niepodległej jeżdżą już po Polsce, zatrzymując się na dwu- lub trzydniowe postoje w poszczególnych lokalizacjach.

„Atrakcyjny design, cyfrowa opowieść i elementy interaktywne będą dostępne bezpłatnie w dziesiątkach miejscowości w całej Polsce. Celem projektu jest m.in. wzmacnianie wspólnoty obywatelskiej wokół wartości wspólnych dla polskiej historii i tożsamości – każdy niezależnie od swoich talentów może stać się Iskrą Niepodległej i zmieniać świat wokół siebie" – czytamy m.in. na stronie niepodlegla.gov.pl. „W projekcie Iskry Niepodległej zastosowano unikatowe rozwiązania technologiczne, by stworzyć dla odbiorcy niezapomniane doświadczenie immersyjne, działające na różne zmysły. Nowoczesne technologie wizualne służą prezentacji faktów i postaci, które składają się na niesamowitą opowieść o potencjale naszej polskiej wspólnoty".

W historii naszego narodu było wiele wybitnych postaci, które miały wpływ na losy świata. Często nawet nie wiemy, że ich osiągnięcia wykorzystujemy na co dzień w naszym życiu, i ten projekt ma nam to m.in. uświadomić.

Biuro Niepodległa zadbało o pokazanie bohaterów z różnych dziedzin życia tworzących naszą codzienność: techniki, medycyny, nauki, pracy społecznej, kultury, eksploracji świata i kosmosu, sportu. Choć dla każdego rozdziału opowieści przygotowano charakterystyczny design graficzny i skomponowano muzykę, to razem tworzą spójną całość. Projekt powstawał dzięki współpracy Biura Niepodległa i polskich producentów z kilku różnych firm. Eksperci z różnych dziedzin połączyli siły i wiedzę, by przygotować narrację widowiska, zbudować nowoczesne naczepy ekspozycyjne, zaprojektować ich przestrzeń i rozwiązania technologiczne. Zadbano o szczegóły przy wypracowywaniu formuły mobilnego spektaklu. Zaprojektowano narzędzia, takie jak mobilny ekran transparentny, wykreowane przez sztuczną inteligencję obrazy na podświetlanych ruchomych panelach i skonstruowano cyfrowy byt – narratora prowadzącego odbiorców drogą polskich dokonań. Doświadczenie wizyty wspiera aplikacja z rozszerzoną rzeczywistością, która pozwala lepiej poznać świat Iskier Niepodległej.

Mecenasem tego wyjątkowego przedsięwzięcia, które będzie trwało przez cały rok, jest niezawodny we wsparciu inicjatyw patriotycznych PKN Orlen. Iskry miały swoją premierę 27 lutego 2023 r. w Warszawie, obok pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Widowisko odwiedziło już m.in. Przemyśl, Łańcut, Rzeszów, a także Otwock i Pruszków. Docelowo naczepy odwiedzą w 2023 r. ok. 100 miejscowości we wszystkich województwach. Dokładną trasę można śledzić na stronie projektu iskryniepodleglej.pl oraz w mediach społecznościowych Biura Niepodległa. Organizatorzy projektu mają nadzieję, że będzie on nie tylko interesującą lekcją historii w nowoczesnej formule, lecz także stanie się inspiracją dla wielu Polek i Polaków, by znaleźć w sobie iskrę potencjału, który może pozytywnie wpłynąć na losy Polski i świata. Innymi słowy, chodzi po prostu o to, by pokazać, do jak wielkich rzeczy Polacy są zdolni.

Fot. T. Tołłoczko / Biuro „Niepodległa"

eprasa.pl e67cdd99de

Beethoven i Chopin zawsze do usług

Muzyka na każde czasy

Najbliższą okazją do obcowania z muzyką przez wielkie M będzie 27. edycja Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena, która od 26 marca do 7 kwietnia odbędzie się w Warszawie.

– W trakcie 13 festiwalowych dni wysłuchamy 10 koncertów symfonicznych i pięciu kameralnych, podczas których wystąpi wielu znakomitych solistów, dyrygentów i zespołów, zaproszonych przez Elżbietę Penderecką, dyrektora generalnego festiwalu. Program koncertów został zbudowany wokół przewodniego hasła tegorocznej edycji – „Beethoven – pomiędzy Wschodem a Zachodem", naświetlając problem koegzystencji kultury Wschodu i Zachodu w muzyce – informuje nas Andrzej Giza, dyrektor Stowarzyszenia im. Ludwiga van Beethovena, które jest organizatorem festiwalu.

Choć impreza nosi imię mistrza z Bonn, to w jej trakcie usłyszymy także utwory m.in. Wolfganga A. Mozarta, Fryderyka Chopina, Henryka Wieniawskiego, Gustava Mahlera, Heitora Villa-Lobosa, Maurice'a Ravela, George'a Gershwina, Benjamina Brittena, Witolda Lutosławskiego, Leonarda Bernsteina, Mieczysława Weinberga, Valentina Silvestrova, Toshio Hosokawy i Faustasa Latėnasa.

– W programie festiwalu w sposób szczególny zostały zaakcentowane utwory Krzysztofa Pendereckiego, którego 90. rocznica urodzin przypada w br. W koncercie inauguracyjnym Korea National University of Arts Symphony Orchestra pod dyrekcją Chiyoung Chunga wykona V symfonię Koreańską kompozytora. Solistką koncertu inauguracyjnego będzie jedna z najciekawszych pianistek młodego pokolenia, Chloe Jiyeong. W finałowym koncercie „Siedem bram Jerozolimy" poprowadzi Sergey Smbatyan, dyrygując Orkiestrą i Chórem Filharmonii Narodowej, z udziałem solistów: Iwony Hossy, Karoliny Sikory, Adama Zdunikowskiego i Piotra Nowackiego – zapowiada Andrzej Giza.

Przechodzące przez ciało dreszcze i nostalgia za szlachetnymi dźwiękami klasycznych kompozycji wygrywanych na prawdziwych instrumentach z duszą to uczucia towarzyszące prawdziwym melomanom. Dla koneserów kanonicznej sztuki, którzy mogą być zrażeni wytworami obecnej popkultury, jest przygotowana interesująca i wartościowa oferta

Fot. Bruno Fidrych

Przypadająca 29 marca trzecia rocznica śmierci Krzysztofa Pendereckiego zostanie uczczona koncertem kameralnym jego dzieł w wykonaniu m.in. Apollon Musagète Quartet, Leticii Moreno, Claudio Bohórqueza, Manuela Escauriaza Martineza-Peñuela, Andrzeja Cieplińskiego i Łukasza Krupińskiego.

W uroczystym koncercie z okazji 20-lecia działalności Stowarzyszenia im. Ludwiga van Beethovena, organizatora wielkanocnego festiwalu, „Missa solemnis" Beethovena zabrzmi pod batutą Leonarda Slatkina z udziałem Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Narodowej, Chóru Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie i solistów: Poliny Pasztircsák, Ulrike Helzel, Patrika Reitera i Łukasza Koniecznego. Recital Hiny Maedy, zwyciężczyni 16. Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego, podczas którego artystka wykona V sonatę Mieczysława Weinberga, jest poświęcony 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim.

W krótkiej zapowiedzi nie sposób wymienić wszystkich artystów, uświetniających swoimi występami to wydarzenie, którego mecenasem jest PKN Orlen. Wszelkie informacje, takie jak szczegółowy program festiwalu i sposób pozyskania biletów, znajdziemy na stronie beethoven.org.pl.

2023 r. jest szczególny dla wszystkich miłośników muzyki klasycznej. Wśród wielu wydarzeń na wyróżnienie zasługuje na pewno koncert z okazji 213. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina w wykonaniu znakomitej pianistki Julianny Awdiejewej, który odbył się na początku marca w Filharmonii Narodowej. Wydarzenie to także zostało wsparte przez Orlen, który z racji swojego potencjału nie unika wzięcia odpowiedzialności za mecenat polskiej kultury.

A czy dla prawdziwego konesera muzyki może być lepsza alternatywa niż sięgniecie po repertuar największych mistrzów?

PARTNER DODATKU

ORLEN

Artykuł sponsorowany | 46/0223/F

eprasa.pl e67cdd99de

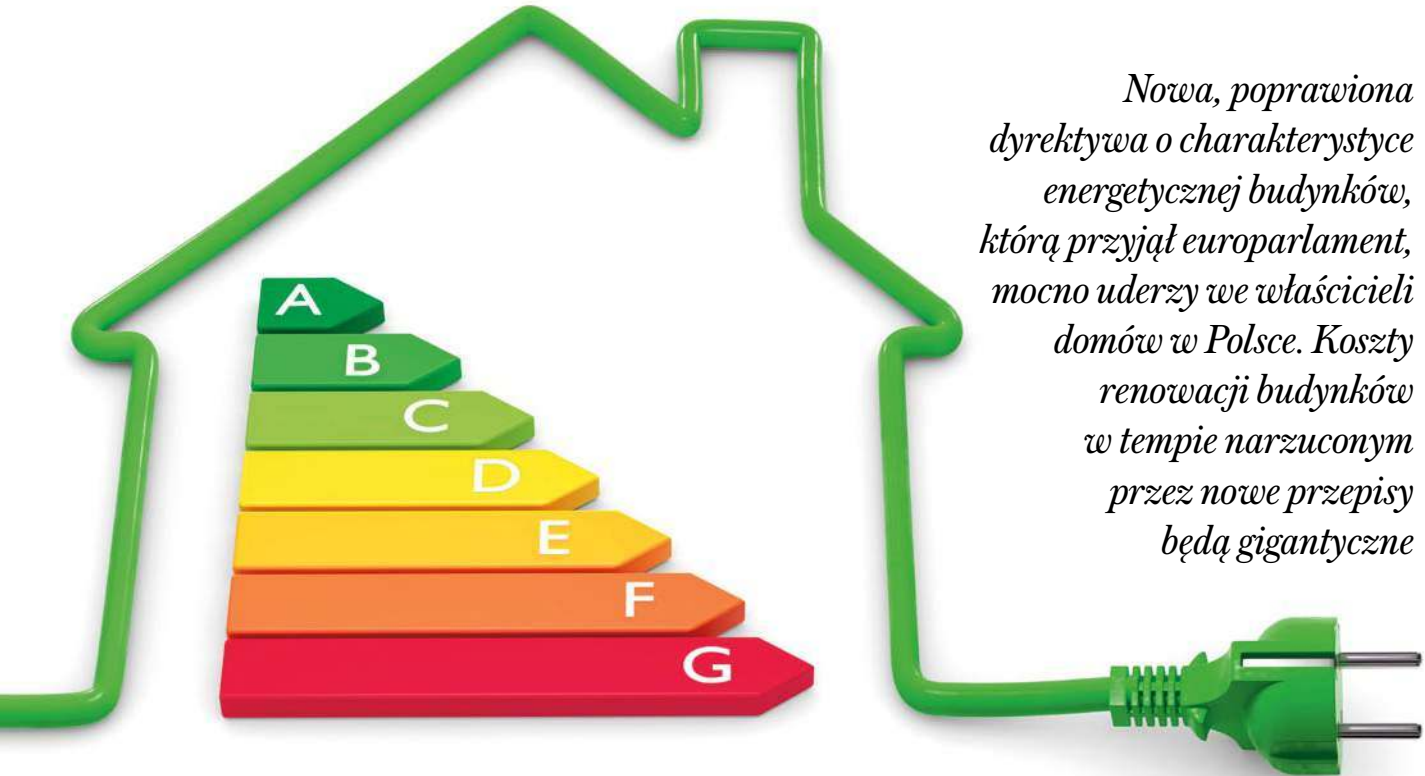

Nowa, poprawiona dyrektywa o charakterystyce energetycznej budynków, którą przyjął europarlament, mocno uderzy we właścicieli domów w Polsce. Koszty renowacji budynków w tempie narzuconym przez nowe przepisy będą gigantyczne

Misja „bez emisji" za biliony złotych

AGNIESZKA ŁAKOMA

Jeśli masz mieszkanie w starym bloku albo – co gorsze – dom wybudowany kilkanaście albo kilkadziesiąt lat temu, to masz problem... i to poważny. Najlepiej już dziś zacznij gromadzić materiały budowlane, bo czeka cię remont. I nie jest ważne, czy masz na to siły, chęci albo pieniądze. Ważna będzie tylko efektywność energetyczna twojego lokum. Zadbał o to – jak zawsze niezawodny w przyjmowaniu wszelkiego prawa w imię ochrony klimatu – Parlament Europejski. Europosłowie przegłosowali zmiany w dyrektywie o charakterystyce energetycznej budynków. A sprowadzają się do tego, że już za pięć lat wszystkie nowe budynki mieszkalne w UE mają być bezemisyjne, a stare tak skutecznie remontowane, by przestały emitować CO_2 za 12 lat. Do 2035 r. mają zniknąć z domów w całej UE piece gazowe, olejowe i węglowe. Gdyby okazało się to zbyt dużym wyzwaniem, to będą mogły działać jeszcze przez dodatkowe pięć lat.

GRA W KLASY NA POCZĄTEK

Jak wyjaśnia dr Jerzy Kwiatkowski z Narodowej Agencji Poszanowania Energii, budynki bezemisyjne to takie, które nie tylko mają wysoką charakterystykę energetyczną, lecz także nie emitują CO_2 na miejscu, czyli np. wykorzystują energię z odnawialnych źródeł. Zatem wymogów dyrektywy nie spełnią domy, które zużywają dużo energii, nawet gdy są zasilane w energię w znacznym stopniu z OZE. – Ale te dobrze izolowane, wyposażone w wentylację z odzyskiem ciepła, efektywne urządzenia pomocnicze, jak pompy obiegowe czy wentylatory, przez co mają niższe zapotrzebowanie na ciepło i energię elektryczną, a dodatkowo są zasilane z odnawialnych źródeł jak panele słoneczne, do ogrzewania zaś wykorzystują pompy ciepła – mówi ekspert. – W dyrektywie bardzo dużą wagę przywiązuje się do efektywności energetycznej – dodaje.

Dlatego na początek czeka nas wszystkich „gra w klasy". Właśnie jest przygotowywana zmiana przepisów (rozporządzenie dotyczące metodologii sporządzania świadectw charakterystyki energetycznej budynków) tak, by określić klasę energetyczną budynków w skali od A do G. W innych krajach unijnych już takie obowiązują, u nas dopiero wejdą w życie i założenie jest takie, że klasa A oznacza najlepsze i najnowocześniejsze, bezemisyjne obiekty (domy, mieszkania i budynki publiczne), a G – te najgorsze pod względem efektywności. W projekcie rozporządzenia do klasy G zalicza się już takie budynki jednorodzinne, w których potrzeba 150 kWh nieodnawialnej energii pierwotnej na 1 m² w ciągu roku. – Wbrew pozorom okazuje się, że do tej klasy mogą trafić nawet budynki oddane po 2000 r. – z kotłami gazowymi, częściowym dociepleniem

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e67cdd99de

i z plastikowymi oknami – mówi Jerzy Kwiatkowski.

Od zaliczenia budynku do jednej z klas zależy, co dalej i jakie obowiązki może mieć jego właściciel. Dyrektywa PE zakłada podniesienie klasy energetycznej budynków tych w najgorszym stanie (G) i wyznacza ramy czasowe. – Formalnie podniesienie klasy energetycznej ma być wpisane w plany renowacji budynków lub może być wymagane, gdy budynek trafia na rynek, a zatem jeśli właściciel zamierza go sprzedać lub wynająć, sposób wprowadzenia tych przepisów zależy od kraju członkowskiego – tłumaczy Kwiatkowski. – Nie będzie sytuacji, kiedy to urzędnik będzie mógł przyjść – gdy dyrektywa wejdzie w życie – i powiedzieć nam, że mamy modernizować budynek.

Choć teoretycznie dyrektywa nie narzuca konieczności remontu, to w praktyce można się spodziewać, że w naszym kraju pewien odsetek właścicieli domów czy mieszkań może być pewnych, iż do końca swojego życia nikomu ich nie sprzedadzą. A gdy zakaz dla pieców na paliwa kopalne wejdzie w życie w 2035 r. (lub pięć lat później), to i tak trzeba będzie zamontować ekologiczne źródło ciepła.

Zatem w praktyce w Polsce miliony domów czeka „akcja modernizacja" w ramach planów renowacji budynków. Zgodnie z dyrektywą, jeśli dom lub blok wielorodzinny będzie należeć do klasy G, to jego właściciele będą mieli do 2030 r. czas na wykonanie remontu na taką skalę, by budynek można było zaliczyć do klasy E. Na tym jednak nie koniec, bo w następnych trzech latach będą konieczne dalsze prace, by w 2033 r. budynek znalazł się w klasie D. I nawet wówczas właściciele nie mogą spocząć na laurach, bo klasa energetyczna D jest po prostu dla Unii niezadowalająca, a cel nadrzędny to osiągnięcie klasy A.

Jerzy Kwiatkowski tłumaczy, że zapisy dyrektywy dopuszczają, by kraj członkowski po analizach swoich zasobów budowlanych mógł przesunąć wymagania dotyczące podniesienia klasy energetycznej budynków z 2030 i 2033 r. na późniejsze lata. Bez względu na to jednak spokojnie mogą spać tylko właściciele najnowocześniejszych domów z odpowiednim docieplenieniem i rekuperacją, pompami ciepła, oraz – co oczywiste – panelami słonecznymi.

PASZPORTY REMONTOWE

Wykonanie tego, co absolutnie konieczne, czyli modernizacja 15 proc. zasobów budowlanych o najniższej klasie energetycznej, oznacza w Polsce wielkie wydatki, które zdaniem Jerzego Kwiatkowskiego „mogą nawet przekroczyć kilkukrotnie wszelką pomoc unijną, jaką dostaniemy w kolejnych latach". – Tych środków po prostu nie mamy – dodaje ekspert. – I choć idea jest słuszna, czyli doprowadzenie do zmniejszenia zapotrzebowania na energię oraz obniżenie jej kosztów i odejście od importu paliw kopalnych, to jednak powstaje pytanie, czy to wszystko nie za szybko i czy jesteśmy gotowi, by tym celom podołać.

Według raportu „Efektywność energetyczna budynków, szanse i wyzwania dla polskich firm" Konfederacji Lewiatan z lipca br. „dostosowanie zasobu budowlanego w Polsce do standardu bezemisyjnego będzie wymagać przeprowadzenia ok. 7,5 mln termomodernizacji, w tym 4,7 mln termomodernizacji głębokich". W raporcie wskazano, że trzeba „wymienić ok. 6,9 mln źródeł ciepła na urządzenia i instalacje bezemisyjne", a koszty z tym związane oszacowano na 1,54 bln zł do 2050 r. Z kolei prezes Dolnośląskiej Agencji Energii i Środowiska Jerzy Żurawski ocenia wydatki na termomodernizację na kwotę 4–4,5 bln zł. – To są koszty niesamowite – dodaje.

Ale by remonty były udane, czyli zgodnie z unijnymi wymaganiami, trzeba będzie mieć paszport renowacji i nie tylko „trzymać się za kieszeń", lecz także tego, co w nim będzie zapisane. – W paszporcie będą opisane kolejne etapy prac remontowych, by uniknąć chaosu i sytuacji, że np. najpierw wymienimy piec na pompę ciepła, a potem ocieplimy ściany i okaże się, że ma ona za dużą moc – mówi Jerzy Kwiatkowski. – Właściciel domu może, ale nie musi mieć paszportu renowacji, na pewno jednak okaże się pomocny w pozyskiwaniu finansowania inwestycji – dodaje.

W dyrektywie nie napisano, co się stanie, jeśli ktoś nie będzie remontował według paszportu, bo np. zabraknie mu pieniędzy albo nie dostanie dofinansowania.

FALA RENOWACJI

W Polsce w ostatnich latach szczególnie widać efekty realizacji programu termomodernizacji, zakładającego dofinansowanie ze środków krajowych i unijnych nie tylko docieplenia budynków, lecz także na wymianę pieców czy montaż paneli fotowoltaicznych. Wszystko to jednak wydaje się tylko przymiarką do prawdziwej „fali renowacji", która obejmie Polskę jak długa i szeroka. Z falą bywa różnie – może zarówno wymieść z kieszeni właścicieli domów resztki oszczędności, jak i pozostawić na brzegu „coś cennego", jak popyt na materiały budowlane i usługi. – Już teraz branża jest rozgrzana, specjaliści poszukiwani, popyt na pompy ciepła gwałtownie wzrósł – mówi prezes Poland Green Energy Cezary Cegliński. – Dlatego nie liczyłbym na spadek cen wraz ze wzrostem popytu. Najbardziej prawdopodobny jest dalszy wzrost kosztów – dodaje.

Jego zdaniem już ub.r. pokazał, czego możemy się spodziewać w kolejnych latach. – Zarówno pompy ciepła, jak i panele pochodzą przede wszystkim z importu. Gdy w Europie wzrosło zapotrzebowanie, w Polsce zaczęły się problemy z zaopatrzeniem. Od marca do grudnia ub.r. ceny pomp wzrosły, zależnie od marki producenta, o 25–40 proc. – mówi Cegliński.

Pełna modernizacja niewielkiego domu z lat 70. lub 80. ub.w., których w naszym kraju nadal jest bardzo dużo, może przekroczyć – w opinii szefa Poland Green Energy – nawet 135 tys. zł. A taką właśnie kwotę bezpośredniej dopłaty przewidziano dla osób najmniej zarabiających na kompleksowy remont w ramach rządowego programu Czyste Powietrze. – Program na pewno się sprawdził i nadal sprawdza, dopłaty są bardzo popularne, lecz co zrobimy, gdy się skończy, a na pożyczki – nawet te preferencyjne – ludzi, którzy mają niewielkie dochody, po prostu nie będzie stać? – pyta Cezary Cegliński.

eprasa.pl e67cdd99de

Wyczekiwany początek wiosny to jednoczesny koniec zmagań sportowców uprawiających dyscypliny zimowe, a zatem dobry czas na oceny i podsumowania. Minionej zimy polscy sportowcy napisali piękną historię i nie chodzi nam tym razem o skoczków narciarskich, choć przecież oni tradycyjnie przynieśli nam mnóstwo emocji i poczucia dumy. O kim zatem mowa? O Aleksandrze Król i Oskarze Kwiatkowskim, naszych czołowych snowboardzistach

Najlepszy zimowy sezon w historii polskiego snowboardu

Slalom na desce – nowa polska specjalność?

Sezon 2022/2023 okazał się najlepszy w historii polskiego snowboardu. Wszystko dzięki wyjątkowym umiejętnościom duetu Ola Król i Oskar Kwiatkowski, którzy specjalizują się w jednej z najbardziej widowiskowych konkurencji w jeździe na desce – slalomie gigancie równoległym. Kulminacyjnym punktem sezonu były mistrzostwa świata w snowboardzie, które w lutym odbyły się w gruzińskim kurorcie narciarskim Bakuriani. Historyczny, bo pierwszy dla naszego kraju medal tej imprezy zdobyła Aleksandra Król, zajmując trzecie miejsce w swojej koronnej konkurencji. W rywalizacji mężczyzn w gigancie równoległym triumfował z kolei Oskar Kwiatkowski, przechodząc tym samym do historii jako pierwszy polski snowboardowy mistrz świata.

CAŁY SEZON W CZOŁÓWCE

Polscy reprezentanci bardzo dobrze radzili sobie także przez cały sezon Pucharu Świata, utrzymując się w ścisłej czołówce klasyfikacji giganta równoległego. Aleksandra Król już w pierwszym konkursie sezonu w slalomie gigancie równoległym, rozegranym we włoskiej Carezzie, zajęła drugie miejsce. Dzięki kolejnym dobrym startom i stabilnej formie zakończyła sezon na czwartym miejscu w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata w slalomie gigancie równoległym ze stratą zaledwie 4 pkt. do drugiego miejsca.

Bardzo dobry sezon w zawodach cyklu PŚ zanotował też Oskar. W połowie

Fot. Marcin Oliva Soto, materiały prasowe

eprasa.pl e67cdd99de

stycznia wygrał konkurs w szwajcarskim Scuol, a tydzień później w kanadyjskim Blue Mountain zajął trzecie i pierwsze miejsce, dzięki czemu został nawet liderem klasyfikacji generalnej Pucharu Świata w slalomie gigancie równoległym. Zwycięstwo w całym cyklu było bardzo blisko. Niestety, podczas zawodów PŚ w słoweńskiej Rogli Oskar zanotował pechowy start i zajął finalnie trzecie miejsce w klasyfikacji generalnej swojej konkurencji. To jednak bardzo dobry rezultat, który czyni miniony sezon najlepszym w historii polskich startów w cyklu.

TO NIE NASZA SPECJALNOŚĆ?

Na wybitne osiągnięcia Oli i Oskara warto zwrócić uwagę, bo oprócz przebłysków aspirującej do bycia w czołówce narciarki alpejskiej Maryny Gąsienicy-Daniel do tej pory zima nie kojarzyła się nam raczej z sukcesami Polaków odnoszonymi w konkurencjach alpejskich, a biało-czerwonej flagi przez lata próżno było wypatrywać wśród najlepszych zawodników rywalizujących na stokach. Sukcesy zimowe od dawna kojarzą się nam głównie z występami skoczków narciarskich, a w czasach startów Justyny Kowalczyk i biathlonisty Tomasza Sikory kierowaliśmy swoją uwagę także na trasy biegowe. Tymczasem snowboard przez wiele lat uchodził raczej za dyscyplinę bardziej pokazową niż sportową, za coś w rodzaju „zimowej deskorolki", którą przypinają do butów wyluzowani młodzieńcy. Stopniowo jednak taki odbiór jazdy na jednej desce ulegał zmianie i wreszcie podczas zimowych igrzysk olimpijskich w Nagano w 1998 r. snowboarding oficjalnie włączono do rywalizacji medalowej. Dziś, po upływie ćwierć wieku od tego wydarzenia, już nikt nie traktuje snowboardu z przymrużeniem oka, ale jako pełnoprawną, profesjonalnie uprawianą zimową dyscyplinę sportu, w której podobnie jak w narciarstwie alpejskim można specjalizować się w poszczególnych konkurencjach. Tym bardziej cieszy, że mamy wreszcie w ścisłej światowej czołówce tej dyscypliny sportu Polaków. Wśród różnych typów rywalizacji w snowboardzie są też konkurencje drużynowe, w których nasza czołowa dwójka także notowała bardzo dobre wyniki. W grudniu zajęli trzecie miejsce w konkursie w niemieckim Winterbergu i ósme w austriackim Bad Gastein w styczniu.

Z niecierpliwością można zatem oczekiwać kolejnego sezonu zimowego i potwierdzenia wysokich umiejętności oraz aspiracji Oli i Oskara. Okazję do obrony swoich medali mistrzostw świata będą mieli dopiero w 2025 r., bo wówczas odbędą się kolejne MŚ, których gospodarzem będzie tym razem szwajcarski kurort Sils im Engadin/Segl, położony w słynnej alpejskiej dolinie Engadyny. Rok później w Mediolanie czekają nas zaś emocje związane z XXV Zimowymi Igrzyskami Olimpijskimi.

ZAWODY W POLSCE PO 18 LATACH

Niewykluczone, że znakomite występy Oli i Oskara przyczynią się do tego, by i w Polsce rozegrano kiedyś zawody rangi mistrzowskiej, a przynajmniej zorganizujemy którąś z odsłon cyklu Pucharu Świata. Na razie, po 18 latach przerwy, na początku marca w ośrodku Suche Ski w Suchem koło Poronina gościliśmy zawodników rywalizujących w Pucharze Europy. Zawody wygrali oczywiście bezkonkurencyjni Król i Kwiatkowski, a organizacja imprezy zebrała powszechne uznanie i pochwały.

Choć snowboard to nie narty, a jedna szeroka deska to nie dwie wąskie, to – co jednak zrozumiałe i logiczne – dyscyplina ta znajduje się w strukturach Polskiego Związku Narciarskiego. To ważne dla przyszłości tej dyscypliny w naszym kraju i szkolenia kolejnych zawodniczek i zawodników, którzy mają szansę przynajmniej dorównać umiejętnościami Oli Król i Oskarowi Kwiatkowskiemu. PZN ma bowiem zapewnione wieloletnie wsparcie sponsorskie od największych polskich podmiotów, wśród których tytułem generalnego sponsora polskiego narciarstwa cieszy się PKN Orlen. Takie partnerstwo to gwarancja, że naszym sportowcom niczego nie zabraknie pod względem organizacyjnym, co jest bardzo istotne, zwłaszcza jeśli osiągnie taki poziom zawodowstwa jak Król i Kwiatkowski.

To, czego jeszcze trochę brakuje to... świadomość kibiców. Na razie na naszych medalistów powracających w doskonałych humorach z Bakuriani nie czekały tłumy fanów na lotnisku w Katowicach. Oskar Kwiatkowski został za to bardzo wystawnie przyjęty przez swoich sąsiadów z Białego Dunajca, którzy tłumnie wylegli na ulice miejscowości, by powitać swojego mistrza świata. Miejmy jednak nadzieję, że kolejne sukcesy naszych snowboardzistów przełożą się na wzrost popularności tej dyscypliny sportu w naszym kraju, co w efekcie pozwoli na znalezienie wielu utalentowanych młodych sportowców z szansami na piękną karierę. Tak zaczynał się kiedyś boom na skoki – od sukcesów jednego Adama Małysza. Może medale Kwiatkowskiego i Król będą zaczynem potęgi naszego kraju w kolejnym zimowym sporcie?

PARTNER DODATKU

ORLEN

Artykuł sponsorowany | 43/0223/F

eprasa.pl e67cdd99de

ALEKSANDRA KURZAK JAKO TOSCA SOPRANISTKA

Rytm, wir i szałwia

Melomani wciąż wspominają wyjątkowe spektakle „Toski" (z 10 i 12 marca) w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. W tytułowej roli wystąpiła w nich Aleksandra Kurzak, polska gwiazda światowych scen operowych. Było to trzecie spotkanie artystki ze słynną partią z dzieła Pucciniego. Zadebiutowała w niej wiosną ub.r. w Metropolitan Opera. Kolejne nowojorskie spektakle miały miejsce jesienią. Teraz sopranistkę mogła podziwiać warszawska publiczność.

Spektakl w reżyserii Barbary Wysockiej przeniósł akcję w lata 70. XX w., ale nie zmienił muzycznego charakteru i przekazu dzieła, o którym z wielką atencją wspominała Aleksandra Kurzak w – stworzonej w duecie z dziennikarką Marzeną Rogalską i wydanej pod koniec ubiegłego roku – książce „Dobrissimo! Opera od kuchni". Rozmowy o operze przeplatają się w niej z kulinarnymi nawiązaniami do największych scenicznych dzieł. Jest wśród nich i „Tosca".

Na pytanie, na czym polega sukces dzieła włoskiego kompozytora, śpiewaczka odpowiada, że to „najlepiej napisany operowy thriller. Muzyka jest w nim po prostu obłędna, nie ma żadnych dłużyzn. Puccini nadał tej operze niesamowity rytm, wir. Jak mawiał Alfred Hitchcock: »Dobry thriller trzeba rozpocząć trzęsieniem ziemi, a potem napięcie musi nieprzerwanie rosnąć«. Tak samo jest w »Tosce« – wstrząs na dzień dobry, nawet na początku nie zaznasz spokojnej muzyki, od razu jest uderzenie mocnych akordów, które brzmią jak wybuch z największych armat. A potem trzy trupy. I każdy z bohaterów umiera inaczej. Morderstwo, samobójstwo i egzekucja".

Artystka komplementuje zarówno genialne libretto, jak i długość opery – „bo to dwie godziny czystej muzyki. Jeśli spektakl jest dobrze wystawiony i utrzymane mocne tempo, to mamy gwarancję znakomitego wieczoru" – podkreśla.

Jaka potrawa może komponować się z takim dziełem? Skoro akcja „Toski" toczy się w Rzymie – pierwszy akt rozgrywa się w kościele św. Andrzeja, w Zamku św. Anioła jest więziony ukochany Toski... i wszystkie ważne miejsca w tej opowieści istnieją naprawdę, to wybór wydaje się oczywisty: saltimbocca alla romana, jedna z najbardziej znanych potraw regionu.

– Mamy w niej delikatne mięso cielęce z dodatkiem włoskiej szynki parmeńskiej i szałwię, która czyni to danie prawdziwie szałowym, nadaje bowiem potrawie delikatność, wykwintność – uzasadnia sopranistka, dla której gotowanie jest także formą twórczej ekspresji. – Białe wino i masło, co jest rzadkością, bo przecież kuchnia włoska kojarzy się głównie z oliwą. To jest absolutnie takie danie, które przywodzi mi na myśl Rzym i właśnie „Toskę" – sumuje.

Nazwa (pochodząca od „saltare in bocca", czyli „skakać do ust") jest w pełni uzasadniona, bo też żaden smakosz saltimbocca alla romana się nie oprze. – Co ciekawe, pierwszy raz jadłam to danie w Polsce u mamy i od niej nauczyłam się je przyrządzać – wspomina artystka. – Potem we Włoszech wiele razy próbowałam tej potrawy, ale uznałam, że jednak ta domowa saltimbocca jest najlepsza.

Jolanta Gajda-Zadworna

Saltimbocca alla romana – cielęce kotleciki z szynką parmeńską i świeżą szałwią

(przepis pochodzi z książki „Dobrissimo! Opera od kuchni")

Składniki: eskalopki cielęce, szynka dojrzewająca, świeże listki szałwii, 1/3 kostki masła, białe wino, oliwa, sól, pieprz, mąka.

Wykonanie: rozbić kotleciki, posolić i popieprzyć. Na każdym ułożyć listki szałwii i przykryć plasterkiem szynki. Można spiąć wykałaczką. Zapanierować mięso w mące i podsmażyć z dwóch stron na oliwie. Mięso przełożyć na bok do innego naczynia. Na patelnię dolać szklankę białego wina, odparować i dodać zimne masło. Do sosu włożyć kotleciki i chwilkę je w nim podusić. Podawać z pieczywem lub z makaronem tagliatelle według uznania.

Fot. Jacek Dominski/REPORTER

eprasa.pl e67cdd99de

SŁODKO-SŁONY

Ziemniaki ze słonecznika

ANNA MONICKA

Miłe zaskoczenie przeżyłam ostatnio na moim wiejskim bazarku. Oto wśród jabłek, ziemniaków i kapust zobaczyłam coś, co przypomina małe, zwinięte w kulkę pancerniki (ja przynajmniej mam takie właśnie skojarzenie). Podejrzewałam, że to topinambur, a rolnik potwierdził. I wcale nie ma koło domu klombu z kwiatami słonecznika bulwiastego – jak brzmi pełna nazwa tej rośliny – lecz założył z mamą plantację, żeby mieć to niecodzienne jeszcze na naszych bazarach warzywo, a nie kwiaty do wazonu.

Ogólnie jest zadowolony, bo roślina radzi sobie doskonale na jego kiepskiej ziemi, jest odporna i nawet susza niespecjalnie jej szkodzi. Bulwy można zostawić na zimę w polu i wykopywać, gdy najdzie kogoś smak. Trzeba tylko pilnować, żeby nie zwęszyły ich dziki, bo bestie wiedzą, co dobre, i zaraz zbuchtują pole i wszystko wyjedzą.

Ludzie wprawdzie patrzą na nią nieufnie, ale coraz częściej biorą na spróbowanie, z ciekawości. I wracają za jakiś czas po więcej, bo te niby-kartofelki są smaczne, nieco orzechowe, szybko się gotują i przepadają za nimi dzieci. Łodygi z kolei oddaje sąsiadowi na paszę. Kiedyś miał go tylko w ogrodzie i też bardzo sobie chwalił, bo słonecznik rozkrzewił się błyskawicznie i był od strony drogi doskonałym parawanem – gęsty, wysoki, nie do przejścia.

Widziałam nieraz topinambury rosnące dziko na kompletnych ugorach – olbrzymie zielone kępy wyższe od człowieka, z niewielkimi żółtymi kwiatami na czubkach. Często karczowane, niestety. Tymczasem to bardzo cenne warzywo, które nasi przodkowie dobrze znali. Uprawiali go już w XVII–XVIII w., zanim na stołach rozgościły się ziemniaki (Francuzi i Anglicy wcześniej, bo osadnicy poznali go w Ameryce Północnej, a Indianie zajadali się nim, jeszcze zanim ich kraj odkrył Kolumb). W czasie wojen, które przetaczały się przez Europę, ratował ludzi od głodu, bo nie imały się go zarazy czy pleśnie i bez problemu zimował w ziemi, a rozrastał się jak chwast.

Można go gotować (pyszny), smażyć na patelni, dodawać do zup. Ma niski indeks glikemiczny, sporo błonnika oraz inuliny, która regeneruje zniszczone przez gluten kosmki jelitowe. Warto go spróbować, a może nawet na stałe wprowadzić do jadłospisu.

Fot. Shutterstock (x2)

WILCZYM OKIEM

Na sumy i szopy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jakiś czas temu spotkałem się z anonsem, w którym instytucja ochrony przyrody ogłaszała przetarg na odłów i utylizację raków ze zbiornika wodnego. Utylizację, czyli uśmiercenie. Ochrona przyrody i zwalczanie raków, w dodatku finansowane z podatków – brzmi paradoksalnie. Pozornie.

Zwalczaniem miał być objęty rak pręgowany (*Orconectes limosus*). Jest to gatunek obcy, inwazyjny. Pochodzi z Ameryki Północnej. Do Europy sprowadzony w XIX w. podczas epidemii choroby nazywanej dżumą raczą, która dziesiątkowała rodzime populacja raka szlachetnego (*Astacus astacus*). Rak pręgowany miał zastąpić w ekosystemie raka szlachetnego.

Nie udało się. Rak pręgowany był odporny na dżumę raczą (dżuma ta została wcześniej zawleczona do europejskich wód z Ameryki właśnie), a jednocześnie był nosicielem. Choroba rozprzestrzeniała się więc jeszcze szybciej, a nowy gatunek raka zaczął powodować szkody, tępiąc różne gatunki zwierząt wodnych nieprzyzwyczajonych do nowego drapieżnika. Dziś rak pręgowany (wyróżniający się pręgami na odwłoku) jest liczny i kontynuuje dzieło zniszczenia, a rak szlachetny niemal zniknął.

Sprowadzanie lub przypadkowe zawlekanie obcych gatunków jest obecnie jednym z głównych zagrożeń dla przyrody. Uogólniając: ze 100 gatunków, które dostaną się do nowego środowiska, 10 zaadaptuje się, a 1 z 10 stanie się inwazyjny, czyli zacznie rozprzestrzeniać się w sposób niekontrolowany i będzie wypierać gatunki rodzime. Wynikiem jest stałe zmniejszanie się różnorodności przyrodniczej. Bez niej ekosystemy stają się niestabilne, osłabia się ich odporność, co grozi klęską. Wraz z utratą rodzimych gatunków i odmian tracimy nie tylko piękno różnorodnej przyrody, lecz także zasoby genów, których nigdy już nie poznamy i o których nie dowiemy się, co mogłyby przynieść np. medycynie czy rolnictwu, jeżeli zostałyby zbadane i odpowiednio wykorzystane.

Dlatego jeżeli ktoś lubi łowić ryby, powinien pojechać do Hiszpanii znanej z wielkich sumów – które są tam gatunkiem obcym, tępiącym miejscowe ryby. Myśliwy powinien polować na szopy pracze wyjadające jaja z gniazd rzadkich ptaków w Parku Narodowym Ujścia Warty (park podejmuje próby zwalczenia, ale to trudne zadanie), a kto chce poruszać się na świeżym powietrzu, powinien wykaszać nawłoć kanadyjską zarastającą łąki – najlepiej kosą.

eprasa.pl e67cdd99de

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Dezinformacja – oręż wojny

Tytuł felietonu zaczerpnąłem z kultowej książki Vladimira Volkoffa. Autor przedstawia w niej historię dezinformacji, poczynając od chińskiego autora „Sztuki wojennej" Sun Zi. Już 25 wieków temu potrafiono sformułować zasady, według których najwyższą sztuką wojenną jest pokonanie wroga bez zbrojnej walki. Zasady te to m.in. dyskredytowanie wszystkiego, co dobre w kraju przeciwnika, osłabianie woli walki, sianie waśni i nienawiści i posługiwanie się totalnym oszustwem, czyli dezinformacją.

Pisał w swoim wierszu Wojciech Młynarski: „Wojna nigdy nie jest daleko, wojna zawsze jest bardzo blisko". Bezpośrednich skutków okrutnej wojny doświadcza dziś Ukraina, a nasz kraj staje się w coraz większym stopniu celem wrogich działań dezinformacyjnych. Nic zatem dziwnego, że rząd przymierza się do czynnej walki z dezinformacją.

Jak zapowiedział pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP Stanisław Żaryn, w najbliższych miesiącach zostaną sformułowane konkretne prawne rozwiązania, by fala dezinformacji nie przybierała na sile. Mam nadzieję, że będzie się to wiązać z możliwością karania sprawców dezinformacji. Tak jak sklep spożywczy nie może sprzedawać zepsutej, przeterminowanej, groźnej dla zdrowia żywności, bo będzie zamknięty, a kierownictwo sklepu ukarane, tak ludzie mediów i tzw. celebryci, a także politycy nie mogą rozpowszechniać fałszywych wiadomości szkodzących polskiej racji stanu. Taka szkodliwa działalność także wiąże się z odpowiedzialnością, w tym karną.

Te kilka miesięcy jest pewnie także po to, by dobrze zdiagnozować problem, pokazać metody walki dezinformacyjnej wobec Polski ze strony Moskwy i Mińska. Jest to też czas na pewną refleksję ze strony tych „pożytecznych idiotów", których działalność polityczna wymierzona w polski rząd jest skutecznie wykorzystywana przez rosyjską propagandę. Ale nie tylko. Np. europejskie czy polskie organizacje i ruchy odwołujące się do pacyfizmu, ekologizmu są także zbieżne z celami rosyjskiej propagandy. I tu Stanisław Żaryn wymienia nazwisko dr. Leszka Sykulskiego, słynnego wyznawcy teorii geopolityki, który oskarża polski rząd – zresztą cały wręcz Zachód i USA – o eskalowanie wojny na Ukrainie. Dr Sykulski chyba zdaje sobie sprawę, że osłabienie motywacji do pomocy Ukrainie, broniącej swojego prawa do samodzielnego bytu, to jeden z głównych rosyjskich celów propagandowych, a jednak gra w moskiewskiej orkiestrze.

Szczególnie pomocne w szerzeniu się rosyjskiej dezinformacji okazują się osoby wpływowe w polskim społeczeństwie, o nośnych nazwiskach, powszechnie znane z mediów. Najbardziej jaskrawym przykładem jest Radek Sikorski. Jego fałszywe enuncjacje, jakoby Polska była zainteresowana rozbiorem Ukrainy, czy wskazanie USA jako sprawcy wysadzenia rur gazowych na Bałtyku, okazały się wyjątkowym prezentem dla rosyjskiej machiny propagandowej. Podobnie twitterowe wpisy Jacka Izydorczyka, byłego ambasadora Polski w Japonii, który prowadzi jakąś prywatną wojnę z naszym MSZ, dostarczają Rosji nowe, antypolskie paliwo. Przekazanie Ukrainie 28 polskich samolotów MiG-29 nazwał „domem wariatów", a w reakcji na wskazanie jego nazwiska przez Stanisława Żaryna zareagował wpisem: „Skompromitowana i aferalna władza już nawet nie kryje, że ma totalitarną mordę". Także medialne insynuacje Janiny Ochojskiej brzmią niezwykle groźnie, gdyż polska Straż Graniczna została przez nią oskarżona o mordy emigrantów na granicy z Białorusią, a zorganizowana przez nią w europarlamencie wystawa szkaluje polskie służby graniczne, tym samym polskie władze. Ciekawe, jak zachowa się polski sąd po złożeniu przez naszych leśników powództwa o zniesławienie przeciwko Janinie Ochojskiej.

Wprowadzenie sankcji karnych za świadomą dezinformację, czyli wprowadzanie polskiego społeczeństwa w zagrożenie, inspirowanie niepokojów społecznych, osłabianie woli pomocy Ukrainie, usprawiedliwianie rosyjskiej agresji na ten kraj, będzie bardzo trudne do przeprowadzenia ze względu na opór sędziowskiej antyrządowej „nadzwyczajnej kasty". Opór będzie wspierać totalna opozycja, która rządowe propozycje ograniczania skutków działań dezinformacyjnych odbierze jako kolejny zamach na polską demokrację. Jednak z punktu widzenia interesów państwa polskiego, które ma obowiązek zapewnić obywatelom pełne bezpieczeństwo, ograniczenie skutków rosyjskiej dezinformacji i propagandy wydaje się dziś koniecznością. To także kwestia polskiej wiarygodności względem naszych sojuszników. Rację ma Stanisław Żaryn: „Nie możemy być naiwni i udawać, że nie ma problemu".

Problem jest, ale warto też wiedzieć, że próby walki z rosyjską dezinformacją mają już swoją kilkuletnią historię. Stąd pytanie – co robi w tej sprawie Europejski Fundusz na rzecz Demokracji? Trzeba też zapytać, czego dokonała przez minione dwa lata Polka, Martyna Bildziukiewicz, szefowa unijnego zespołu (East StratCom Task Force) ds. walki z rosyjską dezinformacją?

www.wojciechreszczynski.pl

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Zdalne sterowanie

Z publicystycznego obowiązku, a także z najwyższym trudem oglądam spotkania Donalda Tuska „ze społeczeństwem". Widzę bowiem człowieka kompletnie wypalonego, bez pomysłów, intelektualnie jałowego, który udaje entuzjazm i zaangażowanie. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że tak naprawdę nie chce mu się spotykać z tymi ludźmi i robi to na czyjeś polecenie. Jest wyraźnie zadaniowany. Otrzymał dyspozycje, którym próbuje sprostać.

Czy chce być premierem? Nie sądzę. Słusznie zauważył swego czasu Rafał Ziemkiewicz, że w obecnej sytuacji szefowanie rządowi, który byłby sklecony z polityków z rozmaitych ugrupowań, to żadne mecyje i kupa roboty. A doświadczenie uczy, że Tusk do tych pracowitych nie należy. Były „król Europy" dostał zadanie odsunięcia PiS od władzy, a gdy to się powiedzie, dostanie kolejne instrukcje. Cokolwiek by o PiS mówić, to nie można mu zarzucić, że prowadzi do wasalizacji Polski.

Na propagandowych spędach Tusk kłamie, obraża, stosuje mowę nienawiści i – jak mawia młodzież – „jedzie po emocjach". Bynajmniej nie zachęca do demokracji, poszanowania przeciwnika politycznego, rzeczowej dyskusji, bo jest cały czas zwolennikiem tych „kilku silnych ludzi", którzy wyprowadzą Glapińskiego.

Jakże inaczej, spokojniej i rzeczowo wyglądają analogiczne spotkania przedstawicieli partii rządzącej. Jest krytyka, wypominanie błędów, ale nie ma ani rozbuchanych emocji, pogróżek czy po prostu wyzwisk. Widać wyraźną asymetrię między PiS a opozycją, która w przeczuciu przegranej zgromadziła arsenał bluzgów, insynuacji i pospolitych kłamstw. Szermuje się nimi na prawo i lewo, bo można to robić bezkarnie, co już kilkakrotnie potwierdziły polskie sądy. Skazanie Roberta Bąkiewicza za obronę kościoła przed profanacją jest tego najlepszym dowodem. Bo w tym samym czasie uniewinniono grupę osób, które zmusiły kapłana do przerwania sprawowania Eucharystii, nachodząc dużą grupą na mszę św. Kurdej-Szatan mogła bezkarnie (tak uznał sąd) zwyzywać polskich żołnierzy sprawujących służbę na granicy wschodniej, a Bart Staszewski miał prawo zniesławiać Polskę na arenie międzynarodowej, podobnie jak Robert Biedroń. Obaj insynuowali, że w Polsce są jakieś strefy „wolne od LGBT". Odrażająca w swoich insynuacjach jest Ochojska, która zniesławia leśników i upowszechnia tę narrację na forum europejskim.

W zasadzie narracja Tuska idzie tą samą ścieżką. Na swoich wiecach odnosi się bowiem do rzeczywistości, której nie ma, do kraju, który na poczekaniu wymyśla, o którym tak naprawdę nie ma zielonego pojęcia. Tak jak o ludziach, którzy tu mieszkają. Wiece z udziałem kodziarskiej publiki nie są dobrym ani obiektywnym źródłem informacji.

Aleksander Nalaskowski

Jego „one man show" robi się coraz bardziej rozpaczliwy i przesycony agresją, a do wyborów przecież jeszcze pół roku

Na jednym z takich spotkań powiedział o swoim programie „Cela+". Na początku myślałem, że cytuje jakiegoś mema, że to jakiś żart, wic retoryczny. Ale nie, on mówił to poważnie! Tym samym udowodnił, że jest mu potrzebna poważna terapia resocjalizacyjna z dużą dawką wiedzy o zasadach państwa demokratycznego. Już wiadomo, że gdyby wygrał i był zmuszony objąć stery rządu, to cała para poszłaby we wskazywanie kolejnych afer i ściganie winnych. Nie wątpię, że „mścicielowi z Sopotu" sprawiałoby to niesłychaną frajdę, a usłużni współpracownicy wymyślaliby aferę jedną za drugą. Chyba że po drodze zmieniłyby się dyspozycje i musiałby realizować inne zadania.

Na swoich wiecach Tusk lubi powtarzać, że jest katolikiem, a jednocześnie na spotkaniu z kobietami (głównie z tzw. Strajku Kobiet) deklaruje, że jest zwolennikiem aborcji. Mówi to jakby kompletnie nie przyjmował do wiadomości, że te sprawy się wykluczają. Tym samym osiąga pułap „strasznej śmieszności", śmieszności dość upiornej.

Legendarna elokwencja Tuska osiągnęła pułap zwykłego mielenia słów, z których nic nie wynika, słów oberwanych ze znaczeń. Jeśli nazywa PiS złodziejami, to jak nazwie prawdziwych złodziei? Czy bierze pod uwagę fakt, że pospolicie obraża szeregowych członków tej partii, że „dorabia gębę" milionom jej zwolenników?

Ze spotkania na spotkanie język „króla Europy" staje się coraz bardziej agresywny, coraz bardziej „niesiołowski". Zupełnie jakby czuł pod stopami umykający mu grunt, jakby się bał, że postawionego przed nim zadania nie będzie w stanie wykonać. Jego „one man show" robi się coraz bardziej rozpaczliwy i przesycony agresją, a do wyborów przecież jeszcze pół roku. Co będzie jesienią, po jakie środki sięgnie? Już zapowiedział, że nie zawaha się „użyć Nitrasa", a to brzmi jak groźba, że zrobi wszystko, by na wybory rzucić cień nieuczciwości. Myślę, że już gdzieś tam Nitras pracuje nad zestawem prowokacji wyborczych. Myślę, że Tusk się bardzo boi nie wykonać zadania, do którego został zaprogramowany. Jest jak maszyna, którą obsługuje się za pomocą pilota. Pytanie tylko, kto owego pilota dzierży.

eprasa.pl e67cdd99de

JAN POSPIESZALSKI

Nowa Lewica – na eksport

A więc, towarzysze, choć zapowiedź wyprowadzenia do Finlandii jednego postulatu waszego programu okazała się kłamstwem (albo waszym /nie/pobożnym życzeniem), proszę was bardzo: nie ustawajcie w próbach

„Mamy porozumienie o darmowej aborcji dla Polek w Finlandii. Gabinet Sanny Marin chce pomóc Polkom w dostępie do ich podstawowych praw. Nasze partie Nowa Lewica i Social Democratic Party of Finland zaczynają rozmowy o szczegółach". Taki wpis ukazał się na profilu społecznościowym europosła Roberta Biedronia w związku z wizytą posłów lewicy w Helsinkach. „W nowej kadencji fińskiego rządu sfinalizujemy sprawę" – zapowiada Biedroń. Podobnie jego partner Krzysztof Śmiszek chwali się zdjęciem z „premierką Finlandii" (pisownia oryginalna) i podkreśla z dumą: „Lewica nie tylko mówi o prawach człowieka, ona o nie walczy i je gwarantuje! Legalna aborcja teraz!".

Tymczasem we wtorek 21 marca dowidzieliśmy się, że buńczuczne zapowiedzi Biedronia to... fake news.

Popularny fiński dziennik „Ilta-Sanomat" cytuje przedstawiciela gabinetu premier Marin, że owszem, delegacja polska uczestniczyła w „kurtuazyjnym spotkaniu, które trwało ok. 10 minut". „Przedstawiciele polskiej lewicy relacjonowali sytuację praw człowieka w kraju i wyrazili nadzieję, że w przyszłości można zintensyfikować współpracę na rzecz obrony praw kobiet w Europie. Na spotkaniu delegacji nie złożono żadnych obietnic" – powiedział gazecie fiński polityk.

W Finlandii trwa obecnie kampania wyborcza, stąd rewelacje Roberta Biedronia, nagłośnione przez polskie media, zostały dostrzeżone przez konkurentów politycznych fińskiej premier. Liderka chadecji Päivi Räsänen, komentując tę sytuację, podkreśliła z oburzeniem: „Nasza służba zdrowia jest potrzebna Finom, a nie do niszczenia życia polskich dzieci".

Dziennik fiński przytacza również wypowiedź asystenta Biedronia, Jakuba Ratajczaka, który stwierdza, że na spotkaniu nie było żadnych wiążących ustaleń, a doniesienia polskich mediów są nieporozumieniem.

Trochę dziwi mnie dementi Ratajczaka, bo w internecie nic nie ginie. Wpisy Biedronia i Śmieszka są łatwe do znalezienia, a jeśli nawet zostały usunięte, to spora część użytkowników mediów społecznościowych zdążyła je skopiować. Choć – przyznam szczerze – czytając rewelacje Biedronia, miałem nadzieję na szerszy plan. Zastanawiam się jednak, co oznacza sformułowanie, że pozostały do ustalenie szczegóły techniczne. Czy Śmiszek i Nowicka będą ustalali optymalną technikę realizacji zabiegów? Farmakologiczną, pneumatyczną – odsysanie, a może bliższą Wandzie Nowickiej – obowiązującą w PRL, czyli chirurgiczną?

Mimo wszystko sam pomysł wyprowadzenia postulatów programowych lewicy na zewnątrz – poza granice kraju – wydaje się całkiem kuszący. Obok aborcji także kolejne punkty programowe lewicy można zrealizować w Finlandii. Np. zakaz korzystania z samochodów spalinowych. Spora część północnego terytorium dłużej niż u nas jest tam pokryta śniegiem, więc widzę już Wandę Nowicką na biegówkach, albo Śmiszka z Biedroniem w obcisłych strojach panczenistów na łyżwach. Jednak inne lewicowe postulaty, np. ograniczenie konsumpcji mięsa, nabiału i zastąpienie ich owadami, a także korzystania tylko z dwóch ubrań u sąsiadów z północy będą trudne do realizacji. Proponuję więc towarzyszom marksistom, by nie ograniczali się tylko do Finlandii. W tej sprawie powinni się udać np. do Etiopii lub Nowej Gwinei. Dostępna i pożywna dieta z pustynnej szarańczy ma już dobre tradycje, a ekologiczne zasłonki i tuniczki z liści palmowych wystarczą na cały rok. Podobnie postulat 15- minutowych odległości w miastach. Zakaz podróżowania na dalszy dystans łatwo będzie wcielić w życie na małych, skalistych wysepkach np. tych, które są rozsiane u wybrzeży Chile.

A więc, towarzysze, choć zapowiedź wyprowadzenia do Finlandii jednego postulatu waszego programu okazała się kłamstwem (albo waszym /nie/pobożnym życzeniem), proszę was bardzo: nie ustawajcie w próbach. Szukajcie, odwiedzajcie, podróżujcie. Życzę wam i wszystkim Polakom, byście znaleźli gdzieś na kuli ziemskiej odludne miejsce, do którego będziecie mogli się wszyscy przenieść, by tam eksperymentować do woli i wcielać w życie wasze szaleństwa. Od Polski trzymajcie się jak najdalej.

eprasa.pl e67cdd99de

Nauka w służbie polityki

Jerzy Jachowicz

Wyborcy obecnie rządzącej partii kochają jej lidera Jarosława Kaczyńskiego – do tak sensacyjnego ustalenia doprowadziły znaną polską socjolog jej wieloletnie badania elektoratu głosującego na Prawo i Sprawiedliwość. To niezwykłe odkrycie doczekało się należnego wyróżnienia.

Działająca od kilkudziesięciu lat w Polsce Fundacja Sobieskiego, dotowana przez popularnego w całym demokratycznym świecie chilijskiego filantropa rumuńskiego pochodzenia Georga Balanescu, przyznała swoją doroczną nagrodę w kategorii „Osiągnięcia naukowe" polskiej socjolog, prof. Lenie Kolarskiej-Bobińskiej. Przypomnę, że ta, ceniona od lat, zasłużona dla rozwoju polskiej socjologii, pełniła w przeszłości prestiżową funkcję ministra edukacji i szkolnictwa wyższego. Jednakże pasja badacza wzięła górę, co skłoniło panią profesor do przerwania mieniącej się olśniewającymi perspektywami kariery politycznej. Nie ma jednak powodów do zmartwienia. Pani profesor nie odeszła wszak daleko od polityki. Swój talent i namiętność bez reszty oddała na zgłębianie wiedzy z dziedziny ciągle świeżej gałęzi nauki, którą jest socjologia władzy. A jednym z jej ciągle dziewiczych obszarów jest brak bliższej znajomości elektoratów popierających konkretne ugrupowania. I tej właśnie tematyce poświęciła prof. Kolarska-Bobińska swoje zainteresowania.

Wieloletni, benedyktyński wysiłek badawczy zaowocował intrygującymi wynikami. Prócz szczególnej cechy, którą wymieniłem na początku, a dotyczącej lidera partii, zdaniem prof. Leny Kolarskiej-Bobińskiej wyborcy PiS stanowią „bardziej wiejski, małomiasteczkowy i mniej wykształcony, modlący się elektorat".

Trzeba podkreślić, że samo dotarcie do dokumentacji wyborczej wymagało skrupulatnych poszukiwań nie tylko w dni powszednie, lecz także jakże często w weekendy. Nierzadko w podziemnych pomieszczeniach, z różnym natężeniem ogrzewanych, kiedy drętwieją z chłodu palce przewracające kartki. Oto proza pracy badacza, pełna wyrzeczeń.

Szczęśliwie są tacy, którzy potrafią to docenić i nagrodzić.

Tango w pułapce losu

Adam Ciesielski

Astor Piazzolla nie żyje od 31 lat, ale twórczość kompozytora i wirtuoza bandoneonu nie przestaje magnetyzować. Jego tango nuevo, intrygująco łączące melancholię i rytmikę tańca z jazzem i awangardową klasyką, znajduje wciąż nowych interpretatorów. Na światowe sceny jak bumerang wraca „Maria de Buenos Aires", która premierę miała w 1968 r. w stolicy Argentyny.

W Polsce tytułową pieśń tego ukochanego dzieła Piazzolli, określanego przez niego mianem tango operity, na przełomie lat 80. i 90. XX w. pierwsza zaśpiewała Milva, genialna włoska wokalistka i aktorka, bliska przyjaciółka Argentyńczyka, admiratorka jego muzyki. W XXI w. „Marię..." na scenie lub estradzie prezentowano m.in. w Poznaniu, Szczecinie, Katowicach, we Wrocławiu. W stolicy od kilku sezonów sztuka jest w repertuarze Warszawskiej Opery Kameralnej, teraz grają ją również Teatr Wielki – Opera Narodowa.

Reżyser Wojciech Faruga idzie za ideą Piazzoli, który tytułową Marię uważał za uosobienie Buenos Aires – metropolii emigrantów urzekającej feerią świateł, gorączkowym tętnem muzyki, a także mrocznej, wciągającej w groźne pułapki. Wpada w nie bohaterka – dziewczyna, która rzucając prowincjonalną przeszłość, z rozpędem skacze w objęcia wielkomiejskiej przygody. Zamordowana przez zgraję uliczników, funkcjonuje dalej jako duch, by się w końcu odrodzić. W tę niepokorną postać wciela się Natalia Kawałek, mezzosopranistka zdolna śpiewać nawet w cyrkowych wręcz konfiguracjach gimnastycznych na scenie. Partneruje jej m.in. obdarzony melodyjnym bas-barytonem Łukasz Karauda jako gwiazdor tanga.

Sama intryga, pełna gwałtownych zwrotów akcji, trudnych do uchwycenia (i przełożenia na polski) w surrealistycznym języku libretta Horacio Ferrera, mogłaby nużyć. Skupienie i sens dramaturgii zapewniają jednak elektryzujące tanga Astora Piazzolli wykonywane przez śpiewaków i muzyków Teatru Wielkiego. Na bandoneonie, który też jest jednym z bohaterów, zagrał – zaproszony specjalnie arcymistrz tego instrumentu – Klaudiusz Baran.

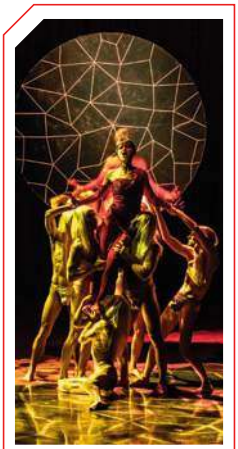

„Maria de Buenos Aires", muzyka: Astor Piazzolla, libretto: Horacio Ferrer, reżyseria: Wojciech Faruga, scenografia: Katarzyna Borkowska, choreografia: Krystian Łysoń. Premiera 16 marca 2023 r., Teatr Wielki – Opera Narodowa

eprasa.pl e67cdd99de

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Media, głupcze!

Wmawianie nam, że mamy normalny ład medialny, jest zwykłym faux pas

Ryszard Makowski

Czy w jakimś innym państwie na świecie działa taka stacja telewizyjna jak u nas TVN? Praktycznie jej jedynym zadaniem jest poniżanie narodu, na którego terenie stacjonuje. Pytanie retoryczne! Pod tym względem jesteśmy miejscem wyjątkowym. Tym bardziej że stacja ta nie jest osamotniona. Wprost przeciwnie, sfora poniewierająca nasze świętości, symbole i uwłaczająca polskości jest dobrze wytresowana, zwarta i od lat pewna swojego miejsca w krajowym porządku medialnym.

Wydawało się, że w sytuacji, kiedy PiS w pierwszej kadencji miał i Sejm, i Senat, i Pałac Prezydencki, stworzenie rynku medialnego niezagrażającego naszej niepodległości będzie priorytetem. Z enigmatycznych przyczyn tak się nie stało. A przecież w czasie wojny informacyjnej obecność takich propagandówek jak TVN, Onet czy RMF to jak akceptacja jawnego działania piątej kolumny.

Polacy to mądry naród, zahartowany zaborami, latami komuny, a także III RP, i nie dają sobie wciskać ciemnoty. W imię czego jednak mamy się bez przerwy borykać z hejtem udrapowanym na rzekomą wolność słowa. Potwarz, oszczerstwo, kłamstwo są inscenizowane u nas „całą prawdę, całą dobę".

Jest też koronny argument: musimy szanować własność prywatną! Jak najbardziej, ale tylko w sytuacji, kiedy ta własność prywatna szanuje nas! Najwyraźniej ta stacja telewizyjna jest tylko częścią sieci perfidnie nas oplatającej. I znów, w roku wyborczym, będziemy z niepokojem sprawdzać, czy ci odporni na zatruwanie umysłów nadal stanowią większość.

eprasa.pl e67cdd99de

Michał Korsun prezentuje:
Olaf Scholz – rosyjski łącznik

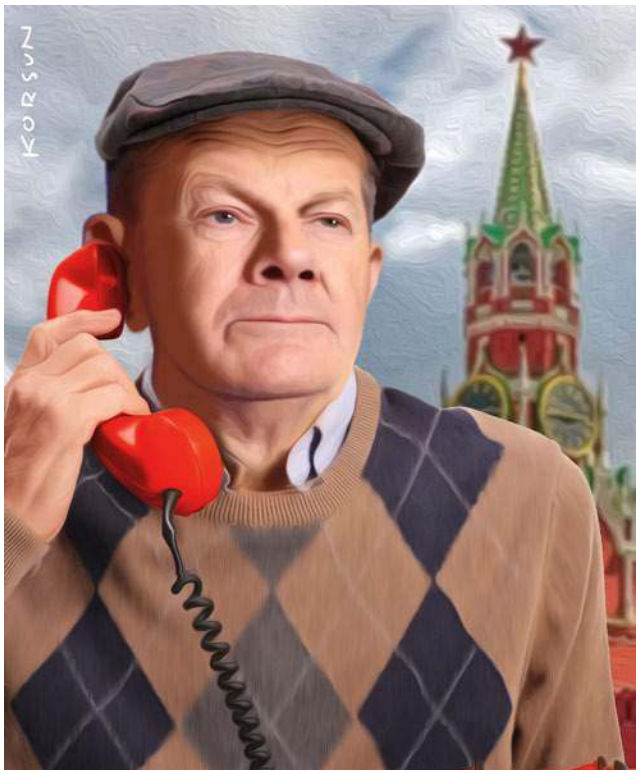

Wycinki z przeszłości

Wiosną 1958 r. tygodnik „Motor" z myślą o sezonie turystycznym ze smutkiem donosił, że prezentowana na zdjęciu obok węgierska przyczepa motocyklowa Duna OK4 nie jest dostępna w Polsce. „Nic na to niestety nie możemy poradzić. »Motor« pomaga natomiast amatorom budowy przyczepy motocyklowej we własnym zakresie przez opracowanie kompletnej dokumentacji technicznej". Wydawnictwo w formie osobnej książeczki miało pojawić się na rynku już w maju.

Redakcja zapowiadała, że będzie to przyczepa uniwersalna, pasująca do większości używanych motocykli, a do jej budowy wystarczą materiały i części ogólnodostępne. Choć oczywiście słowo „ogólnodostępne" było w całym okresie PRL mocno umowne. Wśród zalet samodzielnie wybudowanej przyczepy motocyklowej miał być odchylany dach, „aby pasażer nie moknął na deszczu i nie marzł na wietrze".

(mk)

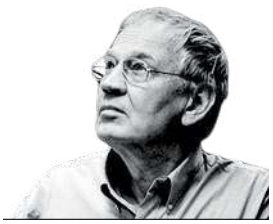

Leszek Długosz

Akordeony ze Wschodu

Cicho... Tak zawsze pełno na krakowskim rynku, w przyległych uliczkach tych rozmaitych akordeonowych koncertów ze Wschodu. Rosyjskie, ukraińskie. Ulubili sobie ten instrument. Przechodnie zresztą też. Ten ich specyficzny liryzm i mistrzostwo. Teraz cisza. Nie grają. Nie ma ich. I oczywiście wiadomo, z jakich powodów...

„Muzykanci"

To oni przyprowadzają
muzykę na rynek
Trotuary, zaułki, korytarze
Kawiarniane tarasy to ich
filharmonie
Sale Pleyela
Studia nagraniowe

Muzykanci – to oni
Nagle wśród ulicy
Chwytają nas za serce
Za poły płaszcza
– Całych w pędzie, w toku
We młynie codzienności
Zatrzymują nas
Nagle
Bukietem bzu
Strumieniem tanga
Ze skrzypiec
Z akordeonowej skrzynki...

„Ach stań, zatrzymaj się tu
Moje serce
Więc pamiętasz?..."

Muzykanci, grajkowie uliczni
Rzuć im spojrzenie
Grosz wysupłaj
W pogodę i w niepogodę
Na szczęście i na tę drugą
okoliczność...
Muzykanci – muzycy
Z tej samej gliny
Z tej samej branży
Ach tylko różnie no jak to
w życiu
– Różnie różnym poszło
Muzykanci
– Spod mniej szczęśliwej
gwiazdy
Bracia mniejsi...

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl e67cdd99de

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Przyszłość jest teraz?

Albo: „Przyszłość już tu jest". Po angielsku: „Future is now" lub „The future is now". W marcu 2023 r. wyszukiwarka Google twierdzi, że nawet jeśli ograniczymy się tylko do języka angielskiego, to i tak wiele milionów stron zawiera to hasło.

Nie brak firm, spółek i konferencji biznesowych, które tę „przyszłościową" formułkę mają w nazwie lub eksponują w inny sposób, np. przy okazji konferencji poświęconej zagadnieniom gospodarki 4.0. W 2002 r. debiutancki album amerykańskiej grupy hiphopowej Non Phixion otrzymał tytuł „The Future Is Now". Przykłady można mnożyć, ale nie o ich kolekcjonowanie tu chodzi.

PRZYSZŁOŚĆ JEST MODNA

Przynajmniej jako słowo. Wydaje się świeższe od słów *postęp* lub *rozwój*. Czy ta moda zarazem mówi nam coś głębszego o obecnym położeniu ludzkości?

Skoro *przyszłość już tu jest*, jest z nami, to czy znaczy, że nie czekają nas już większe zaskoczenia? Że ludzkość ma już za sobą wstrząsy, ofiary, nieoczekiwane sukcesy i upadki? Wybuchy entuzjazmu lub rozpaczy?

Czy skoro przyszłość już tu jest, to znamy już wartości oraz autorytety nowej epoki? A może odwrotnie, wiemy, że przyszłość, która odsłoniła już swoje oblicze, będzie światem całkiem pozbawionym autorytetów. No, może za wyjątkiem internetowych celebrytów, którymi ekscytują się miliony nastolatków. Niektórzy starsi.

Skoro przyszłość nadeszła, to pewnie wyłoniły się zasady i technologie, według których będziemy żyli w najbliższych dekadach. A to by znaczyło, że w istocie znamy przyszłość. Jednak patrząc na to, jak mało rozumiemy nowe technologie, zdaje się wprost przeciwnie.

A może jeszcze inaczej. Przyszłość wprawdzie już przybyła, ale teraźniejszość tak się z nią szamoce, że wynik starcia nadal pozostaje niepewny. Jeśli tak, to jakie siły w tym szamotaniu uczestniczą?

A jeśli to, czego doznajemy, wcale nie jest jeszcze tą „prawdziwą" przyszłością? Jeśli jest tylko przestrogą?

PRZYSZŁOŚĆ NICZYM JASNOŚĆ

Sentencja mówiąca, że przyszłość już jest, może milcząco zakładać coś dobrego. Jakieś ukoronowanie rozwoju cywilizacyjnego, jakieś wejście na wyższy poziom. Tylko co faktycznie przyniosła ta przyszłość, która już tu jest?

Dostatek dla wielu, ale przy okazji i ciągły pośpiech, brak czasu na namysł nad sobą i dla bliskich? Niekończące się strumienie bodźców i brak uważności? Każdy krewny i znajomy ma miejsce w książce telefonicznej smartfona, ale czy to przełożyło się na dobre więzi między ludźmi? Mamy swobodę komunikacji – każdy może publicznie się wypowiedzieć. Ale prawie nikt nie słucha. Jest już chyba więcej twórców niż osób stanowiących ich audytorium. Miliardy informacji tak postrzępionych, że nie układają się w żadną wiedzę – to ten wyższy poziom rozwoju? Tak daleko posunięty ekshibicjonizm emocjonalny, że nie ma już miejsca na argumenty racjonalne. Przyszłość bez rozumu?

ETAP ROZWIĄZAŃ?

Od przyszłości oczekuje się rozwiązań problemów, które nam doskwierają. Potoczne *patrzenie w przyszłość* to jak dostrzeganie nadchodzących recept i rozstrzygnięć. Na gruncie ekologii, warunków, w których żyjemy – co to znaczy, że przyszłość już jest?

Mamy nie tylko lepszą opiekę medyczną, lecz także całą gamę chorób cywilizacyjnych. Mamy materialny dobrobyt, ale wciąż jesteśmy nienasyceni. W stosach zakupów nie widzimy tego, o co nam chodzi. Mnóstwo taniego-takiego-samego-niczego w budkach w każdej miejscowości turystycznej. Czy przyszłość polega na coraz bardziej inteligentnej produkcji stosów coraz bardziej kreatywnej tandety?

PRZESTROGA!

A jeśli to, czego doznajemy, wcale nie jest jeszcze tą „prawdziwą" przyszłością? Jeśli jest tylko przestrogą? Przestrogą, której najwyraźniej nie chcemy odczytać?

Spieszmy się kochać te codzienne radości naszego życia, którymi jeszcze możemy się cieszyć. Niedługo bowiem ta prawdziwie nowa przyszłość, która swoje oblicze dopiero ledwo uchyla w systemach sztucznej inteligencji, wymusi odejście wszystkiego, co dziś możemy kochać.

Czy coraz śmielsze ostatnio głosy, że w obliczu nasilenia się wyścigu między różnymi korporacjami (np. Microsoft i Google) na polu sztucznych inteligencji, wszyscy powinniśmy znacząco spowolnić, nie są zbyt słabe?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl e67cdd99de

E-PRENUMERATA SIECI Z AUDIOBOOKAMI

Czytaj 50% taniej, słuchaj GRATIS

2 AUDIOBOOKI GRATIS DO E-PRENUMERATY NA 12 MIESIĘCY:

„MIĘDZYMORZE"
MARCIN WOLSKI

Alternatywna historia panowania królowej Jadwigi, której w rządzeniu pomaga błazen posiadający tajemną wiedzę z naszych czasów.

CZAS SŁUCHANIA: 15 GODZIN
FIKCJA HISTORYCZNA Z ELEMENTAMI FANTASY

„WALECZNE KOBIETY ROKU 1920"
IWONA KIENZLER

Opowieść o bohaterkach Cudu nad Wisłą i obrony kraju przed bolszewicką zarazą, również tych walczących w Ochotniczej Lidze Kobiet.

CZAS SŁUCHANIA: 7 GODZIN
NIEZNANE HISTORIE WIELKICH KOBIET

Fot. Shutterstock

Zamów już dziś na **www.siecprzyjaciol.pl**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl e67cdd99de

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI | wSIECI HISTORII

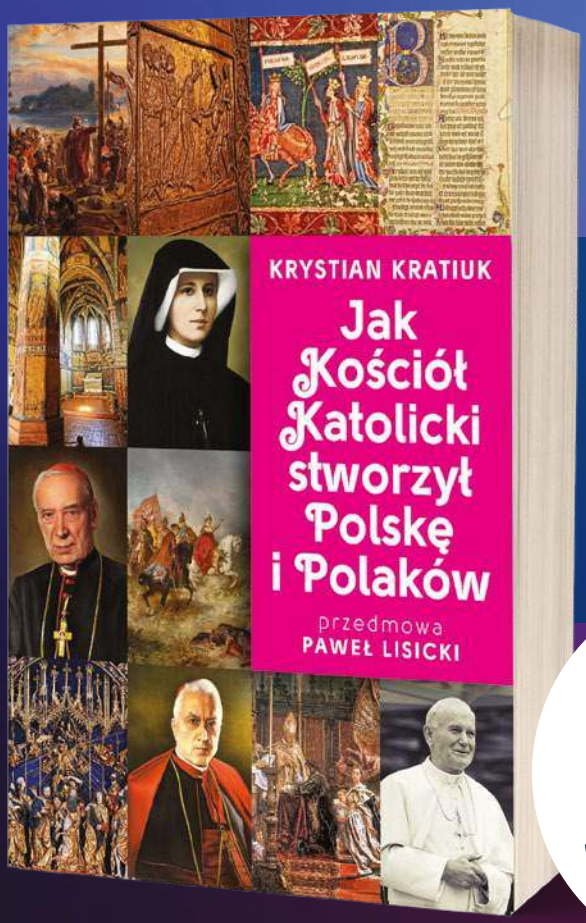

- Czym jest Polska?
- Skąd się wzięła?
- Dlaczego warto być Polakiem?
- Co tworzy naszą tożsamość?

REFLEKSJE O POLSKOŚCI | FAKTY HISTORYCZNE
368 STR. | PIĘKNE ILUSTRACJE

100 książek w prezencie

Książkę **„Jak Kościół Katolicki stworzył Polskę i Polaków”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Fot. Shutterstock

Zamów już dziś na: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl e67cdd99de